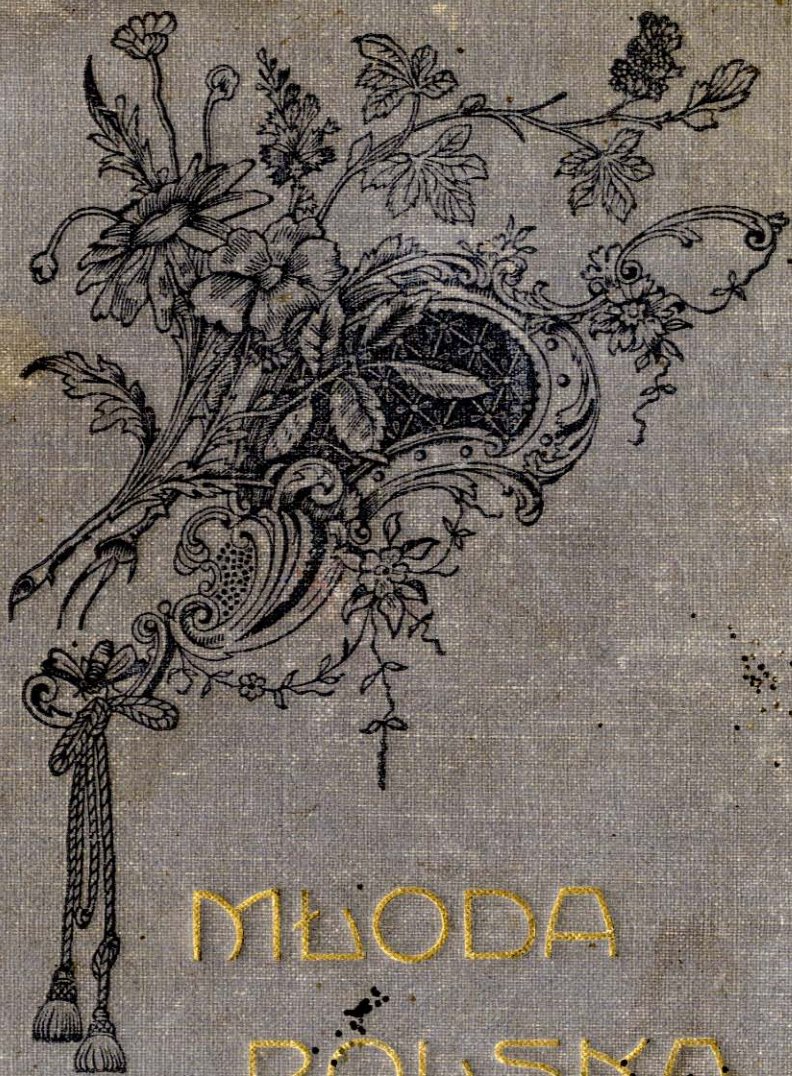




MŁODA
POLSKA

15

MŁODA POLSKA W PIEŚNI

MIŁOBY POLSKA W PIĘŚNI

Warszawa. — Druk Piotra Laskauera i S-ki.

CZESŁAW JANKOWSKI

MŁODA POLSKA W PIEŚNI

WYBÓR CELNIEJSZYCH POEZJI

OSTATNIEJ DOBY



WYDANIE DRUGIE

(przerobione, powiększone, dopełnione)



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

KRAKÓW—G. GEBETHNER I S-KA

1903

CZESŁAW MIKOWSKI

MŁODA POLSKA W PIEŚNI

WYBÓR CELEBRIEJSZYCH POEZJI

OSTATNIE DOKŁAD

Дозволено Цензурою.

Варшава, 17 Сентября 1902 г.

WYDAWCA DRUGIE

(wydawnictwo drugie)



WARSZAWA

WYDAWCA I WOLFA

AN. 2. I. WARSZAWA

1902

113129

K-245/80/ 128420

Przedmowa do pierwszego wydania.

 to nowy akord polskiej pieśni.

Wzięli go, na strunach ogranych przez mistrze, ci, co po zmierzchu helikońskich bogów, nie dali zamilknąć poezji naszej, bądź podchwytując przedzwięczające tony, bądź nawiązując do nich nowe, nietknięte jeszcze nuty...

Zaledwie zgasło nad Bosforem to słońce, w którego promieniach odrodziła się i zmęźniała potężnie pieśń nasza, jęły tworzyć się dziwne legendy o tem, jakoby pod płytą grobową paryskiego Montmorency zamilkła na zawsze lira polska, jakoby z kresem tak zwanej Mickiewiczowskiej epoki miał się zbiegnąć kres — poezji polskiej.

Legendy te skwapliwie rozpowszechniane przez tych, którzy w wybujałości naszego poetyckiego romantyzmu dopatrywali jednej z przyczyn opłakanej wybujałości społecznych mrzonek, znalazły rychło wiarę wśród ciżb, dla któ-

rych biadanie nad „grobem poezyi“ i odmawianie racyi bytu „epigonom“ służyły za wygodne usprawiedliwienie reakcyjnej obojętności względem wszelkiej już teraz zgola poezyi.

Straciła moc nad sercem ludzi poezya, echa wśród ludzi nie znajdowała już pieśń; zjawisko było aż nadto widocznem; należało je tylko uzasadnić. Dlaczego tak jest, jak jest? — pytano przed trzydziestu laty. I znaleziono przyczynę. Dlatego — powiedziano sobie — nikt dziś poezyi nie słucha, że niema słuchać czego. A skoro niema czego słuchać, tedy oczywiście i ucha nadaremnie nadstawiać nie warto. Zaś po takim rozwiązaniu sprawy nastąpiły istotnie czasy takie, że zniechęcona publiczność na lata i lata całe rozbrat zupełny wzięła z poetami swymi.

Ale negowanie faktu nie uprzęta jeszcze rzeczy ze świata. Pomimo obojętności słuchaczy, pomimo chłodu owiewającego ją dookoła, na przekór ironicznym biadaniom i docinkom, poezya pomickiewiczowska, ton dalszy nieśmiertelnej pieśni, rozsnuwała się, rozwijała powoli, biorąc w siebie coraz to szerszą skalę tonów, biorąc na struny coraz dźwięczniejszych lir pierwiastki nieznane pieśniom poprzedników.

Na razie — jak inaczej być nie mogło — szły tylko dalsze rozwoju branych niedawno jeszcze potężnych chorałów i hymnów, podzwieki melodyi, co pod czarem swym trzymały dziadów i ojców naszych pokolenia, ale były to już tylko echa ech, błakające się po lutniach i gęślach, niezdolnych jeszcze do uderzenia w ton

mozolnie a nadaremnie szukany. Jeszcze od czasu do czasu ozwał się pieściwy tryl ukraińskiego słowika, gdzieś w oddali wielkiej ponad gwarem stolicy świata, jeszcze od przerwy do przerwy załatywał na swojskie niwy, hen z nad brzegów florenckiego Arna, ton fujarkowej piosenki lirnika mazowieckiego, jeszcze przez czas jakiś słychać było pod Tatrami milknące granie Mohortowych rapsodów, bolesne swoje *Cupio dis-solvi* jęknął konający lirnik wioskowy — aż umilkli wreszcie i przycichli na zawsze jeden po drugim ci, co byli.

Ale jak życie samo, co przerw nie zna i próżni, co ostatnie zachodu błyski z przedświtami splata, wśród ciszy mogił nie skołała pieśń. Akordy jej jedne nie zdołały wybrzmieć jeszcze, a już podchwycili ją na lutnie swoje spadkobiercy nieśmiertelnej iskry Bożej. Buchnęły namiętne liryki Sowińskiego, popłynęła szeroka pieśń epiczna Deotymy, zamigotała brylantowa piosenka Asnyka, w takt kielni i młota zabrzmiał śpiew „młodych“, ozwał się kunsztowny głos Konopnickiej, jęły sypać się błyskotliwe, misterne, jak przedziwnych instrumentów tony, niebywałe zwrotki czcicieli formy — a mnogostrunny orkiestralny chór podniósł się i *a tutte corde* wtór im dał.

Rozległ się nowy akord polskiej pieśni, pełnią i świeżością dźwięków nie ustępujący pod niejednym względem nieśmiertelnym rapsodom i śpiewom złożonym już w skarbnicę swojskiego piśmiennictwa. Poezja pomickiewiczowska, poe-

zya czasów najnowszych, poezya nam współczesna, jeżeli, jak to bywało, nie jest już przewodniczką i chlubą naszą, zaiste nie jej w tem winna. Jeżeli zmieniły się gust i moda, jeżeli nawoływania do t. zw. trzeźwości i do utylitaryzmu oderwały od niej słuch i serca, nie poszło na szczęście za tem, aby piśmiennictwo nasze, idące z taką godnością ręką w rękę z piśmiennictwem wszechświatowem, pozbawione już być miało przedniej i nieśmiertelnej okraszy: poezyi.

Dziś, jak wprzód, w barwnem i strojnem jej odbiciu odnaleźć łatwo prądy ożywiające i poruszające społeczeństwo współczesne; dziś, jak wprzód, w śpiew melodyjnych strof złożyliśmy niejedno, co z głębi serca, z głębi duszy nam wypłyło. Nie dające się zaprzeczyć i nie odczuć piętno nowoczesności — modernizmu — cechujące utwory poetyckie z ostatnich czasów, świadczy samo o tem, jak ściśle z rozwojem pojęć, wyobrażeń, smaków i poglądów współczesnych związana jest twórczość poetycka dzisiejsza. Już sam niebywały wykwit formy poetyckiej, sięgający już dziś niemal w dziedzinę sztuki muzycznej, kładzie oryginalne znamię na poezję naszą dzisiejszą. Zaś za wybujałością i wyszukanem wyrobieniem formy poszły dobór tematów i odmiana tak zwanych rodzajów. Staroświeckie oda i sielanka, opowiadania, późniejsze poematy fantastyczne i hymny ustąpiły miejsca nastrojom, w których wyrażaniu walczy dziś o lepsze poezya — z muzyką.

Zbiorowy wizerunek tej ewolucyi oraz zbioru

rowy przegląd wytwórczości poetyckiej czasów najnowszych przedsięwzięliśmy właśnie dać w niniejszej antologii.

Pragnęlibyśmy, aby stanowiła ona ciąg dalszy wydanego przed dwudziestu laty zbioru utworów poetyckich, zebranych przez Narcyzę Żmichowską (Gabryelę) pod tytułem „Kwiaty Rodzinne“. W myśl tę, unikaliśmy z rozmysłu powtarzania zawartych już w tym zbiorze utworów, aczkolwiek niejedną z nich powstał już po zgonie twórcy „Pana Tadeusza“. Z małymi również wyjątkami pozwoliliśmy sobie pomijać przednie nawet poezye ale nazbyt przepojone duchem i formą minionej poetyckiej epoki, bo te, aczkolwiek w najnowszych czasach powstałe, są wprost echemi lub reminiscencyami pieśni wyśpiewanych przed laty. Poezja polska z końca XIX wieku nazbyt obfita i we własne oryginalne pierwiastki bogata, aby móżdż śmiało podźwignąć takie uważać za wyjątki.

Nie trzymaliśmy się wreszcie przyjętego przez Żmichowską podziału zastosowanego „do zmienności usposobień duszy, w których, przypuszcza się, że poeci pisali, a czytelnicy odczytywać sobie lubią niektóre ich utwory“. Przeciwnie, nie rozpraszając utworów danego poety po wszystkich działach książki, zgrupowaliśmy je dookoła jego nazwiska, a to dla tego, aby czytelnik mógł jak najłatwiej odtworzyć sobie duchowy jego wizerunek, co też i dla znajomości dziejów piśmiennictwa swojskiego wagę niejaką mieć powinno.

1898.

Cz. J.

Przedmowa do wydania drugiego.

Antologii niniejszej wydanie drugie ma na celu wywołanie przed oczy czytelnika całkiem innego obrazu niż ten, którego rozwinięcie mieliśmy na względzie przy układaniu pierwszego wydania „Młodej Polski“.

Na schyłku minionego, XIX wieku, chodziło nam o pogładowe zadokumentowanie żywotności pieśni polskiej po zniknięciu z widowni plejady wielkich piewców; chodziło o zgrupowanie dowodów, że (wbrew ówczesnym popularnym poglądom) lira polska brzmieć i grać nie przestała ani po śmierci Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, ani nawet po zamknięciu dwóch, trzech ostatnich przedstawicieli t. zw. mickiewiczowskiego lub romantycznego okresu poezji naszej. Nie omylimy się może, twierdząc, że zdołaliśmy wówczas dać zgodne z rzeczywistością wrażenie obrazu twórczości poetyckiej polskiej w ciągu mniej więcej lat czterdziestu, t. j. od roku 1860 po rok

1897-my. Czterdziestolecie, podczas którego ozwały się kolejno lub do pełnego urosły tonu głosy: Sowińskiego, Asnyka, Faleńskiego, Deotymy (pierwsze pieśni „Sobieskiego“), Konopnickiej, Gomulickiego... (aby wymienić tych tylko imion kilka przodujących poezji polskiej końca XIX wieku) — nie było zaiste ani zmierzchem, ani niedoleżnem pobrzękiwaniem epigonów. Był to okres samodzielny, mający nastrój własny, ton własny, nie pożyczanym tylko blaskiem zdobny. Odzworowując go w pierwszym wydaniu „Młodej Polski“, przetkaliśmy go z jednego brzegu nazwiskiem Odyńca, nazwiskiem Ujejskiego dla zaznaczenia jedynie obecności jeszcze wpośród nas tych seniorów ówczesnych Parnasu polskiego — z drugiego brzegu wpleliśmy weń kilka nazwisk, dopiero pojawiających się na horyzoncie poezji naszej, dla uwidocznienia zapoczątkowanego dalszego rozwoju pieśni polskiej. Tych, rzuconych na ostatnie karty antologii nut kilka, krótkich leit-motywów kilka nawiązywało właśnie pierwsze jej wydanie do przewidywanego niniejszego, ponownego jej układu.

Jakich dziś poetów mamy? Na to pytanie odpowiedzieć pragnie obecne wydanie „Młodej Polski w pieśni“.

Przeszło pięćdziesiąt nazwisk kładziemy na te karty, a wiemy, żeśmy do dna całej współczesnej zasobności Parnasu naszego nie wyczerpali. Wystarczy tych pięćdziesiąt nazwisk dla uprzytomnienia znacznej liczebności poetów polskich o świecie XX wieku. Obfita u nas chwila

obecna w poezję. I — z godziwą dumą powiedzieć możemy — obfita w poezję doskonałą, wyższej skali niż twórczość poetycka niejednej współczesnej literatury.

Z upłynionego ostatniego czterdziestolecia minionego wieku ubyło nam wielu lutnistów. Pożegnali nas, odchodząc na zawsze w wieczność, ci, co jakby żywymi byli relikwiami doby romantycznej: Odyniec, Zaleski, Lenartowicz, Ujejski... pomarło wielu tych, co jeszcze oto w oczach naszych na lirach swych i lirenkach ton i nutę dawali pomickiewiczowskiej, z końca XIX wieku, poezji naszej: Sowiński, Asnyk, Zagórski, Szymanowski, Bartels, Urbański, Miron, Wysocki, Stebelski, Grudziński, Ordon, Rodoć... Zamilkli powoli, odzywając się już z rzadka tylko, niejako goszcząc już tylko między nami, seniorowie nasi dzisiejsi: znakomity tłumacz „Orlanda“ Felicjan Faleński, sędziwy autor „Kłosów z rodzinnej niwy“ i „Srocзки“ Adam Pług. Natomiast jeden z najwybitniejszych talentów poetyckich naszych pomickiewiczowskiej epoki trwa do dziś dnia na Parnasie polskim, świetniejszym niż kiedy siejąc blaskiem. Wśród bujnego rozgwaru głosów „młodych“, ta, nad której improwizacyami unosił się pół wieku temu Mickiewicz, snuje nam ciąg dalszy pieśni swojej o Sobieskim, „tka — jak wyraził się niedawno Sienkiewicz — jedwabiem, złotem i tęczą na olbrzymich krosnach epos o królu-olbrzymie“. Nie zdołały też głosy „młode“ przytłumić najwspanialszej zarówno wczoraj jak dziś nuty poetyckiej Parnasu polskiego.

Podobnie jak na parnaskim widnokregu minionego czterdziestolecia prym trzymała pieśń Konopnickiej, tak też i na progu XX wieku kunsztu jej żaden głos nie zaćmił. Nie dlatego, że literatura nasza posiada w chwili obecnej największą poetkę, jaką kiedy wydał ród niewieści, ale dlatego, że ów największy talent poetycki niewieści jest zarazem największym wogóle talentem poetyckim we wszechświatowej współczesnej literaturze. Wielu z tych, którzy wczoraj jeszcze coraz pełniejsze i doskonalsze rzucali nam akordy, bądź przycichło stopniowo, bądź zaniechało wyższego strun strojenia. Rzekłbyś: zasłuchali się sami w chór głosów świeżych, cofnęli się od współzawodnictwa, dobrowolnie lub instynktownie ustępując z pola. Jedna Konopnicka przerzuca śmiało z XIX-go w XX-ty wiek przdziwny swój epos emigracyjny i pereł garść, co zwie się „Italia“. Otwórzmy nawias i zaznamy wysoki polot oraz kunszt ostatnich utworów poetyckich Kazimierza Glińskiego (np. „Do braci pieśniarzy“).

A głosów „nowych“ plejada cała. Kasprowicz, Tetmajer, Wyspiański, Żuławski, Dębicki nadają temu chorałowi ton ponurego pesymizmu. Pierwszy z nich, pasowany przez p. Przybyszewskiego na „naczelnego współczesnego pisarza polskiego“, jest apologetą cierpienia, które, jak ogień rudę, oczyszcza człowieka; „bierze je na swoje barki, dźwiga bez skargi i roztkliwiań cały ten straszny ciężar“, w duszy jego wszystko staje się cierpieniem; na cześć boleści hymny śpiewa,

korząc się przed cierpieniem, „źródłem zła, okrutnym szatanem, co rozpanoszył się na ziemi, z którego szpon nie wydrze się ludzkość nigdy, bo szatan ów opanował ludzkość rozkoszą“.

Bądź pozdrowiona...

Źródło mej pieśni, macierzy natchnienia,
Boleści!

A Żuławski wtórzy mu:

Wszystko mi jedno! Jakiem bądź istnieniem
Pokalam smutną i pragnącą duszę,
To wiem, że każde będzie mi cierpieniem,
Bo nieśmiertelne są moje katusze.

I przeto:

Dzisiaj tonę w zwątpieniu, w myśli czarnych roju:
W pierwszym dniu bitwy jestem już ciężko ranny,
W pierwszym dniu pracy jestem już ciężko znużony,
W samym życia początku już pragnę pokoju...

Aż wreszcie najdosadniejszy wyraz obywatelskiej rezygnacji daje trzydziestoparoletni Dębicki:

Czy w tę czy w ową stronę iść,
Zachodu, pracy i sił szkoda.

... ..
O śmierci, kościelko bólów,
Przyjdź!

Pomijamy dalsze wybiegi i odcienia tego kardynalnego nastroju pieśni polskiej współczesnej. Przewagę beznadziejnego pesymizmu od-

czuje każdy czytelnik niniejszego zbioru. Odezuje go nawet w utworach dwóch najmłodszych poetek naszych (Wolska i Ostrowska), na których talent niepowszedni pozwalamy sobie zwrócić szczególniejszą uwagę. Więcej hartu, więcej oporu lub insyngktowego otrząsania się ze zmory zwątpień i rozpaczmy znajdziemy u Niemojewskiego, Rydla, Przesmyckiego, Langego, Zalewskiego, zwłaszcza u Staffa, ale ton zasadniczy ich pieśni nie wybiega z ogólnego tła poezji polskiej doby dzisiejszej. Nie tu miejsce tłumaczyć, dlaczego tak jest; stwierdzamy tylko fakt.

Poezji naszej ostatnich lat zarzucano często, że jest nazbyt „egotyczną“; smagano ją bezlitośnie za „sobkowską analizę“, za „sobkowską lirykę“. Oburzano się na bezustanne analizowanie przez poetów własnego ja. Gdybyż chciano przestać na chłostaniu przesady w tym kierunku, nadmiaru egotyzmu! Egotyzm w poezji lirycznej (a liryczną przeważnie była w ostatnich latach poezja nasza, liryczną przeważnie jest dziś jeszcze) ma nie tylko rację bytu, ale wręcz podstawą jest liryki wszelkiej. Z głębi owego egotyzmu wytrysły wszak w poezji naszej takie arcydzieła, jak wstęp i zakończenie „Przedświtu“, „Smutno mi, Boże“, improwizacya Konrada. Powiedzą nam: wolno subiektywne liryki pisać, gdy się jest Krasińskim, Słowackim, Mickiewiczem, zaś skoro się nie jest jednym z nich — nie wolno! Nie!... Inaczej należy sformułować ów paradoks. Należy wprost powiedzieć: tylko wiersz

doskonały jako dzieło sztuki ma rację bytu; wiersz gorszy niż doskonały niema racji istnieć.

Tak zwane „myśli szczytne“, filozoficzne światopoglądy, wieszczczenia, hasła, wezwania, mają, rzecz prosta, otwarte do poezji wrota, ale żadną miarą o wartości poetyckiego utworu stanowić nie mogą. Miejsce dla nich w filozoficznych traktatach lub w utworach tego rodzaju, co np. „Nieboska komedya“. Wiersz — jak obraz; powinien posiadać *przedewszystkiem* zalety poetyckie, podobnie jak obraz, chociażby najogromniejszy treścią, powinien posiadać zalety malarskie, powinien być dobrze namalowanym. Wartość eposu Danta nie polega na filozoficznych i historyzoficznych domieszkach. Poetykiem arcydziełem jest niejeden wiersz Heinego, nie mający nic wspólnego z filozofią, „myślami szczytnymi“, tyrteuszostwem, moralizowaniem. Poezja jest sztuką; sztuka niczyją sługą być nie powinna; jeżeli bierze co w siebie, to panuje nad tem, co w siebie wzięła.

Że zaś zalety poetyckie nie polegają jedynie na nieskazitelności lub niezwykłości *formy*, rytmu i rytmu, dowodzić zbyt ciężka. Jeśliby wyłącznie kunsztowność formy stanowić miała o doskonałości wiersza, musielibyśmy na pierwszym miejscu wśród utworów poetyckich niniejszego zbioru postawić np. „Pantum“ lub „Księgi proroków“ Langego. O *dobrej* zewnętrznej formie wiersza dziś już mowy niema; stała się i obowiązującą i powszechną; stała się jedną z najpopularniejszych zalet poetyckich. Jest, a nie czujemy

jej w „Liście“ Konopnickiej, w „El mole rach-mim“ Gomulickiego, w „Na Anioł Pański“ Tetmajera, w „Romanzy“ Przesmyckiego, w strofach Deotymy, w wierszu Oppmana, Laskowskiego, Górskiego... Ale — nie przewodnikiem pragniemy być czytelnika, jeno chodzi nam o zaznaczenie bogactwa poetyckiego pieśni polskiej współczesnej.

Zaiste, skala szeroka, pomimo pewnej, zaznaczonej wyżej, jednolitości tonu wśród „najmłodszych“! Zestawmy tylko ponurą refleksję Żuławskiego z przedziwnymi malowidłami Or-Ot'a, granitowe oktawy Wyspiańskiego z werwą artystyczną piosnek Laskowskiego, melancholiję Dębickiego z wyjątkową na naszym współczesnym Parnasie pogodą Orwicza, prostotę epiczną Pługa lub Wierzbickiego z egzotykiem lub alegorycznymi mgłami Langego i Daniłowskiego... Skala rozległa. Humoru tylko ani błysku.

Pragnęliśmy uwydatnić tę różnorodność nastrojów, tonów, form. Z dzieł niejednego poety musieliśmy pominąć niejedną wiersz bardzo piękny, sięgając po wiersz dla ogólnej twórczości autora — charakterystyczny. A jednak wiemy, że (w szczupłych ramach niniejszej antologii) nie sposób nam było uwydatnić dokładnie niejednej charakterystyki. Tak oto np. cytata ze „Sroczki“ ujęła miejsca lirycznym, serdecznym wierszom Pługa z przed lat; improwizacye Deotymy pominęliśmy całkowicie, dając miejsce wyjątkowi z jej „współczesnego“ poematu; Faleński lwiał część swego wielkiego talentu poetyckiego włożył

w przekłady, ale przekłady wszelkie wyłączone z niniejszego zbioru (a na Parnasie współczesnym mamy przecie takie arcydzieła tłómaczeń, jak „Don Żuan“ Porębowicza, „Orlando“ Faleńskiego, przekłady Adama Mskiego, mnogie pieśni z „Iliady“ Rydla, doskonale przekłady Kaspro-wicza i Miriama lub L. Belmonta przekład „Onie-gina“). W Oppmanie zbiór niniejszy nie pokazuje nam wcale wdzięcznego, uczuciowego liryka, bo przewaga jego twórczości poetyckiej po stronie szeroko uwzględnionych obrazów z przeszłości. Z wierszowanych dzieł dramatycznych poetów naszych współczesnych nie czerpaliliśmy wcale, bo cytatom scen lub aktów całych rozmiar książki niniejszej stał na zawadzie. Przeto też przypomnieć tylko możemy na tem miejscu czytelnikowi, że niejedną jeszcze klejnot pieśni polskiej spoczywa w dyalogach „Wesela“, „Legionu“, „Protesilasa i Laodamii“, „Zawiszy Czarnego“, „Zaczarowanego Koła“...

Nie trzymaliśmy się wreszcie ślepo „rozgłosu“ danego autora. Brak niejednego wiersza, któremu krytycy i sprawozdawcy nie szczędzili swojego czasu pochwał i zachwał, bierzemy na własną odpowiedzialność. Pozwalamy sobie mniemać, że tak obfity dobór różnorodnych a niemal bez wyjątku *pięknych* utworów poetyckich zjedna względność czytelników dla samodzielności osobistej, co kierowała niniejszym wyborem.

1902.

Cz. J.

KAROL BRZozowski.

Ur. r. 1821 w Warszawie.

»Noc strzelców« (1856); »Ognisty lew« (1857); »Deli Petko« (1876);

»Sen w Balkanach« (1877).

NA PRZESILENIE WIOSENNE.

Po niebie gna tumany chmur
Szalony wicher marcowy,
Rozdziera strój na szczytach gór,
Twój, zimo, strój lodowy.
W tych kłębach chmur, co błyskawica
Czerwone gromem biją,
Zawitaj nam Dziewico,
Zawitaj nam, Maryjo!

Strwożonym mów, że w gromie burz
Two państwo już się rodzi;
Że w grozie tej jest pączek róż!
Lecz, Matko, świeć tej łodzi,
Co z mórz się szaleł grzmiącym łamie;
O Gwiazdo mórz Ty święta!
Wierzącym daj Twe ramie,
Niech płynie łódź nietknięta!

W dolinach kwiat zbudzonych drzew
Na wpół wygląda z paków
I ponad niw zielony siew
Wzlatuje rój skowronków;



O Maryo! Ty miłości zdroju,
 Rolnika spełń nadzieje,
 Niech Twoje nań w pokoju
 Błogosławieństwo wieje.

I ptaszkom daj na gniazdko cień
 W rozkwitłym państwie lasu;
 I ludziom daj miłości dzień,
 I rozkosz daj wywezasu;
 Gdy przyjdzie maj, krynico laski!
 Cór ziemi przyjmij wieńce;
 Ty w cnót je ubierz blaski,
 Ty daj im oblubieńce!

Dla wielu, wiesz, że wicher ten
 Jest innej wiosny zwiastun:
 Że kości ich na wieczny sen
 Grób zimny weźmie piastun;
 Pocieszycielko konających,
 Maryjo, Matko święta!
 Z dusz w Ciebie ufających
 Zdejm ciała ziemskie pęta.

I ucho daj modlitwom leż
 Na mogił smutnem polu;
 W Twą pieczę weź: mirt, lilie, bez,
 Posadzon ręką bólu.
 Siej Maryo, Matko Ty boleści!
 Na groby zapomniane,
 Lub skryte gdzieś bez wieści:
 Podarki Twe wiosniane!

ANTONI PIETKIEWICZ.

(ADAM PŁUG).

Ur. r. 1824 w Zamościu pod Słuckiem w gub. Mińskiej.

»Zagon rodzinny« (1858); »Kłosy z rodzinnej niwy« (1858);
 »Pamiętki domowe« (1858); »Srocza« (1868).

Z POEMATU: „SROCZA.“

Chmurno, mroczno, ziemia wszystka
 Jak grób świeżo zasypany;
 Czarne gaje, czarne lany,
 Zielonego nigdzie listka,
 Bo doroczne dary Boże
 Przeszły wszystkie zwykłą drogą,
 A co przyszłość zdarzyć może,
 Skryte jeszcze pod złowroga
 Zimnej gleby bryła czarna,
 Gdzie nim deszcze je poleją,
 Długo tęskniąc biedne ziarno
 Wpadło w letarg z swą nadzieją.

Smutno, straszno!... gdzie rzuć okiem,
 W zamieszaniu wszystko dzikiem.
 Trzoda z pola z smutnym rykiem,
 Człek skwapliwym pędzi krokiem;
 Za złowieszczym wrzaskiem wrony
 Ciężkim lotem rwą w przegony;

Zzółkle liście góra, dołem,
 Chyżo z wiatrem mkną po świecie,
 Co po niebie, jak popiołem,
 Chmur tumanem siwym miecie
 I przewraca je, szamota,
 Zwija w kłęby, w pasy ściele,
 Aż w nich czasem, jak w popiele
 Iskra, mignie gwiazdka złota,
 Jakby smutnym oczom czleka
 Na świadectwo, na znak święty,
 Że kto burze te przeczeka,
 Znowu jasne firmamenty,
 Znów świetlane złote zorze,
 Znów oglądać wiosnę może.

Niech więc jesień mroczy sobie!
 Jak nastala, tak i minie;
 A my, bracia, w slotnej dobie,
 Ot, zasiadłszy przy kominie,
 Na złość chłodnej zawierusze,
 Grzejmy kości przy tym żarze,
 Na złość nudom, cieszymy dusze
 W przyjacielskich gawęd gwarze.
 — O czym gwarzyć? — O czym chcecie,
 Toż nam treści nie brak przecie...
 Byłe tylko, mój sąsiedzie,
 Nie o troskach, nie o biedzie,
 Nie o morze, nie o głodzie,
 Małych zbiorach, lichym wschodzie,
 I tak dalej, i tak dalej,
 Czem ziemianin rad się żali.
 Skarg zaniechać raz już trzeba,
 Zdać się Bogu w mocnej wierze;
 Gdyś zaorał, zasiał szczerze,
 To już reszty czekaj z Nieba, —
 Co nie zeszło na jesieni,
 To się z wiosną zazieleni, —
 Z polityki także kwita!
 Człek nią głowę próżno mroczy;

Świat się swoim torem toczy
 I o zdanie nas nie pyta,
 Mnie, ni ciebie, mój rejencie,
 Ani tego, co w gazecie
 Te smalone duby plecie,
 Którym Waćpan wierzysz święcie.
 Więc najlepiej zwróćmy oczy
 W lat minionych czas uroczy,
 Przypomnijmy stare dzieje,
 Te rozkosze i boleści,
 Z której dzisiaj człek się śmieje,
 Ale duszę niemi pieści,
 I otula, jak w makowe
 Liście, biedną, starą głowę...
 Sam początek pierwszy zrobie
 I opowiem wam o sobie.

Lat półkopy i z nadstatkiem,
 Byłem chłopcem istne cacko!
 Nie papinkiem, nie gagatkiem,
 Ale zuchem z miną gracką,
 Z licem, jak krew żywa z mlekiem,
 Krzepki, jakby dębczak młody,
 Zwiny — na bok z kozłem dzikim,
 Śmiały — w ogień czy do wody!
 Z sercem miękkim, jak wosk lepki,
 Z głową nie bez piątej kleпки!...
 Bóg nie skarał mnie tym brakiem;
 Ale, żem był jedynakiem,
 Że zmarł ojciec, gdym był w szkole,
 Zatem, jak to często bywa,
 Moja matka nieszczęśliwa
 Wzięła do dom swe pachole,
 Nim oleju mu do miary
 W głowę mogły wlać Pijary.
 Stąd więc czegoś brakowało,
 Ale pono bardzo mało,
 Może' nawet i nie zgola,

Jak sądziła moja mama;
 Bo natura nieraz sama
 Więcej da, niż wszelka szkoła.
 Mnie też dała bardzo sporo,
 Zwłaszcza w ową głowy stronę,
 Kedy sztuki wyzwolone
 Swoje święte źródło biorą.
 Więc w malarstwie: piórem śmiałem
 Ptaszki, kwiatki i koniki,
 A najbardziej deseniki
 Przecudownie malowałem,
 A więc w rzeźbie, czy snycerce:
 Seyzorykiem (cud zręczności!)
 Z bursztynu, szyldkretu, kości,
 Mogłem wyciąć czy to serce,
 Czy to krzyżyk, czy malutki
 Kluczyk do malutkiej kłódki.
 Lub wreszcie z pestki wiśniowej
 Koszyczek filigranowy,
 Co wszystko wonceś dziewczęce
 Nosily jak zausznice.
 Ale na mil parę kołem
 Dało sławę mi snycerza
 To, że z drzewa raz wyciąłem
 Z włócznią i szablą żołnierza,
 Co na przecie osadzony
 I wyniesiony na strzechę
 Naszej chatki, na wsze strony,
 Na dziw ludziom i pociechą,
 Tak się kręcił i tak srodze
 Machał włócznią, ciał szabelką,
 Że aż wróble z wrzawą wielką
 Uciekały odeń w trwodze. —
 Więc w muzyce: (Boski darze!)
 Grałem ślicznie na gitarze,
 I to z nut, walce, mazury,
 Anglezy i krakowiaki;
 A gdym wziął się na pazury,

To, jak Paganini jaki,
 Grałem nawet sławną *Burzę*,
 Utwór wspaniały niełada,
 Gdzie grzmi, błyska i deszcz pada,
 Nadto przy gitary wtórze,
 Co zaleta też niemala,
 Śpiewałem, jak Catalani:
 „Czegoś oczki zapłakała“, —
 „Przyznam ci się moja pani“, —
 „Szumi wiatr z gradem zmieszany“, —
 „Nie wytrzymam, powiem mamie...“
 Lecz nie zliczę, bo nie kłamię,
 Piosnek lik był nieprzebrany.
 Dalej w tańcu: Boże drogi!
 Ryba w wodzie, ptak w błękicie!
 Co za dziarskość! co za życie!
 Rzekłbyś lecał skry z podłogi,
 Gdy bywało przy swej lubce
 Zamaszyste tne holupce!
 I do konia: bies nie chłopiec!
 Jak nań skoczę, huknę, świsnę,
 Mur, plot, parkan, rów czy kopiec,
 Choćby przepaść, fraszki istne,
 Już i wicher mnie nie zgoni!
 Takim dzielny był do koni!
 A do strzelby: na sto kroków
 O nóż kule rozcinałem
 I jaskółki z pod obłoków
 Miotłem w zakład każdym strzałem.
 A na dziki czy niedźwiedzie
 Polowanie jak się zdarzy,
 To bywało, kto rej wie dzie?
 Już ciż ja! a strzelcy starzy,
 Choć z zawiści chmurzą czoła,
 Choć klną skrycie całą duszą,
 Zawsze jednak przynąć muszą,
 Że nikt sprostać mi nie zdola,
 Bo każdego z nich przesadzę

I w celności, i w odwadze.
 Lecz to wszystko niczem jeszcze!
 Najchlubniejszą mą zaletą
 Było to, co w końcu mieszcze,
 To jest, że byłem ... poeta,
 I na kwiatki, na strumyki,
 Na gwiazdeczki, księżyc złoty,
 Śpiewy ptasząt, żab skrzekoty,
 Wycie wichrów, jęk sów dziki,
 Ślicznem układał wierszyki,
 Słynne parę mil dokoła.
 A więc miała racją mama,
 Że natura nieraz sama
 Więcej da, niż wszelka szkoła.

Tak więc żyłem wśród igraszek,
 Szczęsny, wolny, jakby ptaszek.
 Bo choć jasne dziewcząt oczy
 Bily we mnie ostrym strzałem;
 Z każdą grzeczny i ochoczy,
 Żadnej jednak nie kochałem.
 Aż, jak ongi na Matyska,
 Tak i na mnie przyszła kréska.

Raz, pamiętam, na jesieni,
 Wykradłszy się szlachcie braci,
 Sam wypadłem z strzelbą w knieję.
 Ślicznie było. Las się mieni
 W cudne barwy: zielenieje,
 Skrzy się, złoci i szkarłaci
 W różne cienie i odmiany,
 Jakby tęczą opasany,
 Jakby w niebios strop wysoki
 Ktoś powprawiał za obłoki
 Takie szyby kolorowe,
 Jak te, co z nich po kościele
 Na przykleklej rzeszy głowę
 Słońce barwne smugi ściele.
 Cicho było, uroczyście:

Wciąż szeleszcza tylko liście,
 Wiecznie drżące na osinie,
 I od sosen na wsze strony,
 Jak pacierza szept stłumiony,
 Szmer poważny, smętny płynię.
 Cicho, żaden ptak nie śpiewa,
 Czasem tylko sójka wrzaśnie
 Albo żolna, co halaśnie
 Twardym dziobem tłucze w drzewa,
 Lub zaświszcze na jastrzębie
 Drozd spłoszony.

Z słuchem, wzrokiem
 Zachwyconym tym urokiem,
 Coraz dalej szedłem w głębie,
 Gdzie krok każdy mi odsłania
 Nowe czary, nowe dziwy.
 Zapomniawszy polowania,
 Z myślą tylko był myśliwy.
 Wtem, daleko gdzieś ode mnie,
 Huknął ktoś raz, drugi, trzeci...
 Głosek słaby, — pewno dzieci
 Lub dziewczęta, co wzajemnie
 Nawołują się po borze,
 Biorąc rydze i opieńki.
 A żem w dobrym był humorze,
 Więc, udając głosek cienki,
 Tymże trybem jota w jota
 Odhuknąłem przez pustotę.
 „Hop, hop, hop!“ brzmi znów po lesie;
 „Hop, hop, hop!“ znów echo niesie.
 I tak ciągle. Okrzyk rośnie,
 Wciąż się bliżej, jaśniej znaczy.
 Ale jakoś tak żałośnie,
 Tak płaczliwie, jak w rozpacz.
 Zrazu zbierał śmiech mię pusty
 Na myśl, jak tam ktoś przez chrósty
 I przez klody, i przez łomy
 Drze się, myśląc, żem znajomy,

I jak, kiedy niespodzianie
 Z obcym oko w oko stanie,
 Może śliczna panna jaka
 Zmiesza się i spieczę raka
 I... lecz później myślę sobie:
 Czyż uczciwie ja to robię?
 A jeżeli w tym obłędzie
 Ktoś od družek swych gromady
 Tak daleko się zapędzi,
 Że ich całkiem straci ślady?...
 Dość-że tego! Więc co żywo
 Chwytam trąbkę swą myśliwą
 I dmę, co tchu starczy ino.
 Zmilkłem; echa w lesie płyną,
 Długo, długo... znikły w dali.
 Słucham: głoskę znów się żali,
 Jęczy, płacze. — Bez wątpienia
 Ktoś zbłąkany! Więc z ramienia
 Zrywam strzelbę i w obłoki
 Na wiatr palę. Las głęboki
 Jak od gromu wstrząsł się cały,
 Echa echem huk podały,
 I znów cicho, i znów słyszę:
 Maci głos żaloszny ciszę.
 Toć już przecie nie uwodzę,
 Bilem w trąbkę, dalem strzał;
 A głos jęczy, jakby w trwodze
 Czy boleści skonać miał!
 Snadź ratunek tam potrzebny...
 Wpadam w zapal więc chwalebny,
 Trąbię, daję strzał za strzałem
 I przed siebie pędzę cwałem.
 Wtem... o dziwy!... osłupiałem,
 Skamieniałem!...

Na powale
 Dębu, na mchów aksamicie,
 Urok! czary!... czy słyszycie?
 Czy wierzycie? Świtezianka,

Czy rusalka, — cud-dziewica,
 Czarnooka białolica!
 W bujnych zwojach z pod jej wianka,
 Co go tworzą barwne liście,
 W jakie jesień przystrojona,
 Na prześliczne jej ramiona
 Spada kruczy włos rzęście
 I osłania śnieżną szyję,
 Kędy z jagód dzikiej róży
 Kraśny, lśniący sznur się wije,
 Co nad koral wdzięczniej służy;
 Wiotką kibić, zamiast wstęgi,
 Widlak, jakby sznur zielony,
 Ujął w kolo w swoje kregi
 I ku stopom skroś festony
 Porozwieszał po sukience,
 Co stargana i pomięta;
 Załamane białe ręce,
 We łzach toną jej oczęta,
 W licach przestrasz i ból srogi,
 Drżą usteczka, a pod nogi
 Porzucony koszyk widzę,
 Co mech stroi w żółte rydze.

Stoję, milczę, milczy ona.
 Jak zakłęci wraz oboje;
 I rusalka przelekniona,
 I ja sam się czegoś boję.
 Spojrzę, — spłonę się, to zblednę;
 Zadrzę skrycie duszą całą...
 Dziwy! jakże dziewczę jedne
 Tak z odwagi mię obralo?
 Chcę przemówić, — niema głosu;
 Chcę się ruszyć, — brak mi siły.
 O mój Boże, Boże miły,
 Od strasznego zbaw mię losu!
 To rusalka, bez pochyby...
 Wszak ich w naszych lasach wiele;
 A ten wianek i to ziele,

I hukanie, płacz i grzyby,
 To wybiegi i mamidla,
 By mię łacniej ująć w sidła!
 Bo jak łzawe swe oczęta
 Na mnie zwróci, to się zdaje,
 Że w nich taki czar, ponęta
 I rozkoszne takie raje,
 Iż ochoczobym za niemi
 Na sam koniec pobiegł ziemi...
 Zbaw mię, Boże! ratuj, Panie!
 I w strach taki wreszcie wpadłem,
 Żem chciał drapnąć, co sił stanie,
 Przed złowrogiem tem widziadłem...
 Już pomknąłem... A wtem ona
 Nagle z kłody ku mnie skoczy.
 Wzniesie w górę swe ramiona,
 Zwróci na mnie łzawe oczy
 I zawoła w głos splakany:
 „Ratuj, na Chrystusa rany!”
 A więc raptem w miejscu skręce,
 Na jej okrzyk ten boleśny,
 I zapytam: „Co panience?
 To panienka nie duch leśny,
 Nie rusalka?”

„O mój Boże!

Pan żartuje tak z niebogi;
 A ja błędę w dzikim borze
 I nie mogę znaleźć drogi.
 Sił już braknie mi...!” zakwili
 Łzawym głosem, w dłonie drobne
 Kryjąc liczek swe nadobne,
 Z rzewnym płaczem. Bracia mili!
 Ach, ten głos! to jej łkanie!...
 Takim głosem, z łkaniem takim
 Gdyby rzekła: „Stań się ptakiem,
 W lot mię unieś!” — byłbym w stanie
 Orłem wzbić się pod lazury
 I ją unieść swemi piórami.

Więc wzruszony, drżący wszystek,
 Jak osiny wiotki listek,
 Co nad głową mą szeleści,
 Czując, jako mi z boleści,
 Jak wosk w ogniu, serce topnie,
 Głosem, gdzie już leż nie mało,
 Jęknę wzajem: „To okropnie!
 Skądżeś panna? Co się stało?”
 — „Z Rudki: w grzyby wyszłam z rana;
 Niedźwiedź spłoszył mię; zblakana,
 Z tego boru wyjść nie mogę.
 Ratuj, panie! wskaż mi drogę!”
 — „Niedźwiedź? Boże litościwy!
 Krzyknę w zgrozie, łamiąc ręce. —
 Ale służę już panience;
 Jam bywały tu myśliwy,
 Znam ten las, jak swą zagrodę,
 W nocy nawet stąd wywiode.”

Wpół z radością, wpół z obawą,
 Spojrzy na mnie rzewnie, łzawo,
 I uśmiechnie się przez lezki:
 Anioł chyba już niebieski
 Takie słodkie, cudne oczy,
 Taki uśmiech ma uroczy!
 Potem w koszyk swój zgromadzi
 Rydze ze mchu naokoło
 I swobodnie już, wesóło
 Rzecz: „Niechże pan prowadzi!”

Aż nareszcie nad wieczorem
 Bór się skończył, a za borem,
 Poza niwą, o staj parę,
 Przy sadzawki wodzie sinej,
 Śród topoli i wierzbiny
 Widać dworku ściany szare.
 Pótyż mego szczęścia, póty!...
 Smutny, gorzki, jakby struty.

Krok zwolniłem, czapkę zdjąłem,
 I niziuchno chyląc czołem:
 — „Otóż Rudka — rzekłem — sądę,
 Że stąd trafi już panienka,
 Nie zabłądzi.“ — „O, zabłądź,
 Lub znów niedźwiedź mię naleka.“
 — „Toć już przecie widna brama...“
 — „O, nie pójde za nie sama!
 Niech na miejsce pan prowadzi.
 Będzie miło memu dziadzi
 Nieco bliżej poznać pana.
 Wreszcie, czyż to rzecz slychana
 Cofać się przed samą chatą?
 Nie pozwolę nigdy na to!
 Proszę za mna.“

Więc szczęśliwy,

Szedłem za nią wzdłuż przez niwy,
 Ku dworowi. Owóż brama.
 Wehodził; w ganku szlachcie stary,
 Com w nim poznał wnet Adama,
 Na szerokiej siedzi lawie;
 U nóg jego dwa ogary,
 Po dziedzińcu chodzą pawie
 I moc drobiu, z ptactwem dzikiem
 W najpiękniejszej komitywie:
 Orzeł brata się z indykiem;
 Srokę wita geś życzliwie;
 W gołębniku kawka rada
 Przy gołębiu się rozsiada;
 Mimo wróbli gwarną rzeszę,
 Sowa duma coś na strzesze;
 Żóraw płasza; kuropatwa
 Z krukiem, z kurą w jednej lidze,
 Jakby jednej matki dziatwa.
 A wśród zgrai ptactwa, widzę
 Czworonogich tłum się płacze:

Z psami skaczą sarny rączę;
 Lis z zającem mknie w zawody;
 Z kozłem igra wilczek młody;
 A tam kotek się gramoli
 Za wiewiórką po topoli.

A to dziwy, istne dziwy!
 Toż tu chyba raj prawdziwy! —
 Ledwie weszliśmy we wrota,
 Gdy to wszystko, w jednej chwili,
 Jak zatętni, załopota,
 Jak zaskomli, jak zakwili,
 Jak się rzuci ku panience,
 Jak opadnie ją dokoła!...
 A ta na nie klaska, woła,
 Głaszcze, pieści, bierze w ręce,
 Do ust tuli rozczulona!...
 Jedne siadły na ramiona,
 Drugie siadły jej na szyję,
 To na piersi skacze, owo
 U jej nóg się wdzięcznie wije,
 Inne buja ponad głową,
 Lub się u sukienki wiesza, —
 Słowem, przy niej cała rzesza!

W jej pośrodku, w ptactwa chmurze,
 W zwierząt tłumie, w barwnym wianku,
 W purpurowych jagód sznurze,
 W wstęgach z ziela, gdy do ganku,
 Wywijając swym koszykiem,
 Rozpuściwszy włos warkoczy,
 Biegła z pustym śmiechem, krzykiem;
 Widok to był tak uroczy,
 Z otoczeniem tem i strojem,
 Zdała mi się takim dziwem,
 Żem znów zwątpił w sercu swoim,
 Czy to wszystko nie zdradliwem
 Złego ducha omamieniem?
 I z obawą i zdumieniem
 Nieco zdala szedłem za nią.

Wtem, przestawszy witać pania,
Psiarnia nagle na mnie wpada.
Chwytam strzelbę i dokola
Nią wywijam; — trudna rada.
Dziewczę także próżno woła; —
Jakby wściekle wra, ogary!
Aż jak huknie dziadek stary:
„Harap, lotry! a do nogi!”
W moment ucichł wrzask zajadły,
Cała zgraja pierzchła z drogi;
Psy opodał się pokładły,
Každy cichy, jak baranek;
A jam z panną wszedł na ganek.

Dziadek, suchy i kościsty,
Z podgoloną łysą głową,
Nos miał orli, twarz surową,
Wąs potężny, zawiesisty,
Brwi nawisłe, oczy siwe,
Jasne, bystre, przenikliwe;
A choć siedział trochę zgięty,
Przyrządzając lowcze sprzęty,
Dość nań spojrzeć tylko było,
Żeby poznać, że, jak wstanie,
Z dębem pójdzie w porównanie
Swoim wzrostem, swoją siłą.

Owóz siedząc na swej ławie,
Ani spojrzal na nas prawie,
Spytał tylko z miną groźną;
— „Skądże aścka tak mi późno?
Gdzie latałaś do tej pory?
Czy już wszystkie muchomory
Wyzbierałaś w puszczy całej?
Gdzież twe dziewczki się podziały,
I skąd aścece dziś się bierze
Kompan w tym tu kawalerze?”
A panienka k'niemu skoczy
I do kolan mu przypadnie,
I tak wdzięcznie patrzy w oczy,

I przymila się tak ładnie;
Że się stary niby dąsa,
A uśmiecha się z pod wąsa,
I rozechmurza się powoli.
Spojrzy na nią coraz czulej,
I ramieniem ją okoli,
I do piersi swych przytuli,
I z lubością włos jej głaska,
I liściastą jej koronę,
I korale jej czerwone,
I zielone sznury paska.

— „Cóż to było, moja trzpiotko?”
Znów po chwili pyta słodko.
Więc panienka mu szeroce
O przygodzie swej szczebioce,
A opowieść kończy całą
Tem, że gdyby jej nie dało
Niebo zbawcy w mej osobie,
„Toby może już w tej dobie
Twoją wnuczkę, dziadku miły,
Wilki w puszczy gdzieś włóczyli!”
Pan Jan znalazł mię wpół-żywą
I opieką swą pocziwiał
Tak otoczył, tak troskliwie
Szukał ścieżek w borze dzikim;
Że rozumiem, choć się dziwię,
Jak mi, z takim przewodnikiem,
Leśnej drogi spory kawał
Wcale długim się nie zdawał...
A patrz, dziadku! choć w fatyde,
W strachu, w głodzie do tej pory,
Jednak mam tu dla cie rydze
I dla muszek muchomory.”
Dziadek ku mnie głową skinie,
Ale czoło mu się mroczy;
Bystro spojrzy ku dziewczynie,
To mnie w licach utkwii oczy...
Coś wyraźnie na was mota,

Coś upatrzył widać we mnie;
 Snadź posądza mnie tajemnie...
 O co?... Grzeczność święta enota;
 A więc, choć mię złości biorą,
 Zbliżam doń się i z pokorą,
 Jak chcą stare obyczaje,
 Nizki pokłon mu oddaję
 I całuję dłoń sędziwą.
 Dziad mię rękę porwał żywo,
 Ścisnął, aż mi chrupły kości,
 I — „Bóg zapłać — rzekł — waszmości!
 A zdalekaś błędną owcę
 Tu mi przywiódł przez manowce?“
 — „Z Czarnej kniei.“ — Dziad się chmurzy,
 Targa wasy, głową kręci...
 — „Pójdźno aśkał po podróży
 Pewno aśce nie brak chęci
 Coś przekąsić... i laskawy
 Twój przewodnik, jako wnoszę,
 Również tęskni już do strawy.
 Każ, niech dadzą... Tylko proszę,
 O przygodzie przed sługami
 Trzymaj język za zębami.“
 — „Czemu?“ — spyta w wielkim dziwie.
 — „Tak chce!“ — krzyknie dziad gniewliwie, —
 „Tak chce!“ — Wyszła przelekniona.
 Dziadek powstał, za ramiona
 Ujął krzepko mię rękoma
 I rzekł: „Słuchaj, kawalerze!
 Krew nie woda, rzecz wiadoma...
 Słuchaj! przyznaj mi się szczerze...
 Las... samotność... dziewczę młode...
 Djabeł nie śpi!... o przygodę
 Łacno!... powiedz więc, czyś sromu
 Nie wniósł czasem mi do domu?“
 I, jak świdrem, tak oczyma
 Wierci we mnie; twarz mu płonie,
 Cały trzęsie się i zżyma;

A, jak kleszcze, silnie dłonie
 Me ramiona cisną, kruszą...
 Gdyby zdołał, toby z duszą
 Wyrwał ze mnie prawdę całą;
 A niech byłaby złowroga,
 To, przysiegam wam na Boga,
 Jużby ze mnie nie zostało
 Jednej kości, krwi kropelki;
 Jak grom, w prochby mię obalił,
 Złamał, skruszył, ogniem spalił, —
 Taki jego gniew był wielki!
 Lecz i mój też niemniej srogi;
 Zaigrała dusza młoda!
 — „Na bok, — krzyknę, — respekt wszelki!
 Gościem wszedłem w wasze progi,
 Włos wasz siwy, lecz nie woda
 W moich żyłach, krew to żywa,
 Krew szlachecka, krew uczciwa!...
 Posądzenie takie, starcze,
 Straszne, niecne a potwarcze,
 Krwią się tylko, krwią, krwią zmywa!“
 I, jak niedźwiedź postrzelony,
 Takem porwał się, że szpony
 Dziada już mię nie wstrzymaly.
 Nieprzytomny, oszalały,
 Zatoczyłem w krąg oczyma,
 Czy gdzie blisko szabli niema...
 Lecz dziad znowu mię ramiony
 Chwyci, wzniesie naksztalt dziecka
 I zawoła ucieszony:
 — „O pocziwa krwi szlachecka!
 Kawalerze mój ty złoty!
 Dość mi tego! Duszę zacną,
 Czystą, pełną wielkiej cnoty,
 Z tego gniewu poznać łacno!...
 Przebacz! Stary-m, a wiek stary,
 Wiek posądzeń, wiek niewiary;
 Toż wzgląd na to mieć potrzeba.

Przebacz! a niech Bóg ci z Nieba

Błogosławi w każdej sprawie,

Jako ja ci błogosławię!“

I całował mię, i tulił,

Lkając, czoło znaczył krzyżem...

Więc, w przewrocie uczuć chyżym,

I jam również się rozezulił,

I ochłonił, i ze łzami

Całowałem starca ramię...

— „No, a teraz, gościu drogi,

Racze wstąpić w nasze progi

I skosztować z dobrej woli

Szlacheckiego chleba, soli.“

I podawczy ramię swoje,

Wiódł mię grzecznie na pokoje.

FELICYAN FALEŃSKI.

(FELICYAN).

Ur. r. 1825 w Warszawie.

»Kwiaty i Kolce« — »Z ponad mogił« — »Odgłosy z gór« —
»Świstki Sylena« — »Harmonie jesienne« (1856—1876) — »Prze-
kłady obcych poetów« (I. 1878. II. 1890) — »Przekład pism Pe-
trarki« (1881) — »Meandry« (1892) — »Pieśni spóźnione« (1893).

TERMINUS.

Dzień i noc, w wichrach, mgłach i gołodzi,

Wśród was na miedzy ja stoję —

Byście w pamięci mieli dwaj sąsiedzi:

Że tu jest jego, tam twoje.

I mam dwie twarze, bym w dwie strony snadnie

Nagładać mógł w jednym czasie,

Bo tak chcę: — każdy niech u siebie władnie

A od cudzego mu zasie.

I wiedziecie przeto wszyscy sercem prości:

Że, gardząc gwiazd życiem błogiem,

Wolałem, jako ludzkiej stróż własności,

Tu skamieniałym być Bogiem. —

Tak (mniej ogłędnie Olimp swój rzuciwszy)

Mową z granitu ciosaną

Wszem w obec prawil z Bogów najuczciwszy —

Terminus było mu miano.

Wtem przyszli tacy, którzy jak najszczerzej
Nie w Boga lecz w siebie wierzą,
I rzekli: — Wszystko wszystkim się należy —
Przeto jest własność kradzieża.

Więc i ty precz stąd! boś zawałidroga
Praw, których wygląd się zmienia,
Ani też dłużej chciej udawać Boga —
Gdyś tylko bałwan z kamienia. —

To skoro rzekli, stróż ów granitowy,
Gdy mu obuchem w kark dano,
Padł i u nóg swych ujrzał mózg swej głowy —
Terminus było mu miano.

Ach, moi drodzy! z ciężką ja tęsknotą
Wiecznie żałować go będę!
Ni zasług nie brał, ani wiedział, co to
Zadatek wziąć lub kołędę.

Ani się w święto, ani przy niedzieli
Nie upił niespodziewanie.
Aniście z dziećmi żywić go musieli,
Ani mu dawać mieszkanie.

Choć znów — bywało — tenże coraz śmielej
W nieswoje sprawy nos wtyka:
W biura bankierskie, w dwór obywateli,
W sklep kupca i rzemieślnika.

Mówiono w obec tej ciosowej bryły,
Kornymi czeząc ją poklony:
Zrobię co, przyjdę — jak mi Bóg ten miły —
Lub oddam w dzień oznaczony.

Niejeden dotąd z żalem to wspomina —
Lecz ja tych uczuć nie dziele.
Słusznie dziś nikt z nas nie dba o Termina —
Czyż my bałwanów czcicie? —

Z HARMONII JESIENNYCH.

W świat idę — nie wiem — w zmroki gdzieś szarawe —
Sierocy patnik. Zawsza mglisto — ciemno —
Poza mną marną zostawiłem wrzawę,
Ale niepokój mój jest jeszcze ze mną...
Z Wawelu Zygmunt jęczy w ślad mej drogi,
A ja sam siebie pytam: — W tej podróży
Kiedyż ja spocznę, gdy się stopa znuży?...
Oto przezystej Maryi święte progi...
Witaj, gospodo! Twojej wieży strzala
Bardzo chwalebnie w niebo się wybrała,
Bowiem od czoła
Kazimierzowska wieńczy ją korona.
Wśród gwaru mknących w gniazda swe jaskólek,
Słońcem się jeszcze złoci jej przyczółek...
Wszedłem — i oto stoję zadumany.
W chrzcielnicy starej, u przedsionka ściany,
Świeconą wodą w krzyż się Pański zdobię,
I gdy źrenicą spojrzę zewsząd suchą,
Zwolna mi błogą wzbiera pierś otuchą...
O! jak tu cicho w tej burzliwej dobie!
Gdyby też spocząć w głuchej gdzieś nicości,
Jak nie dzisiejsi ludzie ci ze stali,
Co ciała swego proch i swoje kości
Pod stopy przyszłym pokoleniom ślali
W krążganków tajni, wiecznym cieniem skrytej,
Pokornie kładąc swych grobowców płyty,
Aż z nich została, zwolna urobiona
Posadzka kruchty. Brzmiące ich imiona,
Wraz z całą ziemskiej chwały ich ozdoba,
Wklęknęto w ziemię — tak, że w tej samotni
Zwolna odeszli jak najbezpownotniej,
Pamięć o sobie nawet biorąc z sobą!

JAN ZACHARYASIEWICZ.

Ur. 1825 r. w galicyjskiem miasteczku Radymnie.

NIEPOGODA.

Jakoś mi senno, smutno i nudno,
Na polach deszcz i mgły.
Kochać? boleśnie; zapomnieć? trudno,
A w sereu sny i sny! —

I nie nie widzę, świata ni ludzi,
Bo światem ja i ty!
I śnię szczęśliwy — ach, sen mnie budzi...
Na polach deszcz i mgły!

I patrzę w niebo — ni gwiazd, ni słońca,
Ni w mojem oku łzy,
A wszędzie tuman i mgła bez końca,
I mgła, gdzie ja i ty.

Na pola zejdzie słoneczko z nieba,
A dla nas zawsze lza!
Kochać? nie można; zapomnieć trzeba —
Na polach deszcz i mgła!

JADWIGA ŁUSZCZEWSKA.

(DEOTYMA).

Ur. 1 Sierpnia 1834 r. w Warszawie.

Improwizacye i poezye (1854) — Wybór poezyi (1898).

JAN SOBIESKI POD WIEDNIEM.

Poema epickie.

ŚPIEW DWUNASTY.

Wszystko usnęło. Śpią nawet wodzowie. *)

Król tylko jeszcze z poufnymi gada;
Namiotek pański rozwarty w polowie.
U wejścia dworska kręci się gromada.

*) »W sobotę (11 września 1683 r., w wilią bitwy) ruszył się z tego miejsca z wojskiem król, ciągnąc ku Wiedniowi... i takżeśmy cały dzień stawili na tym marszu, który... tak był powolny, żeśmy aż ku zmrokowi, po zachodzie słońca stanęli z wojskiem w dębinie, wielkie pół mili od Wiednia; jednakże widać nam było wieże od Świętego Szczepana, kościoła katedralnego w Wiedniu; i lubośmy tak blisko stanęli, jednak Turcy o nas nie wiedzieli, a to dla nocy... Namiotek maleńki królowi rozbito materac i porzucono, który za nim na koniu wieziono; na którym materacu król siadłszy mówi do nas dworzan: »Nie mam się na kogo spuścić, a samem sfatygowany bardzo, trzeba, abym miał wczas jaki na jutrzejszą

Na słupie wiszą krzyżyki, różańce,
Obraz, i w szklanej malowanej bańce
Lampka, jedyna, która dzisiaj świta
Na górach. Turcy nie dojrzą jej zdala,
Bo mdla i główką namiotu zakryta.

Więc król ją palić pozwala.

Więcej. Nietylko, że pozwolił na nią,
Lecz sam nakazał. Jakże przy sobocie
Nie palić światła przed Niebieską Panią,
Co już mu łaski sypała na krocie,
I jeszcze wczoraj zstąpiła w obrazku?
— Pod słupem, w kęgach drżącego półblasku,
Na materacu król siedzi, z kawalem

pracę; będzie dzisiaj dawał znaki komendant wiedeński Sztaremberg, trzeba by mi ich pilnować, a nie mogę.» Na to odzywa się J. P. Mateczyński (który natenczas był koniuszym koronnym i dyspozytorem dworu królewskiego, a potem wojewodą ruskim...) mówi tedy ten: »Mości królu, trzeba by się... wywczasować, choć nie tak jak należy. Na mnie się W. K. Mśc spuść, a ja przypilnuję.« Król mówi: »Nie mogę też tego komu innemu poutać.« I wtem położył się król na materacu, a Mateczyński siadł sobie przy drzwiach tego namiotku na taborku, który masztalerz woził zawsze w trokach, bo po nim król, ile przy swojej korpulencji, wsiadał na konia. Po godzinie cieciter (około 9-tej wypada raca z wieży Św. Szczepana z Wiednia, która nam była widna, i odzywa się Mateczyński do króla: »Mości królu, już jeden znak wyszedł.« »To już wie, żem Dunaj przeprawił.« — W kilka pacierzy znowu wypada druga raca, za którą odzywa się do króla Mateczyński: »Mości królu, już drugi znak.« — »To już wie, żem się od taborów ruszył.« Potem, trochę poczekawszy, trzecia raca wypada, i mówi do króla Mateczyński: »Mości królu, już trzeci znak.« Dopiero król się odzywa: »Niechże będzie Bóg pochwalon, to już wie, że się tu z wojskiem znajduję.« Ta zaś wiadomość, jako suponujemy, musiała być, że sekretarna poczta chodziła przez rybaków do Tułna, pod którym łączyły się wojska cesarskie z naszymi. Po wydaniu tych znaków, uspokoił się król, nakreśliwszy zegarek na godzinę trzecią po północy, który blisko siebie kazał położyć, żeby się za excytarzem obudził.«

Mikołaja Dyakowskiego, Podstolego Latyczowskiego, SUMMARYUSZ OKAZYI WIEDEŃSKIEJ — w Zbiorze Pamiętników do dziejów Polskich, wydanych przez Włodzimierza St. hr. de Broel-Platera w Warszawie. 1859. Tom IV, str. 184 i 185.

Czarnego chleba i krajanką sera.
Okiem od kurzu i trudu nabrzmiałem
Po przechodzących spozieram.

Widzi, że senne pазie i dworzany
Ledwie na nogach utrzymać się mogą.
— „Nie mam“ — powiada — „spuścić się na kogo.
„Jestem okrutnie już sfatygowany,
„Wczas-by się przydał na jutrzejszą pracę,
„A tam komendant ma wypuszczać race.“
— Mówiąc, spoglądał na wykrawek nieba,
Co we drzwiach mleczną pokazywał drogę.
— „Tych znaków“ — dodał — „koniecznie mi trzeba
„Pilnować, a sam nie mogę.“

Tu pan Mateczyński zbliżył się i mruga,
Małe mu oczka troskliwością świecą.
— „Tak, Mości Królu, oj tak! noc nie długa,
„Trzeba się gwałtem wywczasować nieco,
„Choć nie tak jeszcze jakby należało,
„Kto przypilnuje? No ja. Można śmiało
„Spuścić się na mnie.“ „Dobrze“ — król odpowie. —
„Komu innemu poutać nie mogę.“
— Dał znak, wychodzą dworscy i paziowie,
Tworząc na zewnątrz załogę.

Pod gałązkami, niby pod przezroczą
Kotarą, ścielą gęste legowisko.
Czasem chłopięta jeszcze zachichoczą,
I szał ucihną, bo pan bardzo blisko.
— Mateczyński wyniósł królewski taborek,
Z zanadrza wyjął sznur ciemnych paciorek,
Czapkę nałożył, i siadł przed namiotkiem.
Duma. Dla siebie nie myśli o wczasie,
Choć jest zmęczony. Ach, wszystko mu słodkiem
Dla swego Jasia nad Jasie. —

Patrzy na ziemię i niebo. Jest na co.
W dole namioty mająceją wschodnie.

Szum jak od morza. Biegają pochodnie.

Jakieś narzędzia dzwonią i kołaca.

Ludzie coś kopią czy sypią reduty.

— Na głębi Dunaj, wypami pokluty,

Kręci się lśniąco jak łańcuch z dyamentu.

— Wiednia nie widać z poza srebrnosinej

Mgły. Tylko wieża sterczy, jak jedyny

Maszt rozbitego okrętu.

A wyżej, gwiazdy zasły firmament,

Niby ktoś sypnął różańcowych ziarek.

Patrzają spokojnie na ludzki nasz zamęt.

— „Żebyś to umiał“ — pomyśli pan Marek —

„Z tych gwiazd wyczytać okiem astrologa,

„Co tam na jutro jest u Pana Boga?

„Bo przecie wszelka destynacya ziemi

„W tych jeroglifach stoi wypisana.

— „Żebyś ją wiedział, która między niemi

„Jest gwiazda mojego Jana?“

Rzecz to prześliczna przy gwiazdach — marzenie,

Lecz po dwóch dobach giemzowych wędrówek

Opada głowa, sen niepostrzeżenie

Zaprusza oczy pyłkiem swych makówek.

— Zły jest pan Marek, z drzemki się otrząsa,

Twardo pokręca żółtawego wasa.

W końcu, na wielkie sposoby się bierze:

„Zmówmy koronkę do Pana Jezusa.“

Pomogło. Ledwie rozpoczął pacierze,

Odeszła senna pokusa.

Oh! Na wieży Świętego Szczepana

Błysło... Ej, może omyliło oko?

Nie, — zrazu jasność prawie niedojrzana,

Jak złota kropka. O... teraz wysoko

Wylata nakształt gorejącej kreski,

Niby wykrzyk na księżde niebieskiej,

Gdzie Wiedeń wszystkie swe prośby przesyła

Kahlenbergowi. — Kreska się pokłania

I spada, jakby w powietrzu kreśliła

Ognisty znak zapytania.

„Ach, żem nie usnął, — serce Jezusowe!

„Przyjmij-że za to mój afekt najszczerzy.“

I rad, wetknawszy do namiotu głowę,

Rzekł: „Mości królu, już wyszedł znak pierwszy.“

— Lecz się i martwi: „Zaledwie spać pocznie,

„Już go przebudzam.“ — Król nie spał widocznie.

Głos jego trzeźwo zabrzmiał w odpowiedzi:

„Więc tam już wiedzą, że się przeprawilem —

„Przez Dunaj.“ — Umilkł. — Matczyński znów siedzi.

Czuwanie już mu jest milem.

Oczy i myśli podnosi do góry.

Zaledwie kilka wyszeptal pacierzy,

Świetlana wstęga wywija się z wieży.

„Już, Mości królu, wyszedł i znak wtóry.“

— „Teraz już wiedzą“ — słychać pod namiotem —

„Że się ruszyłem od taborów.“ — Potem

Znowu milczenie. — Już i do koronki

Brać się nie warto. — O... tam! Znowu leci.

Powstał, uchylił płócienną zasłonki,

— „Jest, Mości królu, znak trzeci!“

Musi ta trzecia wiadomość być przednia,

Dusza królewska musi być jej rada,

Bo król się porwał, na posłanie siada

I mówi: „Teraz, już komendant Wiednia

„Wie, że tu jestem. Niech-że będzie za to

„Pan Bóg pochwalon. Flisy zachowato

„Nam się sprawiły. Dobranoc Waszmości.“

— Po cichuteńku wychodzi pan Marek,

Zamyka namiot, kładzie się w bliskości,

A król nakręca zegarek.

Cacko endowne, gościniec, od żony,

Jeszcze za czasów hetmańskich, z Paryża

Razem z najpierwszym synkiem przywieziony.

— Kluczyk się kształtem do armatki zbliża;
Wisi przy grubym, węzlastym łańcuszku.
— Dwie są koperty o splaszczonym brzuszku.
Na jednej płasza wieniec kupidyńków.
Tylko całować emaliowe ciało.
— We środku pała, brylantową strzałką
Przebite, serce z rubinków.

Po drugiej stronie scena trochę płocha.
Dama i pasterz dają sobie buzi.
Strumyk — baranek — raj. — Ach ci Francuzi
Ze swym dowcipem, niech ich Pan Bóg kocha!
Te dwie twarzyczki wyraźnie się śmieją.
Pewnie to sławny Celadon z Astreją.
— Kiedy otworzysz, niedość że godziny,
Lecz i minuty i sekundy czytasz.
— Wewnątrz się kryje rzadki a jedyny
Skarb dla żołnierza: excytarz.

„Wpół do dziesiątej. Miły Morfeuszu,
„Krótco się mogę zabawić z waszecią,
„Chodź tu sam prędco, dodaj animuszu.“
— Mówiąc, excytarz nastawił na trzecią.
Potem się układowi i pięścią pod głową
Przybił maleńką poduszkę łosiową.
(Której Matczyński nie zwierza nikomu,
I dziś na własnym uwiązanej pasie
Przywiózł u siodła, by Jaś w każdym czasie
Miał swego Jaśka, jak w domu).

Król zamknął oczy. Ale nie przylata
Morfeusz. Cisza. Od czasu do czasu
Szum tylko chodzą wierzchołkami lasu,
Lub z dolin huknie turecka armata.
Niekiedy echem odezwie się rzadkiem
Jakiś huk słabszy. To kul swych ostatkiem
Wiedź wyrzuca rozpaczne sygnały.
— Król się przewraca, poprawia wojska.

Szepee: „Niech lieho weźmie te wystrzały.
„Nie dają mi zmrzyć oka.“

O nie, mój królu, — to nie ręka cudza,
Lecz twoja własna myśl rozwirowana
Targa ci duszę i oczy rozbudza.
Duch niepokoju przystąpił do Jana,
Groźne przecucie, podobne pobudce,
Gada mu w sereu, że ten dzień, co wkrótce,
Jak dekoracja krasiwa i złota,
Kahlenbergowe theatrum upiększy,
Będzie największym dniem jego żywota.
Ale czem będzie największy?

Chwałę, czy wstydem? Bo wszystko być może.
Wszak przegrywały nawet Pompejusze?
Tylko złą pychę zaślepione dusze
Głupio ufają Fortunie. — „O Boże,
„Miałebym przegrać? Wzlecieć tak ogromnie,
„By spaść tak nisko? Zresztą... mniejsza o mnie,
„Ale mój naród? Na toż go szalenie
„Miałbym wyciągnąć w te zagórne strony
„I w oczach świata wieść na pokuszenie,
„Ażeby wracał zhańbiony?

„A jednak zdawna pragnąłem gorąco
„Takiej godziny, w której raz na zawsze
„Mógłbym się zmierzyć z tą wiecznie syczącą
„Hydrą pogańską. — Twoje najlaskawsze
„Wyroki dają mi taką godzinę,
„Dają mi pole do walki jedyne,
„Wojsko tak duże, jakiego u siebie
„Nigdy nie miałem. — Co siły ludzkieni
„Da się przewidzieć, zrobiłem na ziemi.
„Teraz, Ty rozsądź na niebie.“

Przez chwilę ufał. Ale z woli Boga,
Co chciał go duszną zahartować męką,
Znowu do niego przystępuje trwoga.

— „Jest-żem ja godzien, aby moją ręką
 „Bóg dał dopełnić tak świętego dzieła”
 — Tu cała przeszłość w oczach mu stała.
 Widzi, jak skośne centki na motyłu,
 Żle zwyciężone młodych lat pokusy.
 Mignęła przed nim pani z Longuevillu,
 Wzrokiem siejąca turknsy.

I jeszcze kilka przesłicznych par oczu,
 Z iskrami żalu i łzami pokuty,
 Błysło w różowym przypomnieniu przezroczy
 — Dalej, surowsze przychodzą wyrzuty.
 Patrz: oko Paców nienawiścią pała.
 Powstaje chmurny cień króla Michała.
 Były-ż to grzechy, czyli tylko same
 Pokusy? Nie wie. Za wszystko się gani.
 — Im suknia bielsza i czystsza, tem na niej
 Wyraźniej znać każdą plamę.

Ale-ż to, królu, zmazane już winy?
 Wszak pogardziłeś płochością motyla
 W dzień koronacji? Zmieniony z tą chwilą,
 Pałasz już tylko dla jednej, jedynej.
 Dziwny przykładzie małżonków i króli,
 Tam się poprawiasz, gdzie inni się psuli.
 — A twoja krewkość? To-ż ogień słomiany,
 Co żaru zemsty długo nie przechowa.
 Zaledwie zrani, zamyka też rany.
 Jak włócznia Achillesowa.

O królu, stawaj przed Sędzią bez trwogi,
 Masz tam obrońców z potężną wymową.
 Tysiące ludzi wyrwanych z pożogi,
 Lecz i jassyr, podniosły nad głową
 Rozkute ręce, ocalone dzieci.
 „Błogosławiony” — wyrzekły — „Jan trzeci!
 „Sądź-że go, Panie, laskawem obliczem,
 „Bo nas wybawił i raz i sto razy.

„Nie tylko dzisiaj, gdy daje rozkazy,
 „Lecz dawniej, kiedy był niczem.

„Inni panowie, pyszne samoluby,
 „Na pełnych skrzyniach siedli obojętnie,
 „Chociaż od granic szły wieści zaguby.
 „On jeden krążył jakby krew po tętnie,
 „Krzykiem poruszał ziemię i niebiosą,
 „Nie szczędził zdrowia, i co rzadsze: trzosa.
 „Aby twierdzowe odbudować gruzy,
 „Odziać żołnierza, co z sukien opada,
 „Sprzedał ostatnie dyamentowe guzy,
 „Ostatni kubek pradziada.”

O królu, stawaj przed Sędzią bez lęku,
 Zbliża się nowy zastęp medyatorów:
 Idą Zakony, niosące na rękę
 Kształtowane wzorki świątyn i klasztorów.
 „Panie!” — wołają — „zawieść-że na niebie
 „Te jego vota. On trzyma się Ciebie
 „Miłością ślepą, mądrością bezwiedną,
 „Jak dziecko matki, jak niebo swych osi.
 „On ma tę wiarę, co góry przenosi,
 „Ach i już przeniósł niejedną.”

A teraz jeszcze idzie tłum przeróżny,
 Wojennych kalek, i wdów, i nędzarzy,
 A każdy w rękach ciężkiego coś waży
 I mówi niebu: „To jego jałmużny.”
 — Obejrż się, królu! Stoją twe zasługi.
 Stopy ich krzepkie a szereg tak długi,
 Że choćbyś większym obciążon był grzechem,
 Gdy po nim przejdą, śladu nie zostanie.
 Lecz próżno stoją, kiwają z uśmiechem:
 Król nie ogląda się na nie.

Dotknięty piękną pokory ślepotą,
 Przeocza dobre, a źle widzi wszędzie.
 — Żal na katowskie go bierze narzędzie,

Niech w ogniu żącym oczyszcza się złoto.
 — Struchlał, — sumieniu spojrział oko w oko —
 Bije się w piersi i wzdycha głęboko,
 Sam siebie laje z nieklamany wstydem:
 „A ty grzeszniku, ty duszo skalana,
 „Jak ty śmiesz jeszcze suplikować Pana,
 „By cię uczynił Gotfrydem?

„Już ci dał tyle! ty żołnierz, sierota,
 „Osiągleś trony, laury i rozkosze.
 „I jeszcze prosisz? Ach, Boże, ja proszę
 „Już raz ostatni! Na resztę żywota
 „Odbierz mi wszystko, co miłem być może,
 „Lecz jeszcze jutro wysłuchaj mię, Boże!
 „Niech ten dzień będzie Alfą i Omegą
 „Wszystkich dni moich. Nie dla nas, o Panie!
 „Ale dla chwały imienia Twojego,
 „Spraw, niech zwyciężą chrześciance!”

Aż Stwórca spojrział z wysokości chwały
 I rzekł: „Już dosyć. Pokora i skrucha
 „Już do krwi serca go wybiczowały.
 „Dość się wypościł w tej wigilii ducha,
 „Po której przyjdzie wesoła niedziela.
 „Już czas wyprawić doń pocieszyciela.“
 Skinął i gwiazdkę z widnokręgu strąca.
 Wnet Anioł Polski, pilnujący warty,
 Urzwał, jak leci gwiazda spadająca,
 I pojął znak w niej zawarty.

Idzie, — podobny do świetlanej smugi —
 Staje przy królu, — pociesza go cicho.
 Nie przypomina mu żadnej zasługi,
 (Takie wspomnienie zawsze grozi pychą),
 Lecz mu w pamięci rozjaśnia zagadki,
 Różne proroce i tajne wypadki
 Z jego przeszłości. Te, naksztalt półsłówki,
 Ręczą za przyszłość. A jest ich nie mało.

Szcześliwe czoło, nad którem jaśniało
 Tyle Opatrznych wskazówek!

Już od kolebki swita cud po cudzie.
 Wszystkie w obrazach stają przed Sobieskim.
 — Kiedy się rodził, nad zamkiem Oleskim
 Szalała burza. Najstarsi tam ludzie
 Nie pamiętali takiej nawałnicy.
 Od bicia gromów głuchli domownicy.
 (W matce się tylko nie zalekła dusza).
 Pytano: „Cóż to za znak w firmamencie?
 „Co za istota, na której przyjęcie
 „Niebo się z posad porusza?“

Potem, coś jeszcze większego nastąpiło.
 Dziecię na stole kamiennym złożono:
 Płyta marmuru huknęła, jak działo,
 I pękła. — Znowu na domowe grono
 Padł wielki popłoch. Lecz teorbanista
 Nadszedł i mówił: „Nie, — to-ż oczywista
 „Zapowiedź sławy! Gdy zostanie duże,
 „To dziecko takie powyrabia rzeczy,
 „Co same z siebie, bez ręki człowieczej,
 „Będą się ryły w marmurze.“

Wkrótce też potem rzecz niezrozumiała
 Zaszła w Krakowie, gdzie braterska parka
 Do Akademii na studia zjechała.
 Tęgi był uczeń ze starszego Marka,
 Ale i Jasio, choć dwunastoletni,
 Uczył się świetnie; a czego najświetniej,
 To retoryki, bo w niej mu był mistrzem
 Człowiek wyborny, Ksiądz Michał Dąbrowski,
 Świadom i ludzkiej mądrości i Boskiej,
 Pół-anioł z sercem najczystsze.

Raz się zapalił przy lekcji wymowy,
 Giestykulował tak pięknie i śmiało,
 Że biret zjeżdżał, aż i spadł mu z głowy.

Nikt się nie ruszył. Kilku chichotało.
 — Tylko Jaś, pchnięty kawalerskim duchem,
 Skoczył, i pełnym rewerencyi ruchem
 Podniósłszy, oddał. Przycichli słuchacze.
 A ksiądz, prorockiem przejrzeniem natchniony,
 Wyrzekł: „Nie umrę, póki nie zobacze
 „Na twojej głowie korony.“

No, i zobaczył! Był na koronacyi
 Owego Jasia, ucznia w retoryce.
 — Król tak uwierzył jego inspiracyi,
 Że nieraz ważąc dworskie tajemnice,
 Mawiał: „Ach, żeby tu był ksiądz Dąbrowski,
 „To-by powiedział czy wybrnę z tej troski?“
 — I tak się stało. Wieść pocieszająca
 Znowu mu przyszła przez te same usta.
 I to niedawno, niżma i miesiąca,
 Dnia szesnastego Augusta.

Dzień ważny! Jutro pod Wiedeń wyruszy.
 Od rana wyszedł bez pompy królewskiej.
 Za nim szła młodzież (kwiat wolontaryuszy),
 Senat i wojsko. A Nuncjusz Papieski
 Benedykował z łacińską przemową
 I dawał odpust na wojnę krzyżową.
 Stolica wyszła stutysięczną rzeszą,
 Życząc zwycięstwa i drogi wesolej.
 Przez dzień całutki król obchodził pieszo
 Wszystkie krakowskie kościoły.

Gdy już wieczorem był u Świętej Anny,
 Wspomnił proroka i nauczyciela,
 Przy którym niegdyś prześlęczał wiek ranny.
 Stał u wyjścia i spytał bedela:
 „Czy ksiądz Dąbrowski żyje do tej pory?“
 — „Tak, Mości królu, żyje, ale chory.
 „Już od pół roku nie zwłóczy się z łóżka.“
 — Król „stante pede“ poszedł tam z atencją.

Smutnie usiadłszy przy łożu staruszka,
 Długą miał z nim konferencyą.

W końcu zapytał: „Czy mu Bóg pomoże
 „W tej ekspedycyi? — Wtedy najlaskawszy
 Mistrz i dobrodziej, trochę pomyślawszy,
 „Królu“ — rzekł — „w Imię upewniam cię Boże,
 „Niech twoja dusza zaufanie żywi.
 „Będziesz nad innych monarchów szczęśliwiej
 „Zdobywał zacie tryumfy na wrogu.
 „Lecz ja już twojej nie zobaczę gloryi,
 „Bo“ — dodał ciszej — „w sam dzień tej wiktoryi
 „Żywota dokończę w Bogu.“

Król się zamyślił. — „No jakże-ż, mój Boże,
 „Nie ma się spełnić nowa przepowiednia,
 „Gdy się tak cudnie spełniła poprzednia?
 „Ach, tylko szkoda mi księdza! On może
 „Już tam Oleje przyjmuje w tej chwili?
 „A kto wie? Może na ten raz się myli?
 „Ha! Dzień jutrzejszy to wszystko wyluszczy.
 — I czy to zresztą jedyne jest „omen“?
 „Nie. Był i drugi pamiętny fenomen,
 „Dziwna ta noc w Krasnopuszczy.“

Dawno już temu. Lat coś z osiemnaście.
 Były to czasy dla ojczyzny krwawe,
 Rebelia wewnątrz, od granic napasie.
 Właśnie on wtedy wziął pełną bulawę
 I z zimowego korzystał spoczynku,
 Aby swe dobra objężdżać w ordynku,
 Bo pańskie oko gospodarzę tuczy
 I kraj zabliznia po tatarskich ranach.
 Wpadł do Żółkiewskich i Złoczowskich kluczy,
 Pobawił i w Pomorzanach.

Tam kraj lesisty. Zarządzono łowy.
 Świtem oblawa ruszyła ze dworu.
 Jak dziś pamięta. Był to dzień styczniowy,

Miękki i chmurny. Stanowisko w boru
 Naznaczał stary leśniczy Jarchowski.
 W bok szedł ku stronie „grobli Dunajowskiej”
 Wawóz wpadzisty, gdzie śniegu był nawał.
 Tam stał pan hetman pod „Bracką pasieką”
 Mały kozaczek Sawa, niedaleko
 Czając się, broń mu podawał.

Zwierzta nie brakło. Dobrze szła naganka.
 Ale dnia tego miał ciągle feraly.
 Próżno rogacze w galeziach furkały,
 Próżno i niedźwiedź mignął. Od poranka
 Nie nie ubijał, nie tylko drobiazgi.
 — Nakoniec, łomot... sypnęły się drzazgi...
 Prosto na niego wali czarna bryła.
 Strzelił. Dzik upadł. Dobrze celowano.
 Kozak do rogu, — już głosi wygraną.
 Zawcześniej! Bestya ożyła.

I hyc! wawozem pomyka. Pan za nią.
 Kozak za panem bieży, lecz w omroczu
 I krętych dolach utracą go z oczu.
 Bo też Hetmana chyba ptak dogoni.
 Raz już w myśliwskim rozpędzony szale,
 Skacze zawrotnie i zapamiętałe,
 Chociaż z wawozu nie łatwy gościniec;
 W śniegu się tonie, jak w puchatej welnie.
 A coraz dalej przekłety odyniec.
 Oho! Już przepadł zupełnie.

Staął. Pustkowie. Oprócz kordelasu,
 Nie ma w ręku. Czem tu dać sygnały?
 Róg i guldynka z kozaczkiem zostały.
 Huknął co siły. Ale nikt mu z lasu
 Nie odpowiada. Widać, że pogonie
 Zmyłone, w innej szukają go stronie.
 — Na gwałt się zmierzcha. Śnieg pruszyć zaczyna.
 Już ta zadymka do rana nie pusci.

Trzeba koniecznie wyjść z owej czeluści.
 A to fatalna godzina!

Kopnął się w górę i wyszedł z parowu.
 Jakaś dolinka. W ciemnościach, na prawo,
 Przez mrzącą wilgoć miga czerwono
 Drobne światełko. — No, a toż co znowu?
 Jeleń się wyrwał, z pod nóg jego prawie.
 Staął, popatrzył na niego łaskawie
 I pobiegł, szyją wywijając gibką,
 Jakby go prosił za sobą. Zjawisko!
 — Więc Hetman poszedł. Widzi chatkę niską,
 Z owym światełkiem za szybką.

Jeleń się schyla, koniuszkami rogu
 We drzwi uderza. Skoczyła zaszczepka,
 I pokazuje się jasna izdebka,
 Światłem luczywa drgająca. Na progu
 Stoi pustelnik, wspaniały uroda,
 W ciemnym habicie, z białą po pas brodą.
 — Hetman uchylił czapeczki bobrowej,
 Pozdrowił starca kilkoma ukłony.
 Widząc, że stoi bez ruchu ni mowy, —
 „Niech będzie“ — rzekł — „pochwalony.“

Anachoreta powoli odrzeczł:
 „Na wieki wieków sława Panu Bogu,
 „I tobie sława na wieki.“ — „Człowiecze“ —
 „Zawoła Hetman, cofając się z progu —
 „Nie bluźnij Panu. Tylko Jego sława
 „Trwa na wieki wieków, — nigdy nie ustawa, —
 „Ludzie znikomi — sława ich znikoma.
 „— Kto jesteś, starcze, i co w tej pustyni
 „Porabiasz? — Starzec odpowiedź mu czyni
 Ze złożonemi rękoma:

„Ja lichy sługa Najwyższego Pana,
 „Szczęśliwy jestem, że mojem poddaszem
 „Okryć was mogę, bo na czole waszem

(Tu podniósł ręce, a schylił kolana)
 „Widzę przepaske, co jak słońce płonie,
 „Pięć gwiazd srebrzystych macie tu na łonie,
 „Rękami księżyc lamiecie we dwoje,
 „A gdzie stąpicie, wyrastają krzyże.
 „— Nim złożę głowę na śmiertelnym kirze,
 „Wypełnią się słowa moje.“

Tu klęcząc gościa całował po rękach,
 Twarzy się jego przyglądał w zachwycie.
 Gość pomieszany stał jakby na mękach,
 Wyrwał ręce. — „Ojcze, co czynicie?
 „Jeśli z Waszei prorocka osoba,
 „Niech-że Bóg czyni, co mu się podoba.
 „— Wy mnie przyjmijcie na tę nocną porę,
 „Bom głodny, zmarzły i zbłąkany. Jutro,
 „Ja was do siebie w gościnę zabiorę.“
 — Tu zrzucił przemokłe futro.

I siadł na ławie. — „Ach“ — mówi staruszek —
 Chodząc przy ogniu, co w kominie gaśnie —
 „Czem-że wam służyć? Mam grochu garnuszek...“
 — „Grochu? Dawajcież, ojczulku, ja właśnie
 „Przepadam za nim.“ — Siedli do wieszery.
 Jeleń przy nogach pustelnika leży;
 Wzrokiem, gdzie świeci jakiś ludzki rozum,
 Patrzy na gościa. Ten głaszcze jelonka.
 (Lubił pasyami pieszczone stworzonka
 I wszelkie rzadkie „curiosum“).

Gospodarz mówi: „Dwa z nas pustelniki.
 „A jest to jeleń wielce osobliwy,
 „Nigdy mu żaden nie szkodził zwierz dziki,
 „Nigdy go żaden nie ścigał myśliwy.
 „Sierść ma na głowie ze znamieniem białem,
 „Naksztalt krzyżyka. *Królem* go nazwałem,
 „Bom zdawna wiedział, że do mojej chaty.
 „Sprowadzi króla.“ — Pan Hetman się dziwi,

Coraz ojczulka wypytuje żywiej,
 Co robił dawnemi laty?

Co? Po rycersku służywał ojczyźnie.
 Z Żółkiewskim chadzał do Moskwy studzwonnej,
 Był w Tatarszczyźnie i na Turezczyźnie.
 Żywot mu kwitnął wieńcami korony.
 — Lecz gdy kozackie wybuchnęło hasło,
 Tyłu okrucieństw oko się napasło,
 Ludzie się stali tak straszni i podli,
 Że nagle struchlał, czy świat nie zaginie
 Pod gniewem Bożym? Uciekł na pustynie
 I odtąd za świat się modli.

„A jaki ród wasz i klejnot, ojczulku?“
 — „Wszystko, co świeckie, jest już pogrzebionem,
 „Dzisiaj mnie zowią Ojcem Gedeonem.
 „Dla mnie pokuta, a dla was, o królu,
 „Sława na wieki!“ — „Ojcze Gedeonie,
 „Żaden z mych ojców nie chodził w koronie,
 „Gdzież wy widzicie tę rzecz niesłychaną?
 — „Gdzie?“ — mówił starzec, przymknawszy powieki.
 „Na waszem sercu stoi napisano:
 „Sława ci, królu, na wieki!“

Potem ukleknął zwrócony ku ścianie,
 Gdzie był krzyż zbity z dwóch czarnych deszczulek.
 A gość w kątku runął na posłanie
 Ze mchu miękkiego i pachnących ziółek.
 Nigdy pod pańskim swoim pawilonem
 Nie usnął z sercem równie ukojonem,
 Jak pod tym daszkiem biednego eremu.
 Sen miał przepyszny: w takiej-że postawie,
 W jakiej pustelnik widział go na jawie,
 Odnalazł się po sennemu.

Żadnych cudownych nie brakło mu znamion.
 U głowy dźwigał taki jasny dyadem,
 Że dzień szedł za nim promienistym śladem.

— Trzy gwiazdy z przodu, dwie gwiazdy u ramion,
Tak się srebrnymi promieniami stykały,
Że mu na piersiach tworzyły krzyż biały.
— Rękę do nieba wyciągnął radośnie,
Zdjął z niego księżyc jak szklaną podkowę,
Z łatwością złamał i usłyszał mowę:
„Już on się nigdy nie zrośnie.“

Szedł (choć ciężko mu było w dyademe).
Gdziekolwiek stąpił, tam krzyże bez końca,
Jak las wysoki, porastały ziemię.
I głos wyleciał od zachodu słońca:
„Biały krzyż idzie! Krucyata! Krucyata!
„Chrystus odzyska panowanie świata!“
— Potem usłyszał jakiś huk daleki,
Szum orłów, brzęki rozłamanych oków,
Głosy narodów i przyszłych proroków:
„Sława ci, królu, na wieki!“

Gdy rozwarł oczy, już bieląła zorza.
Za skroń się schwylił, jakby tajemniczy
Dyadem jej ciężył, i wyskoczył z łoża.
— We drzwiach był natłok: Jarchowski leśniczy,
Kozaczek, strzelec, wszyscy potrwożeni
Zginieniem pana, cisnęli się w sieni.
— „Ojczulu, ze mną! W drodze wam opowiem.
„Co myślę zrobić.“ — Wychodzą i gwarzą.
— Już znikli. — Chatka została pustkowiem,
Pod wierną jelonka strażą.

Lecz rok niemiął, a w pustelni cichej
Pan Hetman stawiał kościół i monaster.
Osiadły w puszczy Bazylikańskie mnichy,
Jak pszczoły słodki budujące plaster.
Gedeon rządził duszo-nośnym ulem.
— W dziesięć lat później, pan Hetman był królem.
Grunt im darował, wystroił ich mury,
Dał ikonostaz przesławnie bogaty,

Co Włochów dziwi cudnemi piktury,
I dzwon z Chocimskiej armaty.

Cóż? Czy nie dziwna przygoda myśliwska?
A toż zupełnie jakby słuchać baśni.
I wszystko dotąd sprawdza się najjaśniej:
Wziął już ów dyadem (co mu skroń uciska).
Wziął krzyż jak niegdyś Krzyżowce go brały,
(Lecz nie czerwony, tylko czystszy, biały,
Bo tak sen kazał). Stań się Krucyata.
Już teraz tylko niech księżyc przełamie,
A krzyż odzyska panowanie świata.
— „Wzmocnij-że, Chryste, me ramię!“

„Wzmocnisz! Wszak oto po drodze do Wiednia,
„Znowu zsyłałeś fortunne sygnały?
„Primo: ów orzeł, co jakby straż przednia
„Jechał przed wojskiem. Prognostyk wspaniały.
„(Jeszcze Rzymianie tak augurowali:
„Orzeł: zwycięstwo). — Secundo: nie dalej
„Jak wczoraj, wieszczba ważniejsza od ptaków,
„Obraz, i owo anielskie pisanie.
„Choćby nie było żadnych innych znaków,
„Ten jeden za wszystkie stanie.“

Tak wśród obietnic Niebieskiej pomocy
Zwolna się w Janie myśl uspakajała
I rosło serce. — Około północy
Nagle umilkły bisurmańskie działa.
Anioł na królu zatrzymał spojrzenie,
Kładzie mu rękę na piersiach i czole,
I wnet król usnął. — Duch niepostrzeżenie
— Takie dotknięcie nieśmiertelnie zdrowe
W łonie człowieka potęguje wolę,
Mądrością namaszcza głowę.

Idą godziny. — Już chłodek poranny
Kraży po liściach podobny do mrowia.
— Sekundy, niby kropelki fontanny,

Kapią w zegarku. — Anioł u wezglowia
Siedzi i czeka. — Wstał! Trzecia godzina.
Excytarz spada i wareczć zaczyna.
Dniu wielki! Oto chwila twych narodzin.
— Król się porywa, nie czeka, ni zwleka.
„To dziwne“ — mówi — „aby w parę godzin
„Sen tak pokrzepił człowieka?“

Istnie cudowna zaszła w nim odmiana,
Wzorajszych trudów ni trosk nie pamięta.
Członki spreżyste, głowa wypoczęta.
Ufnosć bez granie i radość nieznaną
W duszy mu wielką roztaczają zorze.
— Wyjrzał z namiotu: „Jak też tam na dworze?“
Cicho. Widnokrag zaledwie że szary.
W dole tureckie namiociska smutno
Pod jesiennymi kłębią się opary.
— Czas jeszcze. Zapuścił płótno.

Kląkl. Na cudowny patrząc wizerunek,
Odmawia pacierz, może najzarliwszy
W całem swem życiu. — A teraz uczciwszy
Królowę nieba, wstał i pocałunek
Ręką zasyla ku stronie Krakowa,
Gdzie jego ziemską jaśnieje królowa.
— „Gdyby też do niej napisać i listek?
„Trzeba korzystać z wolnego momentu.
„Któż to wie? Może dziś jeszcze ten świstek
„Urośnie w moc testamentu?“

Wziął hebanowe, podróżne puzderko.
Z kolei drobne roztwiera w niem skrytki.
— Fłaszka z inkaustem. — Brzytwy i lusterko.
— Z boku, szufladka na spinki i kitki
Cała się drganiem brylantowem trzęsie.
— Przewraca — szuka. Znalazł: pióra gesie,
Które pan Marek w ciężkim czola pocie,
Szkła z Amsterdamu na nos nałożywszy,

Sam temperuje, z ludzi najcierpliwszy,
Choć nieraz klnie przy robocie.

„Na czem tu pisać? Chyba na kolanie.
„A przy czem? Szkoda ponad szkodę wszelką,
„Że na wyjeźdźnym zaszło zamieszanie
„I nie zabrano lichtarza z umbrelką.
„Ha, trudno! Piszmy przy tej lampce. Błada,
„Lecz za to święta.“ Wiec pod lampą siada.
Wziął arkusz. Karta jak pargamin biała,
Ale gdy na nią wiszące światelko
Rzuciło promień przez czerwone szkiełko,
Nagle różową się stała.

Ach, bo też będą różowe i słowa.
Możnaż inaczej przywitać tę różę?
I wnet ją widzi, jak na miniaturze.
Zagadka wdzięków! Kleopatry nowa!
Jej włos figluje w zaczepne kędziorki,
Przy ustach dolki, gniazda na Amorki.
Ręka głaszcząca, do berła toczona.
Oko przemądre, gdzie zechce, zwycięża.
Czasem ukryty u śnieżnego lona
Gniew mignie, jak centka węża.

Maryo Kaźmiro! Cokolwiek sąd świata
Wyrzekł o tobie, niech ci będą dzięki
Za te dni słodkie, nektarowe lata,
Które bohater wychylał z twej ręki,
Perły, w Cypryjskiej roztopione czarze.
— Niech co chcą mówią chmurni kronikarze,
Miłość za tobą świadectwo przesyła.
— Musiała w duszy bogate mieć wiano
Zdumiewająca istota, co była
Tak przepaściście kochaną.

Umaczał pióro. Zaraz cichuteńko
Serce w nim gada, a list jakby echo
Gra: „Najśliczniejsza moja Marysieńko,

„Jedyna duszy i serca pociecho!”
 — Tak zawiązawszy kokardę nagłówka,
 Wysnuwa szarfą precudowne słówka,
 Pas myśli krasnych jak urobion w Słucku,
 A wszystko białą podszyte prostotą.
 — Sam Anioł, patrząc na tę kartkę złotą,
 Uśmiechnął się wpół po ludzku.

Pięknym jest rycerz, gdy ręką stalową,
 Przez grad kartaczy, w dymiącym tumanie,
 Zdobyty sztandar unosi nad głową,
 — Pięknym jest rycerz, gdy na sztucznym planie
 Dwie armie zbliża niby pion do pionu,
 — Pięknym jest rycerz, gdy z murów bastionu,
 Jak orzeł z gniazda wychylon, uderza
 Bronią i okiem i duszą na wdzierce,
 — Lecz najpiękniejszym, gdy mu z pod pancerza
 Przegląda bijące serce!

* * *

Gdy tak wodzowi chrześcijańskiemu płynie
 Noc przedbitewna, przebyta na łzawej
 Rozmowie z niebem, — tymczasem w dolinie,
 Wódz Muzułmanów inne ma zabawy.
 I jemu z niebios przychodzi podnieta,
 Lecz z niebios innych: z raju Mahometa.
 — I ktoż nie pozna, że tu ramie Boże
 W onych dwóch ludziach pokazać nam chciało,
 Co z dwóch obozów dla świata wyjść może?
 Na szezycach duch; — w dole ciało.

Kara-Mustafa, odprawiwszy Basze,
 Daje rozkazy: „Podwoić mi strażę.
 „Ostrzedz Selima, że gdy miecz odpasze,
 „Nawiedzę harem. Słysz jeszcze! Puszkarze
 „Mają do rana ostrzeliwać miasto.“
 — Rzekłszy, zdjął kaftan i ciężki, pasiasto
 Barwiony turban. Rzucili się słudzy.

Niosą miednice. Aromat z nich bije.
 Włos jego wonnie namaszcza. Drudzy
 Kropią twarz pańską i szyję.

Nogi strudzone mu obmyli. Potem
 Kładą futrzyste pantofle z purpury.
 Na barki delię lamowaną złotem,
 Dyamentowymi zadzierzgniętą sznury.
 Szata, odbita od kruczego włosa,
 Świeci, jak luna, iskrzy się, jak rosa.
 W końcu podają — wybrany z tysiąca —
 Leciutki zawój, co ma kolor zorzy,
 Ognisto-żółty. Tkanka gorejąca
 Nimbus nad głową mu tworzy.

Jak słońce z morskiej wyblęśle kąpieli,
 Wstał orzeźwiony — i odchodzi. Wszędy
 Gdzie stąpi, dworzan spotyka dwa rzędy;
 Rece na piersiach — do ziemi się zgięli;
 Śliczne chłopięta o twarzy różanej,
 Młodzieńce kraśne, jakby tulipany,
 Brodacze stare, jak dęby włochate,
 Wszyscy nieśmiało a nienasyconie
 W twarz jego patrzą, całują mu szatę,
 Żebrzą o jedno spojrzenie.

Lecz pan nie spieszy. Nie skinawszy głową,
 Płóciennie ściany kolejno rozgarnia.
 Po chwili stanął przed bramką lukową,
 Plecioną z prątków złotych, jak ptaszarnia.
 Przy niej dwóch drabów o etyopskiej twarzy
 Dzień i noc czuwa. I wiernie! Tej straży
 Niczem nie zmożesz, o nie nie dopytasz;
 Język ich niemy, a miecz, jak u kata.
 Na znak Mustafy rozwarła się krata;
 Za nią — tajemny korytarz.

Wązkie tu przejście, obtulny krużganek,
 Cały w atlasach, podobny kolebec,

Którą błękitny rozświeca kaganek,
W głębi zasłona. — Tam stanął i szepee:
„Za tą zasłoną szczęśliwość... Krok jeden...
„Jedno spojrzenie... roztworzy się Eden...“
Już chciwą ręką za opone chwytą,
Znowu ją puścił. I rwie się, i wzbrania.
Chciałby przedłużyć — biegły sybaryta —
Gorączkę oczekiwania.

Nakoniec podniósł. Wchodzi do namiotu,
Co jest najgłębszym haremu ustroniem.
Zwykli śmiertelni tylko słyszą o niem,
Ptaszek zaledwo je dojrzał z przelotu.
— Namiot, sklepiony wypukłością arki,
Powietrznie wsparty o srebrne filarki.
Gmach czarodziejski z puchów i jedwabiu,
Gdzie żaden odgłos miłości nie płoszy.
Cudo, co naksztalt sennego korabiu,
Pływa po morzu rozkoszy.

Jakież tu dziwne światelka i ruchy!
Czy księżyc tęczę narzucił pierzchliwą?
Czy kołem tańczą pół-widzialne duchy?
Nie, — to pachnąca nalane oliwą
Lampy, na złotych zwieszone warkoczach,
Kręcą się cicho w kulistych przezroczach.
Każda innymi goreje kolory
I kregiem innym pomrokę rozpara,
Hieroglificzne wypisując wzory,
Jakby u ścian Baltazara.

Gdzie dotkniesz, lechce mięsistość makaty,
A na niej hafty srebrem się roztrzęsły
W bajeczne ptaki, niebывале kwiaty.
— Na głębi, dwoma przegiętymi przesły
Obramowana ciemnieje arkada.
Gdzie doprowadza, oko nie wybada.
Wiecznie spuszczone kotary w niej wiszą.
Raz się rozchyła, jakby na przynęte,

Znowu przestrasza przepaścistą ciszą.
Tajemne, jak drzwi zakłete.

Dokoła namiot wydyma się w banie
Blado-różową. Na złotej estradzie,
Dywan, rozpięty w stufarbne usłanie,
Tocznymi walki falisto się kładzie,
Po stopniach zbiega i na pana czeka.
— Przy każdym rogu, jak fontanna z mleka,
Białe dym bije ze trójnożnej skrzynki.
Kołuje górą woń szeroko-skrzydła.
A z boku siedzą karlice murzynki,
I dokładają kadzidla.

W kragłem wkleśnięciu, naprzeciw estrady,
Smuga poduszek leży, rozsypana
Bezludnie. Na nich, niewolnice pana
Malowniczymi usiadły gromady.
Te na wpół leżą, tamte na wpół kłęczą,
Wszystkie w półkole, jak niebieską tęczą.
Jedne trzymają muzyczne narzędzia,
Inne się kryją za wachlarzyk pawy.
Ta niesie dzbanek o szyjce labędzia,
Tamtą kwiatami się bawi.

Ochmistrz haremu, Selim bialko-oki,
W ten je obrazek ustawił uczenie.
Rozkoszy oczu znawca to głęboki.
Jak złotnik, umie rozmieszczać kamienie,
I do ich blasku stosować oprawę,
Tak Selim każdej odmienną postawę
I strój podszeptął. W niewidzianej zgodzie
Słucha go dzisiaj trzoda bialo-szyja,
Bo doświadczyła, że rozum urodzie,
Jak słońce kwiatkowi, sprzyja.

Więc *Białej kotce* dał zwój pióropuszy.
W kłębek zwinięta, przysiadła pieszczołka,
Opasła — rzekłbyś — paluszkami nie ruszy;

Lecz skiń, a skoczy, jak prawdziwa kotka
Perłowy ząbek z pod futer tygrysa
 Kielkami błyska i mastyks wysysa.
Buzia z koralu zajęła się pracą:
 W czarce przyprawia tajemniczy trunek
 I oblizuje się słodko, a na co?
 Na miód? Czy na pocałunek?

Rybka Gangesu uwieźla w purpurze.
 Z uszu jej błyszczy podłużne obrączki.
 Niby śpi. Drobne, jak u dziecka, rączki
 Nad wąską głową zawiązała w górze;
 Rozchyła rzesy i śpiąc się uśmiecha.
 Skóra jej, ciemna jak łuska orzecha,
 W centki złotawe łśni z poza obsłonek
 Indyjskiej tkanki, która tak jest miękka,
 Że całą suknię tylko ściśnij ręką,
 Przesuniesz ją przez pierścionek.

Gwiazda pustyni płaszczem się osłania.
 Stoi oparta o filar wysmukły,
 Jakby o palmę. Huragan kochania
 Dyszy w jej piersi westchnieniem wypukłej.
Kiść jaśminowa skroń na ramie kloni,
 Jakby od mgłacej upiła się woni.
 — Któż je policzy? Cisną się pod ścianą,
 Niby sny szczęścia. Niekiedy w pomroce
 Srebrny śmiech zdradzi postać niedojrzałą,
 Lub dwoje ócz zamigocze.

Wszystkie tak cudne, patrzące tak jasno,
 Że na ich widok, ach! sama niewola
 Zdaje się piękną. Ale wszystkie gasną
 Przy dwóch, co siadły pośrodku półkola;
 Umiał je dobrać ów znawca urody.
 Jak perły grube i najczystszej wody
 Kładą się z prawa na szczycie dyademu,
 Tak tutaj siadły, na wprost pańskich oczu,

Wabnie ukryte w rąbkowym przezroczu:
Różyczka i *Esa haremu*,

Widno, że tylko przymusem złączone.
 Jak darty orzeł, odwróciły głowę,
 Każda się patrzy w inną świata stronę —
 Istne Zachodu i Wschodu królowe.
 Piękność ich dzisiaj bije takim czarem,
 Że aż posmutniał od niej cały harem.
 Ach, bo dla tamtych stracona już prawie
 Nadzieja walki! Drża i coraz ciężiej
 Wzdychając, szepcąc, pytają ciekawie:
 „Która z dwóch dzisiaj zwycięży?”

Wszystko przygasa przy stroju *Różyczki*,
 Całą też nad nim pracowała dusza.
 — Grożą dziobami zaczepne trzewiczki,
 Nad niemi żółte jedwabie się puszą,
 I smuga szalu, bledziuteńko-modra,
 Palmami siana, opasuje biodra.
 Po rękach pełzną emaliowe plazy.
 Na piersiach łańcuch — filigran stuwzory —
 Cieknie w beryle, goreje w topazy.
 A wszędzie brzęczą wisiory:

Z blach i turkusów rznięte amulety,
 Gdzie złotnik skreślił arabskim figlasmem
 Słowa Koranu, lub wiersze poety.
 Wśród nich podzwania i zapachnie czasem
 Pełna wysokoku różanego kulka.
 — Z poza wisiurów przegląda koszulka
 Zielona, miększa od przedzdy pajaka.
 Czasem rozchylił fałdziki zazdrośne,
 Jak rozchylają się nagle na wiosnę
 Majowe łuszczyki u paka.

Kragły kaftanik z wiśniowego sukna
 Cały się w złote arabeski snowa;
 Turban płomienne i czarne ma włókna,

Jak goździk. Nad nim kitka brylantowa,
Przepięta krwawem z rubinu serduszkciem,
Skrzy się i kiwa ognistym paluszkciem.
Z boku, przy kitee (tu korona dzieła —)
Niby swą pieczęć, herb swojej potęgi,
Rajska Różyczka w zawojowe kregi
Pączek różany zatknęła.

A teraz, dumna, łamie sobie głowę,
Jaką się odciąć od innych oaza?
I czem podrażnić oczy Wezyrowe?
Więc pozłocistą spowija się gaza.
Posłuszny rąbek, jakby kropla wielka,
Wydął się nad nią. I tak, ludzicielka
W złotej łupinie zamknięta z osobna,
Kraśną zagadką nęcąca przechodnia,
Rozmajaczona, nieprawdopodobna,
Przyświeca, jak bajka wschodnia.

Lecz gdy już, pewna miłosnej korony,
Miejsce naczelne zabrała przemocą,
Selim, — czy na nią rozniewany o co?
Czy tylko długą jej władzą znudzony?
Dziewkom służebnym szepnął po swojemu,
I posadziły przy niej *Łzę haremu*.
Ta była w bieli, jakby do ołtarzy
Ślubnych iść miała, bo służba jej, biegła
W doborze strojów, dawno już dostrzegła,
Że jej z białością do twarzy.

Próżno długimi broniła się jęki:
„Tego nie włożę... tamto niepotrzebne...”
Gwałtem ją zwinne ubrały służebne
I aż się dziwiła nad dziełem swej ręki.
— Na ciżmach puszek labędzi porasta;
Rzekłbyś, że wzleci ta nóżka pierzasta.
Zewsząd muśliny marszczą się leciuchno,
Jak mlecznej muszli zwoje karbowane.

Strach o nią bierze: niech wietrzyki dmuchną,
Cała rozprysnie się w pianę.

Perły uryańskie, zwieszono wspaniale,
Tworzą napierśnik ruchomy i ślizki.
W ich klamrach długie, jak oczy, opale,
Poglądające tęczwami błyski,
Perłom coś szepcą w rozelkanym chrzęście.
(Jest wieść, że opal przynosi nieszczeście).
Odkąd perłowa obciąża ją zbroja,
Łza się schyliła i szeptów jej słucha.
„Ach, ona biała, jak niewinność moja,
„Lecz jak niewinność i krucha!”

Jeszcze nie koniec. O ciężki przymusił
Włos przypieczono w pukle i obwiązki;
Do włosów pióra powpinano strusie,
Co jakby wiotkie zwisają gałązki.
— A gdy jej dziewczki podały zwierciadło,
Gdzie się dostrzegła, westchnienie wypadło
Z jej ust, bo sobie przypomniała drzewa
Rodzinnej ziemi, brzozę białą-korą,
Co przy jej domu płaczącą powiewa
I patrzy w polskie jezioro.

Teraz już tylko zasłone jej kładą,
A wnet się oba zrównają obrazy.
Oto strumienie księżycowej gazy
Lunęły na nią. Pod srebrną kaskadą
Przepadła, w konsze zamknięta głęboko.
Tylko podłużne przebłyskuje oko
I szemrzają perel pokłócone rzędy.
— A ona drżąca, żalosna, powiewna,
Tai się, jakby zakłęta królowna
Ze średniowiecznej legendy.

Już dawno siedzi martwo zadumana.
Inne niewiasty śmiechem i rozmową
Skracają długie godziny, a głowa

Ku drzwiom zwrócone, wypatrują pana.
 Serce im bije w piersi niespokojnej.
 Może nie przyjdzie? Ach, zły to czas wojny!
 Ten strach, ten nieład już mają w ohydzie.
 — Murzynki z wieścią biegały sto razy:
 „Już wyszedł z rady.“ — „Już daje rozkazy.“
 — „Już przeszedł kratę.“ — „Już idzie!“

Gdy Wezyr stanął u wejścia namiotu,
 Złękła, olśniona, zamilkła gromada.
 Ale jak szybko uderzenie grzmotu
 Po błyskawicy z obłoku wypada,
 Tak nagle z niemej wyloniony trwogi
 Jęk rozręsknienia runął mu pod nogi.
 Wszystkie na piersiach ręce skrzyżowały
 I drogę jego zamiętły pokłonem.
 On szedł, jak idzie orkan wybujały
 Nad morzem w fale schylonem.

Gdy nogę kształtną, w purpurę obutą,
 Podniósł na stopień, — zabrzękły cymbalki,
 Wstrząsły się dzwonki, gwiznęły piszczalki,
 I wraz wystrzelił, jeszcze wyższą nutą,
 Okrzyk miłosny, — jak granat, ognisty, —
 Drżący, jak stali damasceńskiej świsty.
 — Siadł. — Ku estradzie idzie odaliska.
 Dźwiga nalewkę o złocistym dzióbku,
 Gdzie woda w igłach zamrożonych błyska.
 Przy złotym ją stawia kubku.

Druga na tacce o marszczonym brzegu
 Niesie ostrożnie podobną do kwiatu,
 Pstrą, jak nasturecy, czareczkę z agatu,
 W niej sorbet naksztalt różowego śniegu.
 — Trzecia nadchodzi aż wyprostowana
 Z dumy; nie dziwno, niesie dar Sultana:
 Fajkę, pieścido stambulskiego zbytku.
 Przy jej olbrzymiem, bursztynowem jaju

Świecą szafiry; korale przy sitku.
 — Takie dla świętych są w raj!

Ręką nurtuje aksamit kapciucha,
 Klekła. Schylona ponad kadzielnicą,
 Bierze wegielek i na listki dmucha.
 Obłokiem zaszło Wezyrowe lico.
 — Czwarta nadchodzi ze spuszczoną głową,
 Nieśmiało trzymając chustkę bisiorową.
 Chustka cudowna, światłem obryzgana,
 Życiem trzech nurków okupiona drogą.
 — Spuszcza ją lekko na pańskie kolana,
 Lekko... z uśmieżkiem i trwogą.

I znów milczenie. Wszystkie niewolnice
 (Wszystkie, prócz jednej, siedzącej bez duszy)
 Patrzą się w pana, jakby w tajemnicę
 Życia i śmierci, uciech i katuszy.
 Składają ręce, chwalą go po cichu:
 „Piękny! przepiękny! Podobny z przepychu
 „Do seraskiera klejnotów: dyamentu
 „I do lwa także, sultana pustyni.
 „Ach, i do słońca, szacha firmamentu.
 „Kalif miłosnej świątyni!“

Wezyr przewrócił głowę w tył i oczy
 Utkwił w różowe namiotu podniebie.
 Teraz dopiero uczuł się u siebie.
 Sam nawet Sultana tych drzwi nie przekroczy.
 Tu nietykalność, szanowana święcie,
 Kładzie na ściany i serca pieczęcie.
 Oto już niebios prawdziwy przedsiónek.
 Ach, nie milszego nad córy niewoli!
 Tak, — on je lubi, — on je nawet woli
 Od swoich czterech małżonek.

Tamtym zostało imię i rodzina,
 I wpływ u dworu. Obrażone, mogą
 Stawić się hardo i zemścić się srogo.

A niewolnice? To rozkosz jedyna.
 Pod jego ręką, jak banieczki z mydła,
 Wschodzą i giną, znikome bawidła.
 Nad wypalonem ich przeszłości zgłiszczem
 Kwiat jeden tylko już rośnie; tym kwiatem
 Jest jego łaska. On całym ich światem —
 Prawem — wyrocznią — bożyszczem...

Jak to go bawi, gdy wzajem się kół
 Wzrokiem żmijowym! Gdy zagnała, na jedno
 Jego spojrenie, płoną albo bledną!
 Tu istna magia, zbrojna samowola,
 Stwarza natychmiast, co serce zamarzy.
 Tu nikt zdasanej nie odwraca twarzy;
 Słówek nie daje — chyba na zaliczkę!
 Ustek nie cofa — chyba dla podniety.
 Dobry jest Allah, że stworzył kobiety,
 A zwłaszcza *Rajską Różyczkę*.

Onaż to świeci z poza złotej gazy,
 Co ją obwila w półkuliste węzły?
 Ach tak, to ona; malownemi skazy
 Miga, jak motyl w bursztynie ugrzęzły.
 Rusza się, — świetlne rozsuneła rąbki, —
 Wyjrzała karczkiem toczonym gołąbki.
 Spogląda pysznie, pewna, że zachwycą.
 Z uśmiechu bije zalotna pogródka.
 Ona dziś patrzy, nie jak niewolnica,
 Lecz jakby wszechwładna wróżka.

Dopóki cała nie wyszła z przezroczy,
 Mustafa szeptał: „O wyjdź-że mi prędko!”
 I śledził chciwie, jak rybak za wędka.
 Nagle uderzył go wyraz jej oczów
 Rozkazujący. Wnet pan się nachmurza.

„Oho!” — pomyślał — „psuje mi się *Róża*.
 „Czy, uwiedziona podszeptem zwierciadła,
 „Sądzi, że inne bez walki odeprze?”

„I że swym panem na zawsze zawładła?
 „I że go nie stać na lepsze?”

„Nie wie, że krótkie już jej panowanie.
 „Kiedy chrześcijańskie pozabieram ziemie,
 „Tylko chrześciance będę miał w haremie.
 „A najprzód Niemki. Same wielkie panie.
 „Wszystkie aż dotąd po drodze zabrane
 „Cisnąłem Baszom. Ja większych dostanę.
 „Oddacie córki, Hercogi i Grafy!
 „Arcyksiężniczki staną się łaskawe.
 „Cesarską rączką dla Kara-Mustafy
 „Przyrządzą fajkę i kawę.

„Te Niemki z dobrej przychodzą nam szkoły.
 „Jak wół cierpliwe, nie wierzgna pod batem,
 „A gospodarne i słodkie, jak pszczoły.
 „Dla nich mężczyzna Allahem, dom światem.
 „Znam jeszcze inne... o dziwnem nazwisku...
 „Aha! Flamandki. Raz, na targowisku
 „Widziałem jedną. Rozkoszne stworzonko!
 „Schłudne to, gładkie, jak błam gronostaju;
 „Twarz obciągnięta brzoskwinową błoną.
 „Pójdziemy i do ich kraju.

„Później mój harem Włoszkami zakwitnie.
 „Pyszne Rzymianki pochyłą kolana,
 „Aby mi w oczy patrzeć aksamitnie.
 „Dla nich w Seraju *Rzymskiego Sultana*
 „Przypadnie z prawa dostojność Sultanek.
 — „Przywieźć też każe i kilka Hiszpanek,
 „O których tyle gadają Maurowie.
 „Wpół Afrykanki, na wpół z Europy —
 „Oko, jak gwiazda — nóżka antylopy —
 „I nie tylko miłość w głowie.

„Pójdę i dalej, ażeby ten wielki
 „Ich krzyż nie wisiał już nigdzie nade mną.
 „Na północ. Wezmę i ową tajemną

„Wyspę za mgłami, co kryje Angielki.
 „Kto wie, czy przy nich i tamte nie zbledną?
 „Niegdyś korsarze przywieźli mi jedną.
 „Nosila pukle słoneczne, ogromne.
 „A była biała! Nieledwie za biała.
 „Białem się czasem, by mi nie stopniała,
 „Jak śnieg. Ach, tej nie zapomnę!“

Dał znak. Nie ręką, tylko migiem oczu,
 Jak iskrą, sparzył Nubijkę bronzową,
 Co się trzymała czujnie na uboczu.
 Przywykła nieme odgadywać słowo,
 Skoczyła, — gazy obłoczne roztula
 Pęka nad Laską srebrzysta półkula —
 Zaczarowana muszla się rozwarła.
 Na tle z opalu i strusiego puchu
 Wybłysła perła. Lecz jaka? Bez ruchu
 I bez krwi. — Czy to umarła?

Jeszcze nie. W chwili gdy spadła zasłona,
 Mdławym rumieniec przesunął się po niej.
 Spuściła głowę, na śmierć zawstydzona,
 Oczy przymknęła i ukryła w dłoni.
 Przecudna była z tem czołem na ręku,
 W alabastrowym zamrożona łęku.
 — Mustafa sądził (o prostoto pychy!),
 Że to jest zachwyt, — że nie strach mocarza,
 Lecz jego piękność i blask ją poraża.
 Więc posłał jej uśmiech cichy.

Różyczka zbladła... Ach, wszak on i do niej
 Tak się uśmiechnął (dobrze to pamiętał),
 Gdy po raz pierwszy spotkał jej oczeta?
 — Zmienności mekka! Niesyta w pogoni!
 Czemże ci przyciąć wybujałych skrzydeł?
 Trzeba się uciec do największych sideł.
 — Od muzykantki pochwyciła zeł.
 (Ich dźwięk, podobny stopionemu złotu,

Dziwnie krew smaga). — Chwyciła i śmieie
 Wysła na środek namiotu.

Nad głową trzykroć klasnęła w talerze,
 Potem je spuszcza, przyciska do łona,
 Jakby dwa srebrne, maleńkie puklerze;
 Roziskrza oczy, i tak uzbrojona,
 Idzie do szturmów Wezyrskiego serca.
 Nie idzie, płynie po włosie kobierca.
 Przed panem staje, lecz boczkciem. Nieśmiała,
 Zdala ku niemu wysuwa policzek,
 Jakby się róża słońca przymawiała.

— „Ach, najpiękniejsza z różyczek!

„Ależ i druga także — na Allacha!
 „Warta spojrzenia, lilia nieruchoma!
 „Tak jest prześliczna, że już się nie waha,
 „Tamta piękniejsza, że jeszcze się sroma.“
 — Więc Wezyr patrzy tu i tam na obie. —
 Róża brew ściaga. — „Oho!“ — myśli sobie. —
 „Poczekaj, Laszko!“ — Pod boki się bierze,
 Kształtuje ręce, jak uszka od urny —
 Z kitki potrząsa brylantowe pierze —
 Kiwa się pączek czupurny.

Znagła... stanęła; — nie poznaje pana.
 Krwawe mu światło w źrenicach zagrało,
 Twarz ze śpiżowej stała się miedziana.
 On ciągle patrzy, ale w tamtą, białą.
 Próżno tancerka, pokornie złośliwa,
 Oczom się wprasza, a tamtą zakrywa.
 On szuka tamtej. Brev marszczy z uporu.
 Na czoło prega wystąpiła sina.
 — *Różyczko*, bacność! Już dotknął bisioru,
 Już w rękę mieć go zaczyna.

Jak on w nią patrzy! Strach, czy przez te oczy,
 Coraz pieściwsze lecz i coraz krwawsze,
 Drzemniący w piersiach, dziki zwierz nie skoczy?

— Dwa uczucia sprzeczne, a jednak na zawsze
 Sprzężone węzłem starego przekleństwa,
 Hydra rozkoszy i smok okrucieństwa,
 Tak się zwikłwały w gnieździe jego serca,
 Że nikt nie zgadnie z tych oczów połysku,
 Czy to kochanek patrzy, czy morderca?
 Czego chce: krwi, czy uścisku?

Spojrzenie ludzkie jest płomienną chłostą,
 Której bicz budzi. — On patrzył dopóty,
 Aż *Lza harem*, jak labędź ukluty,
 Podniosła głowę i Mustafie prosto
 W oczy spojrzała. A wzrok jej był hardy,
 Pelen dziewiczej zgrozy i pogardy.
 — Patrzac, w zawzięciu, czy też mimowiednie,
 Chwyciła drobną rekojęsć z kryształu
 Od świecącego za paskiem kindżału.
 Wezyr się wzdrygnął — i blednie.

Skąd mu wzdrygnięcie? Wszak mąż tej powagi
 Panieńsko-piórych nie boi się strzałek,
 Ni go zastraszy dziecinny kindżałek?
 — Mustafa słynał ze ślepej odwagi.
 Szedł całą piersią na wrogów pociski,
 Śmiejąc się deptał zazdrośników spiski,
 Pogróżki Muftych i gniewy Cezarów.
 — A jednak były rzeczy tajemnicze,
 Na których widok bledło mu oblicze...
 Mustafa lękał się — czarów.

Znał magię. Wiedział, jak losy człowieka
 Płaczą się w rudym komety warkoczu, —
 Jak śmierć przez filtry miłosne przecieka
 I jak okropnym jest urok „złych oczu“,
 Co zije strachem, obłędem i klęską.
 — A teraz... dojrzał tę moc czarnoksiężską!
 — „Mnie się zdawało... Ach, wątpić nie mogę...

„Ona się we mnie wpatrzyła „złem okiem.“
 „Nie próżno *Róża* szeptała przestroge!
 „To czarownica z urokiem.

„Ona? Ta biała? Ach tak, ani słowa —
 „Jest coś w jej oczach... to *Oczy uroczone*.
 „Biada! Nieszczęście przyniesie mi gotowa,
 „I to dziś jeszcze, przed bitwą! Co poczne,
 „Jeśli szaleńcem obudzę się rano,
 „Z ręką bezwładną, myślą pomieszaną?
 „O, ta chrześciance! Nim wyruszę w pole,
 „Chciała mnie urzec. Może już urzekła?
 „Nie! — Jeszcze mocną mam rękę i wolę.
 „Nie trafil we mnie grot piekła.

„Może z tych oczów nie zajadłość czarta,
 „Lecz tylko prosta złość Ewy prześwieca?
 „To jedno! Czary, czy krnąbrność kobieca,
 „Zawsze już ona mej laski nie warta.
 „A jednak szkoda! Mnie drażni ta dziewa,
 „Neci a drażni, jak myśliwca gniewa
 „Orzeł, wiszący zawsze za wysoko.
 „O! gdyby nie to spojrzenie złowieszczę,
 „Cobym ja nie dał, ażeby raz jeszcze
 „Popatrzeć jej oko w oko!

„Popatrzeć — olśnić — i porwać w ramiona.
 „Precz! Niech się żądza na dzisiaj zatrzyma.
 „Jutro ze swoich czarów rozbrojona
 „Orliczka spojrzy innemi oczyma.
 „Jutro i miłość i zemstę nasycę.
 „Gdy jedną ręką zabiorę stolicę
 „Niemiec, a drugą dokonam rozbicia
 „Chrześcijańskiej armii, wtedy, spokorniała,
 „Będiesz ty piękna u nóg mych żebrała,
 „Już nie miłości, lecz życia.“

Teraz, *Różyczko!* taniec haremowy
 Najtajemniejsze niech rozwinie sztuki,
 Na zawrócenie muzułmańskiej głowy.
 — Ręce podniosła, zaokrągła w łuki.
 Z pod rak tych patrzy wejrzeniem figlarki.
 Mdlejącą głowę przerzuca na barki,
 I gdy tak cała za siebie schylona,
 W górę gołębią wyprężyla szyję,
 Patrzcie! Z pod rzeźby wygiętego łona
 Widać, jak serce jej bije.

Kręci się, zele o zele potracą.
 — Wezyr w nią patrzy oczami tygrysa,
 Syknał z lubości i szepnął: „Hurysa!”
 Ach, dosłyszała. Wpół tryumfująca,
 Podbiega, coraz to bliżej Dywanu.
 Ręką sięgnęła do zwojów turbanu,
 Wyrwała z niego różany pączuszek,
 Do ust zbliżyła, i zanim się zetrze
 Niepochwytny pocałunku puszek,
 Cisnęła go przez powietrze.

Mądry kwiat! Upadł na pańskie kolana.
 Wezyr, porwany przez igraszki puste,
 Chciał coś odrzucić, i cisnął jej chustę.
 — Wnet szmer się rozszedł. *Różyczka* zmieszana
 Strachem i szczęściem, pokorą i pychą,
 Do nóg Wezyra zsunęła się cicho.
 Mustafa, nagłym ogarnięty szaleń,
 Usta na szyi gołąbkowej kładzie.
 Potem ją podniósł, ramieniem wspaniałem
 Objął, — i nikną w arkadzie.

Po licach Polki przemknęła się krasa.
 — Rzuciwszy niebu dziękczynne spojrzenie,
 Pierzchła — i cały tłum, niepostrzeżenie
 Odplynął. — Lampa ostatnia dogasa.

— Śmierci podobnym bezszelestnym lotem
 Geniusz milczenia stanął przed namiotem.
 Z progów odpędził groźne widmo Wojny,
 Siadł na tym progu i usty blademi
 Rzekł: „Śnij, Wezyrze! Oto już na ziemi
 „Ostatni twój sen spokojny.“

ALEKSANDER KRAUSHAR.

Ur. w Warszawie, r. 1843.

DZIEWCZE.

I.

Tam, na polu, bój wre krwawy,
Mkną hussarze...
Wśród nich rycerz srebrno-biały
Na sztandarze
Lśni...

A na kłosach polnej trawy
Świeżo ściętej
Skrzą się perły ludzkiej sławy:
Krople świętej
Krwii...

II.

Słońce patrzy krwawym wzrokiem
I na wzgórze
Rzuca promień swój ostatni...
Lecz już w chórze
Gwiazd

Płynie księżyc za obłokiem
I w jutrznianych

Srebrzy w błyskach hufiec bratni
Wśród bojowych
Jazd...

III.

Tam na progu niskiej chaty
Dziewczę stoi...
I w barwiste pól bławaty
Płowy stroi
Włos...

Lżą dziewczęcia lśnią powieki,
Na bój żwawy —
Dwojgu sercom już na wieki
Zadał krwawy
Cios...

PROROCSTWO.

Głoszą od wieków mędrcze, proroki,
Że czas nam krzywdy zabiżni,
Że nienawiści wyschną potoki,
A miłość serca użyżni...

Kiedyż się, kiedy ta prawda ziści,
Że miłość zmartwychpowstanie?
Ach! zniknie wszelki ślad nienawiści,
Gdy powód do niej — ustanie.

SECESYA.

Szukacie nowych dla piękna wzorów,
Wy, poprawiacze natury!

Zamiast odmiennych prostoty tworów
Sztuczne tworzący kontury...

Nie ten horyzont nowy odkrywa,
Kto na nieszczerłość się sadzi.
W sztuce ta tylko droga prawdziwa,
Która do prawdy prowadzi.

JÓZEF KOŚCIELSKI.

Ur. r. 1845 w Służewie (Poznańskie).

»Poczynek« (1883).

MOŻE.

O zrab okretu wygnany przez nędzę
Wspart się wędrowiec,
I tęsknie posłał gorzkich myśli przędzę
Nad fal pokrowiec,
I myślał: znajdeż za świata połowę
Chleb dla mych dzieci, dla matki ich łożę,
I strzeżę ponad spracowaną głowę?
Może!

A na pokładzie w wygodnym fotelu
Zasiadł turysta,
I wodził okiem po fali bez celu,
Jak dal się mglista
W coraz to inne przekształca uludy
I coraz szersze rozciąga bezdroże,
I myślał: znajdeż lekarstwo na nudy?
Może!

Wtem zawył orkan i piętrzą się fale...
Wysiłki próżne:
Wspólny grobowiec pokrył różne żale
I cele różne.

Ten chleba łaknął — ten gonił wrażenie,
 Obu już serca tęsknota nie porze.
 Lecz czyż jednakże jest ich ukojenie?
 Może!

PIEŚŃ WIECZORNA PIELGRZYMA.

Góra i dołem, jak drogi się wija,
 Czy liść nade mną, czyli skwarne słońce,
 Idę w kraj, w którym ideały żyją:
 Tam drogi końce.

Choć ścieżka często i stroma, i wązka,
 Zawsze dla ducha zdobycze znachodzę:
 Czy kwiat, czy owoc, czy wrażeń gałązka,
 Uszczknę po drodze.

Noc mię nie trwoży, pielgrzymki nie wstrzyma;
 Bo i zmrok nowem mię światłem zbogaca:
 To nie spoczynek natury olbrzyma,
 Lecz cichsza praca.

Gdy ujrzę w ciemni gwiazdę spadającą,
 Myślę: to ziarno, co na ziemię złata;
 Z kosturem w dłoni idę za niknącą
 Choć na kraj świata.

Idej, która z niebios się wykradła,
 Szukam wśród puszczy, czy na niw kobiercu,
 Czy to wśród ludzi, — bo może upadła
 W ludzkim gdzie sercu.

Dzisiaj czy jutro odnajdę ją snadnie,
 Czy w myśli — kwiecie, czy w owocu — czynie,
 Czy na gór szczycie, czy w przepaści na dnie...
 Bo nie ginie.

Niczem nie gardzić, a wszystko miłować,
 I w prawdę wierzyć, choć na chwilę zgasła,
 Z prawdy i z piękna złotą tkanę snować —
 To moje hasła!

ZŁUDZENIE.

Cicho tu, błogo! — gdy stanę u szczytu,
 Czuję się lepszym, silniejszym na górach;
 Pierś moja niby kowana z granitu
 A czoło w chmurach.

Bóstwo mię poi prawd swoich szelestem,
 Przed duszą widzę wszystkich tajni głębie
 I z dumą kreślę me zuchwałe: jestem!
 Na skały zrębie.

Mojej wielkości przed sobą nie taję,
 W piersi mi biją jakieś tętna Boże;
 Zda się, że mało mi już niedostaje
 A światy stworzę! —

Cóż to? — tam w dole, gdzie strzecha ta niska,
 Jakież to pylek mozolnie się roi? —
 Nie, to nie złuda, to ludzkie siedliska,
 To bracia moi.

I serce do nich zabiło mi łzawie,
 Z dumnych przed chwilą iza błysnęła powiek...
 Ach, na tak wielkiej stał tylko podstawie
 Pyl marny — człowiek!

MARYA KONOPNICKA.

Ur. r. 1846 w Suwałkach.

»Poczye« (1881), serya druga (1883), trzecia (1887), czwarta (1896),
»Linie i dźwięki« (1897), »Wybór poczyi« (1890), »Italia« (1901).

DUCH MÓJ, PTAK BOŻY.

Duch mój, ptak Boży, co go Pan w czas ranny
I w czas wiosenny wypuścił pod niebem,
A z rąk mu daje przezczystych ros manny
I karmi chlebem.

A zaś go lotów uczy, i za skrzydła
Niemocne trzyma, by zwyknał w przestrzeni,
I blaskiem cichych odziewa promieni,
I strzeże sidła.

A z pieśni onej wielkiej, którą wieczność
U stóp mu śpiewa, głos jeden mu daje
I każe lecieć nad smętnych ziem kraje
W przyszłą słoneczność.

A gniazda jemu nie ściele na róży,
Ani pogodą nie darzy na ziemi,
Ale go trzyma pod błyskiem, wśród burzy,
Pod gromy swemi.

A zaś go wiatru cichego powiewem
Na lasy niesie, na pustych niw pola,
Gdzie ludzie chodzą w zadumie, a z drzeniem,
Gdzie płacze dola.

A zaś go niesie na role cmentarne,
I nad kurhany wypuszcza jak strzałę,
Ażby w ruń groby porosły tam czarne,
I w kwiecie białe.

A zaś rybitwą na wielkie śle wody,
Co senne łodzie swym krzykiem zatrwoży,
A zaś skowronkiem, co czasy pogody
Oraczom sporzy.

A umęczony jest duch mój w tym locie
Trapieniem pańskim i własną niemocą,
I nieraz mdleje w pałacej tęsknocie,
Miesięczną nocą.

Lecz mu niewolno, jak czynią mrotyle,
Skrzydłami bijąc, na ludzkie paść ramię...
A tę gałązkę, gdzie spocznie na chwile,
Pan zaraz łamie.

Aż sam po niego wyciągnie swe ręce,
Z powietrza weźmie, na piersi go złoży,
I krwawe pióra wygładzi po męce
Duch mój — ptak Boży...

Z MOJEJ BIBLIJ.

A.

ZACHOWAJ SŁOWO...

Zachowaj słowo cierpliwości moje:
Jam ten, co wilki i jastrzębie poje,
A patrzę, jako rwą jagnięta w dwoje...

Ten, co ujmuje ginącym od głodu,
A mnoży skarby możnego od rodu
I przeciw słabym umacnia mur grodu...

Ten, co niziny zatapia wylewem,
Co plód niedoszły powala wraz z drzewem,
Co groby karmi żywota posiewem...

Jam ten, co patrzy bez błysku i gromu
Na znieważony cichego próg domu,
Na głowy zwiedle wśród krzywdy i sromu...

Jam ten, co słońcem ozlaca blask mieczy,
Co kłamiącemu moc Bożą — nie przeczy...
— A niech się uczy ze mnie syn człowieczy!

B.

GDYBYM...

Gdybym ze srebra powstał, mógłbym się tem smucić,
Że w proch i glinę ziemi mam się zaś obrócić,
Mógłbym, nakrywszy głowę, ze skargą sięść w progu,
Przeciw śmierci głos podnieść i przeciwko Bogu.

I gdybym z złota powstał, mógłbym mieć za zmianę,
Że w popiół się rozsypię i prochem się stanę.
Że zgasną moje blaski i jasność się zetrze,
Kiedy rosa mię zgryzie i zczeznę na wietrze.

Alem ja z prochu tego, z tej wzięty jest ziemi,
Dokąd się zaś powrócę za laty mejemi,
Po co mi skargi szerzyć, że stanę się pyłem?
Do domu mego wrócę i będę, czem byłem.

SCLAVUS SALTANS.

Maro swych gości po uczcie prowadzi,
Gdzie zakupieni wczora niewolnicy

Na zgnilej słomie, w półnady i bladzi,
Wypoczywają zamknięci w piwnicy.
Maro — to znawca! on swoje obole
Wie na co wydać, krwi dobrej zna cenę:
Jak Amor każde u niego pachole,
A mąż — gladiator! choć dzisiaj w arenie!
Ot, pierwszy: Numid, nabytek wspaniały!
Tors, jakby z bronzu, a włos jak lwie grzywy,
Rzut oka, zda się, przekuć? można w strzały,
Nerwy drgające wyciągnąć w cięgiwy!
Przepyszny towar! Gdy Maro go noga
Kopnął, wołając: „Wstań, bydle!” twarz dzika
Splonęła jakąś ognistą pożoga
I ryknął wściekle: „Nie budź niewolnika!”
Co za głos! wstrząsła się podziemna cisza,
Lentulus w strachu zgubił wieniec róży...
Wielec bogowie!... Na brodzie Jowisza,
Zda się, jak gdyby wołał: „Nie budź burzy!”
Słysząc, jak kędyś powstaje bezładnie
Pomsta, co kiedyś nad światem zapadnie...
Warczącą przepaść zgrozy słychać zdala...
Drżyciel to ROME niewolnik obala!
Oto powstają wraz z kłatwy tej echem
Gromy straszego stuleciom wybuchu...
Goście pobledli, a Maro z uśmiechem
Rzekł: „Przez Herkula, wszak on na łańcuchu!”
Lecz biesiadnicy cofali się żywo.
Maro ich tedy ku innej wiódł stronie,
Gdzie jak łuk zgięty w pyszną linię krzywą,
Stał Grek młodzieńczy, ukrywający twarz w dłonie,
I płakał. Biada, kto płacze w niewoli!
Lża, jak rdza, męską moc ducha przejada.
Kto w więzach słabnie, jest godzien swej doli...
Rozpaczącym niewolnikom — biada!
On rodzinnego nie ujrzy już nieba,
Ni na igrzysku nie chwyci w lot dzidy,
Rzuconej ręką gibkiego efeba...
Łańcuch rwą tylko lwy, albo Numidy!

Lzy — to zbyt wiele, i lzy — to zbyt mało.
 Goście milczeli; z zapalem artysty
 Wskazywał Maro, jak piękne to ciało
 Określa kontur pogodny i czysty.
 Wtem z boku nuta wesola dolata...
 To „selavus saltans“, Słowianin pół-dziki;
 Wszędy mu dobrze — i wszędy mu chata,
 Byle miał płasy i trochę muzyki.
 Z młodzieńczej wierzby naciawszy gałęzi,
 Uczynił sobie grające narzędzie,
 Skacząc, zapomniał, że łańcuch go więzi...
 — Och! niewolnikiem ten był, jest i — będzie!

PRZED SĄDEM.

Drobny, wychudły, z oczyma jasnymi,
 W których lzy wielkie i srebrne zbierały
 I gasły w rzesach spuszczonej ku ziemi,
 Blady, jak nędza, a tak jeszcze mały,
 Że mógł rozplakać się i wołać: „Matko!“
 Gdyby miał matkę; i mógł stroić psoty,
 I pocałunków żądać i pieszczoty,
 I spać na piersiach ojca; a tak drżący,
 Jak ptak wyjęty z gniazda, i już mrący,
 Wiejski sierota stał w sądzie przed kratką.

Przy winowajcy nie było nikogo...
 I któżby bronił dziecięcia nędzarzy?
 Chyba te wielkie dwie lzy, co po twarzy
 Leciwały jakąś pełną iskier drogą;
 Chyba dzieciństwo, nędz pełne sieroty
 I chyba tylko promyczek ten złoty,
 Co mu przez okno upadał na głowę,
 Jakby Bóg gładził włosy jego plowe.

Wszedł sędzia, spojrział i rzekł: „Gdzie rodzice?“
 „Nieznani“ — odrzekł pan pisarz z powagą.

Chłopiec wznosił zgasłe, błękitne źrenice
 I ściągnął świtkę na pierś swoją nagą,
 Jak gdyby nagle, od jednego słowa,
 Zjęło go zimno i pustka grobowa...
 Sędzia zadumał się, pochylił czoła
 I spytał znowu: „Czy w wiosce jest szkoła?“
 — „Nie“. — Pisarz zwykle chmurny był w urzędzie,
 Przytem pytanie było jakoś dziwne...
 Wahał się chwilę, czy właściwie będzie
 Odpowiedź chłopca pisać w protokóle.
 Więc wyprostował palce swoje sztywne
 I bębnił zlekka po szarej bibule.

A sędzia patrzył na drżącą dziecinę,
 Na ręce nagie, wychudłe i sine,
 Na pierś zapadłą i nędzne lachmany,
 Na blask tych oczu zmacony i szklany,
 Gdzie przecież mogły odbić się niebiosy;
 Na drobną główkę, gdzie myśl, glucho śpiąca,
 Nie znała światła innego, prócz słońca,
 I innych wrażeń ożywczych, prócz rosy.

I dziwnym cieniem zaszło mu oblicze,
 I w piersi uczuł drżenie tajemnicze,
 Jakby ta sala pusta była tronem,
 Na którym przyszłość z czołem zachmurzonym
 Zasiada, pełna klęsk i spustoszenia...
 I jakimś grzmiącym i ogromnym słowem
 Oblicza plony na polu jałowem,
 Przed sąd wzywając całe pokolenia...
 I widział, jak szły gęste, ciemne tłumy
 I tamowały ruch globu w błękicie...
 I spostrzegł, pełny trwogi i zadumy,
 Że były chmurą ogromną o świecie,
 Przez którą przebić nie mogło się słońce,
 I zmierzch nad ziemią trwał przez lat tysiące...
 Widział, że tłum ten — to siła, stracona
 Dla wielkich celów i dążeń ludzkości.

I czytał w groźnym spojrzeniu przyszłości,

Że chce rachunku z miliona...

I ujrzał nagle, że wydziedziczeni

Za społeczeństwa swego cierpią winy;

I przerażony — posłyszał w przestrzeni

Sądy nad sprawą chlopczyny...

Niechże was Chrystus — głos mówił — rozsądzi,

Kto więcej winien: czy ten nieświadomy,

Co drogi nie zna i w ciemnościach błądzi?

Czy wy, co grube spisujecie tomy

Karnej ustawy a nie dbacie o to,

By uczyć dziecię, które jest sierotą...

Niechże was Chrystus sędzi!

Lecz krzyż czarny

Stał nieruchomy i cichy na stole,

Jako milczące wobec leż ołtarze...

A sędzia powstał, i szedł, gdzie pachole

Błade czekało na wyrok surowy,

I dotknął ręką jego płowej głowy,

I rzekł: „Pójdź, dziecię! ja cię uczyć będę!”

LIST*).

Abgar Edessy, król Mezopotamii,

Śle pozdrowienie dla Galilejczyka,

A list ten pisząc, oblewa go łzami

I do Judei śle przez powiernika,

Który go w chustkę jedwabną owinie

I nieść na sercu będzie, iż nie zginie.

Przyszła tu do nas powieść, że w Judei

Wielki się lekarz objawił wśród ludu;

*) Abgar, ogólna nazwa królów Edessy w Mezopotamii, między którymi Uchomo, dotknięty trędą, prosił piśmiennie Chrystusa, współczesnego sobie, aby go uleczył. List ten i odpowiedź, również na piśmie jakoby udzieloną, Synod Rzymski w roku 494-tym uznał za apokryfy.

Więc drżący jestem i pełen nadziei,

I czekający jestem Twego cudu,

Bowiem ta powieść tajemna a błoga

Mówi, żeś Ty jest Syn mocnego Boga.

Lecz ja, król choćem, w nędzy wielkiej żyję,

A drwał, co topór grzmi w cedrowym lesie,

I ten kamieniarz, co w głaz twardy bije,

I najuboższy żebrak w mej Edessie,

Szczęśliwszy dzień ma, niż ja, i noc cichsza,

Kiedy mnie bóle a jęki rozwichrza.

Czarny ja jestem, spalony od słońca,

Lecz mnie osypał trąd biały, jak rosy,

Kiedy po wzgórzach, od końca do końca,

Perły rozsują poranne niebiosy;

Czarny ja jestem, spalony od słońca,

Lecz miłościwie mojego przyjm gońca.

Trzeci raz pełnia w dolinach się bieli,

Trzeci raz księżyc sierp na górach kładzie,

Jak powalony na mojej pościeli

Berła nie imam i nie siadam w radzie.

Trzeci raz miesiąc patrzy na mnie cichy,

Kiedy się wiję tak, jak robak lichy.

Dworzanie moi, chociaż się przybliża,

Z oczu im widzę, że truchleją z trwogi,

I tylko wierne legawce mi liżą

Zeskorupiałe, w ranach żywych nogi.

Nawet kochanie moje mnie unika...

Więc śle do Ciebie mojego wiernika.

I tu, w Edessie, mędrcze w górach siedzą,

I gwiazdy mierzą od nocy do nocy,

Lecz na mą nędzę sposobu nie wiedzą:

Dużo mądrości w nich, a mało mocy.

O Tobie wieść jest, żeś prosty i cichy,

A siłę wielką masz, bo nie masz pychy.

Ktoby więc dał mi, iżbym na tym brzegu
Oglądać mógł Cię oczyma własnemi,
A iżbyś z trądu omiótł mnie, jak z śniegu
Wiośniany powiew omiata łąk ziemi,
Iżbyś mi słońcem był, co suszy rosy!...
Choć mówią, chodzisz ubogi i bosy.

I ktoby dał mi, bym powstać mógł z łoża
I dać się ponieść mym sługom do Ciebie!
Bo Cię tak czuję, jak gdybyś wskrósł morza
Chodzić mógł, z toni ratując w potrzebie,
I tak Cię czuję, jak gdybyś z powicia
Zgła śmiertelnego mógł wskrzeszać do życia.

Więc pelen wiary jestem i otuchy,
I leż, co w sobie nie mają goryczy,
I jakieś jasne bieleją mi duchy,
Gdy w noc bezsennej kość w bólach mi krzyczy.
I wiem, że Ty masz ręce mocne, czyste,
Że się zlitujesz, że zleczyś mnie, Chryste!

Cokolwiek każesz, rad wszystko uczynię,
I gdybyś żądał najmiłszej mi głowy,
I gdybyś kazał iść w dziką pustynię,
I gdybyś pragnął królestwa polowy,
Dam, a dłużnikiem zostanę do końca,
Król trądem biały, a czarny od słońca.

Ale iż mówią, że matka twa przedzie
Welnę, by żyła z niespania i pracy,
Że ani siewasz, ni kopiesz w swej grzędzie,
A gniazda nie masz, choć mają je ptacy,
I nie masz, gdziebyś przyklonił swej głowy,
Choć liszka jamkę ma, i zwierz borowy, —

Przeto się w myślach i gubię i ważę,
Czembyś się z Tobą podzielił jak z bratem —
I moim pięciu wielbłodom nieść każe
Juki z bisiozem i juki z bławatem,

A zaś każdemu przydawam do garbu
Skrzynkę cedrową i nieco w niej skarbu.

Więc Ci się moje uniżę wielbłądy,
Hold Ci niosące ze złota i srebra,
A Ty mnie ratuj, i zmyj ze mnie trądy,
I zamknij rany, co toczą mi żebra.
A wiem, iż zrobisz to nie darom gwoli,
Lecz iż Cię ludzki ból, jak własny, boli.

I o to błagam, byś piórko wziął w ręce,
Z onych skowronków, co lecą w lazury,
Zgubione w słońcu i w własnej piosence,
I słówko skreślił i przysłał tu w góry...
Iżbym Twe pismo na sercu położył,
I dyszał mocą Twoją, i tak ożył.

A teraz list ten mój, oblany łzami,
Co z oczu leci, jak deszcze rześiste,
Abgar Edessy, król Mezopotamii,
Razem z mą duszą do Ciebie śle, Chryste!
I pozdrowienie Świętemu Judei
Dawam, i cudu czekam, drżąc z nadziei.

ELEKTRA.

Biała Elektra płótno tka
I piosnkę nuci z cicha.
To jej na krosnach błysnie łza,
To cewka, zda się, wzdycha.

Piosnka jak ranny wzdycha ptak,
Łza ciężka perłą pada,
A z leż i z pieśni dziwny szlak
Na płótnie się układa.

I przez lekuchnej przędzy tło,
Przez cienkich lnów osnowę,
Dziwne z pod cewki cienie mkna,
Żalodne a surowe.

Jeden za drugim idą wzdłuż,
Posepnych lic mąż w męża:
A każdy niesie czarny kruż,
Miast tarczy i oreża.

A każdy w piersiach ranę swą
Wskróś jasnej niesie zbroi,
I widać, jak ociekłe krwią
Serce mu cicho stoi.

Pod Salaminą zwiedli bój,
I pod Messeną sławną,
Teraz na pogrzeb idą swój
Tak dawno już, tak dawno.

Pod Leuktrami kędyś tam
Pod Mantyneą padli,
A teraz idą z śmierci bram
Surowi i pobladli.

Pod Cheroneą zbil ich wróg,
U Termopilów legli,
A teraz idą z długich dróg,
Z wąwozów, skalnych regli.

Dawno już dali krew i kość,
Lecz wszyscy dzisiaj spiesza,
A każdy błądy, cichy gość
Łączy się z smętną rzeszą.

A każdy idąc kwapi się,
W tę drogę swą pokutną,
I twarz surową, martwą technie
Na to przejrzyste płótno.

Wskróś izby eichy płynie śpiew,
A cewka warczy gniewnie,
Na białem czole ściągła brew
Schylonej drży królownie.

I ciężej coraz pada lza
Na watek pod jej ręką,
I coraz smętniej echo lka,
Zbudzone jej piosenką.

Bo nie zasłona ślubna to
Na piersi jej labędzie,
Ale śmiertelne Grecyi żgło,
Lecz całun Grecyi będzie...

Bo za nią stoi Fatum złe
I mglistem okiem patrzy,
Jak coraz wolniej, wolniej mknie
Mar orszak coraz bladysz...

Aż gdy ostatni przejdzie mąż,
Z tych, co za Grecyę giną,
Przez wieki istnień wciąż a wciąż
Pod sławy Salaminą.

Wyciągnie Fatum mglistą dłoń,
I wątlą nitkę utnie
I złoży Grecyą martwą skroń
Na tem śmiertelnem płótnie.

Jak liść na wietrze cewka drży,
Królowna śpiewa blada,
Z spuszczonego oczu leca lzy,
Jedna za drugą pada.

URYWEK.

Nie wam, słowiki, wtórzyc przychodze,
Nie z tobą, różo, kwitnąć przy drodze,
Którą przemija smutnych tysiące,

Niesionych burzą od wieku...
Nie z tobą w blaskach budzić się, słońce,
Co świecisz równie cicho i jasno,
Czy duchy płoną — czy w walce gasną,
Lecz z tobą płakać — człowieku!

PRZY OKNIE SIEDZĘ...

Przy oknie siedzę w cichą noc,
W gwiazdzistą noc majową,
I czuję dziwnych czarów moc,
Jak lecą mi nad głową.

I słyszę szum i słyszę jęk,
Łkające ciche głosy,
I serce moje chwyta lęk,
A oczy pełne rosy.

I nie wiem, czy to górski zdrój
Tak skarży się a dyszy,
Czy las tak śpiewa psalterz swój
Przy srebrnej harfy ciszy.

I nie wiem, czy to błędny ptak
Do swego tęskni gniazda,
Czy przez lazurów ciemnych szlak
Straconą leci gwiazda.

I nie wiem, czy to z paków kwiat
Tak ciśnie się do życia.
Czy śmierć tak cicho tchnie na świat
I gasi serca bicia.

I patrzę w cień, i patrzę w dal,
I słucham dumającą,
Jak głos ten każdą z swoich fal
O piersi moje trąca...

Ach, to nie strumień szumi tak,
Nie wicher to kolacze,
Nie nocny skrzydłem bije ptak,
Lecz dusza moja płacze.

WEZWANIE.

Nie przychodź do mnie w jasny dzień,
W poranek róż majowy,
Nie przychodź do mnie w jasny dzień,
Bo ci na drogę padnie cień
Mej cichej smętnej głowy.

Ale przyjdź do mnie w chmurny czas,
W jesienne mroczne rano,
Ale przyjdź do mnie w chmurny czas,
Niech blade niebo skryje nas
W swą plachtę z mgły utkana.

Nie przychodź do mnie w szczęścia dnie,
W jutrenne życia zorze,
Nie przychodź do mnie w szczęścia dnie,
Gdy dłoń i serce kwiaty rwie,
A ust puharem — morze.

Ale przyjdź do mnie w zmierzch i w noc,
Gdy rosa pada chłodna,
Ale przyjdź do mnie w zmierzch i w noc,
Kiedy się życia wytli moc,
A dusza wyschnie do dna.

Ale przyjdź do mnie wśród dum,
W rozmyślań wielką ciszę,
Ale przyjdź do mnie wśród dum,
Gdzie czarnych sosen szmer i szum
Mogile mą kolysze.

NA FUJARCE.

I.

A czemuż wy, chłodne rosy,
Padacie,
Gdym ja nagi, gdym ja bosy,
Głód w chacie?
Czy nie dosyć, że człek płacze
Na ziemi,
Co ta nocka sypie łzami
Srebrnemi?

Oj żebym ja poszedł ino
Przez pole
I policzył łzy, co płyną
Na rolę,
Strachby było z tego siewu
Żać żniwo,
Boby snopy były krwawe
Na dziwo!

Przyjdzie słonko na niebiosy
Wschodzące
I wypije bujne rosy
Na łące...
Ale żeby wyschło naszym
Leż morze,
Chyba cały świat zapalisz,
Mój Boże!

II.

Rozlegnijże się,
Głosie, po lesie,
Po zielonej, szumiącej dąbrowie!
Otrząśnij z rosy
Trawy i kłosy
I te głogi, co kwitną w parowie.

Przez pole, przez wieś,
Rozglosem się nieś,
Aż do drogi, co idzie w kraj świata...
Niech się zaslucha
Moja dziewucha,
Wodna trzcina — i łąka — i chata...

Hej! głos dokoła!
Cości mnie woła,
Cości z piersi zabiera mi duszę...
Żebym jeno chciał,
Pół świata-bym miał,
Tylko tyle, że konie paść muszę...

Jasność miesiąca
W strudze odtrąca
Płatki srebrne, i złote, i sine...
Żebym jeno chciał,
To złoto-bym miał!
Tylko sięgnąć w tę modrą krainę...

I żal, i miło,
Jakby się śniło...
Po galeziach coś szepce, coś gada...
W sercu kolacze,
Śmieje się, płacze,
I chce porwać — i samo przepada!

Hej! dziwnaż to noc!
Jakiś dech i moc

Idzie na mnie od nieba, od ziemi...
 Żebym jeno chciał,
 W górę-bym się rwał,
 Jak skowronek skrzydłami szaremi!

OBIELIŁ NAM...

Obielił nam nasze chaty
 Nowy dzionek złoty,
 Widniej, widniej teraz ludziom,
 Co w niej do roboty.

Do roboty — grodzić ploty,
 Okopywać rowy,
 Strzedz na siłę, co nam mile,
 Na ten roczek nowy!

Do roboty — lepić ściany,
 Gdzie się która pada,
 Boć ta chata stoi lata,
 Jeszcze od pradziada!

Do roboty — bić wyloty
 Na słoneczną stronę,
 Niech uderzy dzionek świeży
 W te ściany omszone!

Do roboty — przede wroty
 Umieść czysto progi,
 Wyrwać chwasty, cierń kolczasty,
 Co nam rani nogi!

Do roboty — walić w młoty,
 O kowadło życia!
 W huku, w trzasku, w iskiej blasku,
 Krzesać serca bicia!

Do roboty — trząść wymłoty,
 Co plewa, co ziarno,
 Mieć na chleby z własnej gleby
 Mąkę choćby czarną!

Do roboty — na kłopoty
 Mieć pociechę w sobie;
 Zdarzy dola, co jej wola,
 Ja, com winien — robię!

A JAK POSZEDŁ KRÓL NA WOJNĘ.

A jak poszedł król na wojnę,
 Grały jemu surmy zbrojne,
 Grały jemu surmy złote,
 Na zwycięstwo, na ochotę...

A jak poszedł Stach na boje,
 Zaszumiały jasne zdroje,
 Zaszumiało kłosów pole,
 Na tęsknotę, na niedolę...

A na wojnie świszczą kule,
 Lud się wali jako snopy,
 A najdzielniej biją króle,
 A najgęściej giną chłopcy.

Szumiały orły chorągwie,
 Skrzypi kędys krzyż wioskowy,
 Stach śmiertelną dostał ranę,
 Król na zamek wracał zdrowy.

A jak wjeżdżał w jasne wrota,
 Wyszła przeciw zorza złota,
 I zagrały wszystkie dzwony,
 Na słoneczne świata strony.

A jak chłopu dół kopali,
Zaszumiały drzewa w dali,
Zadzwonily przez dąbrowę
Te dzwoneczki, te liliowe...

RANEK W WENECYI.

Rajski ptak słońca wleciał, roztrząsał swe pióra,
Zapalił pół niebiosów, zaiskrzył pół morza,
I pieśń światła wyrzucił w niezmierne przestworza,
I zgłuszył śpiew księżycy, nocy trubadura.

Ziemia-Danae leży w perłach ros. U łoża,
Odchylona już rąbków mgły srebrzy się chmura,
A na złotem wezglowiu dogasa purpura
Jutrzennych róż, zaledwie rzuciła je zorza.

Italio! Dzień kochankiem pośpiesza do ciebie.
Na ogromnych twych wodach, na szerokim niebie,
Skrzydlate słońce twoje nie wschodzi, lecz wzlata!

Ale ja z krain ide, kędy na dnia progę
Świt, we łzach cały, długo wyprasza się Bogu,
By mu patrzeć nie kazał na stary ból świata.

WILLA WOLKOŃSKICH.

Tu był, tu czuł, tu marzył. Tędy jego oko,
Zapalone tęsknotą, przez sabińskie szczyty
Biegło pod sine gwiazdy, w świat mgłami nakryty,
I pierś ku mrocznym borom dyszała głęboko.

Tu śpiewał. Rozkochane słowiki tej wiosny
Ucichły w mirtach, w jego wsłuchując się pienie,
Bo był głos — nad ich głosy — gorący, miłosny,
A z pieśni były szumy zbóż i gajów drżenie.

Tu czuł. Stąd duch napięty piorunowym łukiem
Natchnienia, strzała leciał przez włoskie lazury,
I szum swój zlewał w akord z północnych burz hukiem,
I ciskał błyskawice i gromem bił w chmury.

Tu, na samotnej sosny patrząc czarność, smętny
Odwracał od róż oczy tęskne, gorejące...
Stąd — orzeł, gniazda swego górnego pamiętny,
Wzniósł loty, wzbił nad ziemię i uleciał — w słońce.

DO WIERZBY W PRATO.

Wierbo moja, płaczko moja,
Wspólne nasze łzy!
U jednego tęsknot zdroja
Stoim, ja i ty...

Na rozdrożu, na tulaczem,
Gdzie nas rzucił los,
Przeminionej wiosny płaczem
W jeden szum i głos...

Płaczem zorzy tej liliowej,
I słowiczych dni,
I tej nocy księżycowej,
Co o szczęściu śni...

Płaczem doli i kochania
Tych umarłych róż,
Co na pogrzeb im podzwania
Złota fala zbóż...

I dalekiej płaczem chaty,
Gdzie zawarty próg,
Gdzie wyrwane leżą kwiaty
U pielgrzyma nóg...

Idą ranki i wieczory,
 Łęskność w sercu trwa,
 Łkają twoje śpiewne kory,
 Piosnka moja lka...

Co tu po mnie? Co po tobie?
 Gdzie nasz bratni chór?
 Zabłąkane my tu obie
 W czarny, ludzki bór...

Zabłąkane my rowieśnie
 W obcą, cudzą dal...
 Jedne w sercu brzmią nam pieśni,
 Jeden w piersiach żal!...

Jedno po nas też zostanie,
 Gdy się skończym już:
 Fujarkowe, ciche granie,
 W echach pól i dusz!

WIDZENIE MORZA.

Szmat nieba się oderwał z kraju widnokrega,
 Zadrgał, zalsnił, zamarszczył łusk świetnych tysiacy,
 Wklęsnał, zamodrzał, ziemię opasał, jak wstęga,
 I w głębokie mgły wnurzył obadwa jej końce.

Już na kraniec zachodu i wschodu przesięga,
 Rozkryształa powietrza kopuły wiszące,
 Już tchnął, już poszła z niego świeżość jakaś tęga,
 Zakolęchał się z szumem i odstrzelił słońce.

Już otwarł się w niezmierność ogromną i siną,
 Pół globu uczyniwszy lazurów lupiną,
 Srebrem orzeźbia brzegi po ciemnej jej korze.

Już porwał oczy. Oczy moje we mgłach giną...
 Już myśl porwał. Myśl w otchłani zapada szczelina
 I pierwszą perłą z głębin wyblyska. To morze! —

PAN BALCER W BRAZYLII.

NA MORZU.

(Wyjątki).

Więc kiedym stanął na owym pokładzie,
 Na pewnych nogach i szeroko w kroku,
 Tom się pocieszył, że już na zawadzie
 Nie będzie teraz nic, nawet lza w oku.
 Okręt był wielki, szeroki w nasadzie,
 A choć wiatr tęgi zadymał mu z boku,
 Ledwo się w sobie kolebał bez mała
 Na linie, co się napięła i drżała.

W imię Ojca, i Syna, i Ducha!
 Zrobiłem święty krzyż: płynąć, to płynąć!
 Człowiek nie plewa, wiatr go nie wydmucha,
 Katolik przecie, Bóg nie da mu zginąć.
 I teraz we mnie wstąpiła otucha.
 A że mnie jeden z fajeczką chciał minąć,
 Więc ognia wziąłem i czapkę-m nacisnął
 Na lewe ucho; wtem sygnał zaświsnął.

Jest przeraźliwość jakaś niespodziana
 W takowym świście, co jeży ci włosy,
 To już waleta przez ziemię ci dana,
 A ty się zbieraj i w garści dzierz losy.
 Więc się pode mną ugięły kolana
 I w oczach nieco zacząłem tej rosy,
 Co chociaż nikt cię nie żegna z żalobą,
 Samego czleka urzewnia nad sobą.

A już te czółna, te barki, te łodzie,
Co tam latały do portu od brzegu,
Tak się zwijając i goniąc po wodzie,
Jak stado rybitw, gdy płocia dostrzeżę,
Cała ta luza zbyt ciężka w pochodzie
Już nam umyka, już od nas odbiega.
Wtem działo w hacie ryknęło co gardła...
Głos poszedł duży, lecz woda go zżarła.

Znak to był, jako na grzbiecie nas swoim
Morze już samo trzyma bez kotwicy;
Załopotały po boku oboim
Skrzydłiska naksztalt młyńskiej śmigownicy;
Nie czulem zrazu, czy płyniem, czy stoim,
Dym buchał ogniem, jak w czarnej kuźnicy,
Okręt, choć trzeszczał, lecz mocny się zdawał,
I, jak rak, wodę łapami rozkręcał.

Tuż za nim, jako kiedy na nowinie
Plug zajmie krojem skibę a odwali,
Taka się połąć skroś morza odwinie
I szerszym ogniem po strzepach się pali;
Bo już się słońce nurzało w głębinie
Kolory dając za siebie tej fali,
Co się waliła w żar, bródza po brózdzie,
Łódź czarną ciągnąc za sobą na uździe.

Na statku wrzawa, komenda, tłok, krzyki;
Po ludziach depcą, jak w boru po chróście.
Człek się tu robi przemysłny a dziki:
Ustap się krokiem, to chybniesz w czelustkę.
Nie tak się niedźwiedź pilnuje muzyki,
Gdy mu na drumli gra Cygan w odpuszcie,
Jak tu człek prawa morskiego i rządu,
Bo apelować daleko do ładu.

Zrazu tam byłem, jak w ostęp wpędzony,
Wprost na naganke, w sam kociel obławy,

Jako ten szarak, co nie wie, gdzie w strony
Sluchy ma wytknąć, by nie dał odprawy;
Świst wiatru w uszach i rozped szalony
Mało mnie z onej nie wymiottił przez nawy,
Razem z magierką, z butami i z pasem;
Więc się skulił, jak zając pod lasem.

Ale powoli cichło. Czym ja zwykał,
Czy też tak woda po sobie rozniosła...
A com rozumiał, że każdy wykrzykał,
Jeden drugiego ganiając za posła,
Nieprawda! tuman już z oczu mi znikał:
Różny tu urząd i różne rzemiosła;
Najwyżej stoi kapitan w honorze
I w rozkazaniu, a nad nim zaś — morze.

To pan największy nad wszystkie burnistrze,
A każdy przy nim kiep i staje frontem.
Gdy ono huknie, a porwie się bystrze,
To jakbyś właśnie na działo szedł z lontem.
A gdy zwolnieje, gdy toczy się czystsze,
Pod drobną falą, jak gdyby pod gontem,
To ci od miru tego, od tej laski,
Naokół bije świt i srebrne blaski.

Ale nim sobie rozbierzesz to, człeczce,
Jużes poczęstnem szturchańców wziął siła,
Już ci tu za kark coś pleszcze i ciecze,
Już cię tu lina skrobnęła, jak pila;
Tuś w łańcuch stąpnął, więc z sobą cię wlecze,
Tu pompa chlusła i gębę ci zmyła;
Gdzie spojrzysz, wszędzie srogość i zawziętek,
A morze kipi i bryzga, jak wrzątek.

To i nie dziwo, żem zrazu w tym warze
Nie wiedział nawet, co z naszą gromadą.
Stalić tam w dymach kotłowych i w parze,
Zbici na kupe, jak owiec tych stado,

Gdy je zaploszy wilk; pojrzałem w twarz:
Te jedne sino mienia się, te blade;
W oczach błęd jakiś, kolana dygocą,
Stoją, jak gdyby ujęci złą mocą.

Każdy to wiedział, że morze nie lacha,
Poły nie ugnie, nie przejdzie go brodem;
Alci dopiero tu poznał on stracha,
Tutaj na grzbiecie pot ściał mu się lodem,
I widać było, jak tłum ten się waha,
Oblany krwawym, ogromnym zachodem,
Jako lan żytni, gdy wiatry nim chwieją,
Między żalością i między nadzieją.

To kiedym spojrzał zagnał w sukmany.
Na owem wielkiem, rozłożystem morzu,
Na ten len siwy, welnami przetkany,
Co zwyczajem siedzi schowany we zbożu,
W opolnych ziemiach, pod dach swój słomiany,
A teraz — patrzcież! — po takim przestworzu
Z wiatrem się błędnym unosi po świecie,
To mnie mróz przeszedł i ciarki po grzbiecie.

Boć ze rzemiosłem to jeszcze pół licha:
Człek jest światowy i luźny sam w sobie.
Kunszt go prowadzi i naprzód popycha:
Źle mi, poprawię; straciłem, zarobię;
Ale kto w sochę swój żywot wydycha,
Kto ziemię tylko przewraca a skrobie,
Kiedy chce od niej, nie puszcza go, stęka,
I tak, czy owak, a zawsze jest męka.

Więc gdy tak patrza na one to brzegi,
Choć im i cudze były i niełube,
Na one wody pienne, by śniegi,
Co się chybocą i kręcą we śrube,
Podobni ptaetwu, co miewa nocegi
W śródniebnych drogach, a podczas i zgube,

Od skrawku ziemi, niknącej w oddali,
Oczu nie mogli odjąć, i tak stali.

A już te luno ugasły na wodzie,
Z zachodnich ogniów, kolorów i z słońca;
Niebo się miało ku cichej pogodzie,
Otehnione parą od końca do końca.
Lekkuchna modrość szła po niem na wschodzie,
Aż nagle gwiazda wyblysła z niej drżąca
I liczko swoje zlociste a blade
Prosto na naszą zwróciła gromadę.

I patrz, jak dziwne są moce i siły
W owych to światłach litosnych na ziemi!
Wszystkie się głowy podniosły i wzbily,
Jakoby tchnięte ognistym tchem w ciemię;
Wszystkie się oczy rosami zaszkliły,
A choć nikt znaku nie dał, lud, jak brzemie,
Z jękiem padł głośnym na oba kolana:
— „O gwiazdo morza! O karmiąca Pana!“

.
.
.

A już i niebo spuściło się nisko,
Ciężkie chmurami, i mąt po niem chodził,
Rwąc na kawaly to szare placheisko,
Którym się od nas dzień cały przegrodził.
Chwycilem masztu, bo stać było ślizko,
A wtem mnie bałwan jeden tak ugodził,
Jak chłop, gdy nogi podbije kłonicą,
I uciekł, cały siny błyskawicą.

Jakże nie rykną wichry! jak po niebie
Nie naczna trzaskać z okrutnym gruchotem!
Jak się nie porwą, nie wpadną na siebie,
Jak się nie cisną o morze pokotem!
To koń takiego dołu nie wygrzebie,

Kiedy go jezdnik uwiąże za plotem,
Jak one wodę skopały kopytem,
W błyski kowanem i w gromy podbitem.

Znam ci ja burze tegie, bom od dziecka
Po leśniczówkach, jak wileże, chowany;
Wiem, jak Kampinos grzmi, jak Myszyńcecka,
Jak i Zielona, aż het, za Prużany,
Owa ta sławna puszcza Białowieska,
Gdzie się żubr ukrył, potopem zagnany,
W taki gąszcz, że sam Bóg drogi nie wiedział,
Poniechać musiał, a zwier się osiedził.

Jest ci tam przestrach, gdy wichur uderzy
W róg krętych sosen lub puści ze smyczy
Ogary wietrzne pó pustej trzebieży,
A tur go ciągnie w chrap mokry i ryczy...
Lecz przecie się to do morza nie mierzy!
Tu lęk osobny jest, co kości liczy,
Tak, że ci każda, jak w zimnie, dygota,
Lęk ogromniejszy niż w końcu żywota.

Tu szpicem na dół przód się okręciska
Sunie, ze wszystkim chcący grzęznąć do dna,
Tu trzask, tu łomot, tu gardziel ci ściska
Śmierć, której ręka jest mokra i chłodna;
Aż nagle w górę, jak chybnęta miska,
Jedziemy, przez lby wali góra wodna,
Do suchej nitki mocząc szmat na grzbiecie,
A puść się ręką, to cię, jak żdźbło, zmiecie.

A tuż dopiero jak się zaczęły toczyć
Beczki, łańcuchy, — to z taką szło siłą,
Że drugi, trzeci, nie zdążył uskoczyć,
Już nim, jak kulą, o pomost rzuciło.
Ludzie zaczęli krzyżeć, pchać się, tłoczyć,
Niemal chłopstwu guzów tam nabilo,
Nie licząc tego, że się Italiańska
Dziewka przez poręcz splawiła do Gdańska.

Nie tak się w sobie rozszumi, rozwieje
Bór, gdy się sośnie zamiotą od burzy,
I nie tak ugór zorany czernieje,
I nie tak żyto za wiatrem się kurzy,
Jako więc morze pod ową zawieją
Wół na wół pędzi, dogania go, nurzy,
Zatapia, ryczy, jako byk do stada,
Zrywa się, leci i w otchłań przepada.

Huknęły teraz niebieskie harmaty,
Które sam Michał Archaniół nabija.
Mrok upadł gęsty, i tylko się szaty
Anielskiej czerwien skróś chmury przewija.
Pękły nad światem ogniste granaty,
Świszcza, żądłami kręca, jako żmija,
Lecą do morza pobite czerepy,
A deszczu strugi tak wala, jak cepy.

Jeszczeć to chłopu mniejsza; chłop dostoi
Choć się w nim życia ruszą fundamenty.
A drugi taki, im więcej się boi,
Tem twardszy bywa w śmiertelne momenty;
I za trzech zuchów tchórz w strachu obstoi...
Lecz baby srogie czyniły lamenty,
Od których, gdy nam ciężko uszy puchły,
Kapitan kija podniósł, i tak zgłuchły.

Zaraz też okręt lżej zaczął sterować.
Bo już nad wszystko wrzask babi nie służy,
Gdy się kto bierze po morzach żeglować.
Rzecz to jest mocna i pomiar jej duży...
Już się tam nie lża po tyńfie targować
Z śmiercią, gdy nawa pod wodę się nurzy;
Co masz, to dawaj, czy miedzią, czy złotem,
Wypłyniesz? będziesz rachował się potem.

Tymczasem owe to morskie zalogi,
W świstach, w błyskaniach migają się ino,

Skróś ognia onej niebieskiej pożogi
 Świecąc twarzami piekielnie a sino,
 Kapitan, blady w obliczu i srogi,
 W rozpiętej kurcie, przewzięty w pół lina,
 Okiem obiegał morze i pod reja
 Komendę trzymał na przebój z zawieją.

Nie łatwo było! Co okręt dał nura,
 Strząchnął się z piany i na wierzch wypłynął,
 To znów się wody waliła nań góra...
 Tak on lbem pod nią, i znów się wychynał!
 Na hak-by go ta wpędziła wichura,
 I byłby pewno, jak ruda mysz, zginał,
 Ale się morze w tej bitwie zmachało
 I w setne trąby na odwrót grać dało.

Do samej nocy gonily nas sine
 Oczy błyskawic i grzmot lajał z warkiem.
 Aż my się, w wichrów weisnąwszy szczelinę,
 Przebili z tuczy. Tak skrzydła ptak szparkiem
 Kraje na ukos powietrzną głębinę,
 Kiedy mu kania zakrąży nad karkiem...
 Lecz piorun jeden dognał nas, wypalił
 I sążeń drzazgi od masztu odwalił.

Zaraz też, jakby na to tylko czekał,
 Jął się wicher ciszyć i składać po sobie
 Zjeżone grzywy; a grzmot tak uciekał,
 Jak gończy z troka, gdy w kniei przeszkrobie.
 Raz jeszcze, drugi, wskrós mroków zaszczekał,
 Zaciął, znów drogę obwarknął na globie,
 Aż ciszej, dalej, z ostatnim skowytom
 Schował się w niebie, chmurami nakrytem.

Z WIECZORNYCH PIEŚNI.

Wieczór już, Panie! Oto leśni ptacy
 Skłaniają skrzydła ku gniazdom w polocie,

Oto pół twoich umilkli śpiewacy,
 Oto dzień cały przetrwałam już w pracy,
 We łzach, w tęsknocie...

Z blasków poranku, i dnia, i ze słońca,
 Nie miałeś dla mnie żadnego promienia.
 Oto się czas mój nachyla do końca,
 Oto już gwiazda wieczorna i drżąca
 Błyska wśród cienia...

Innym oddałeś zórz jasnych kolory,
 Nad cichą strzechą rzucone w lazurze,
 I zapach łąki, i ciszę w naturze,
 Bocianie gniazda, topole i róże,
 I ciemne bory...

Lecz ja ze świata całego ogromu
 Jedno jedyne serce wzięłam sobie.
 Gniazdo me spadło strącone od gromu,
 Nie było dla mnie ogniska ni domu,
 Żyłam w żalobie...

Po cząstkę moją, na boku stojącą,
 Nie wyciągnęłam przez dzień cały ręki.
 Życie przechodzi, pomija, potęra,
 Myślałam — wspomni! — czekając tak końca
 Nucąc piosenki...

Lecz oto kwiaty posnęły majowe,
 I kruk samotny znajduje posłanie...
 Czuję chłód ros tych, co leca perłowe,
 Na wiernej piersi daj skłonić mi głowę.
 — Wieczór już, Panie!...

WŁADYSŁAW BEŁZA.

Ur. r. 1847 w Warszawie.

»Pieśni liryczne« (1868), »Poezye« (1874) »Poezye« (1892).

DROGA DO NIEBA.

Matenko moja! powiedzcie jeno,
Jaką do nieba trafić drożyną?
Czy ta jest droga żywota wieczna,
Co lśni na niebie, jak wstęga mleczna?
Czy jaka inna ukryta może,
Która prowadzi w królestwo Boże?

Och, mój najmiłszy aniołku mały!
Ten promienisty gościniec biały,
Na którym jasna, wiosenna nocą,
Srebrne gwiazdeczki światłem migocą,
To tylko dla nas jako wzór święty,
Na lazurów niebie napięty,
By droga nasza była tak biała,
Jak ta w błękitach wstęga wspinała!

Kto chce do nieba trafić, o dziecię!
Ten drogę znajdzie i tu na świecie!
Miłość mu wrota raję otworzy,
A litość w kraj go nawiedza Boży!

Och, mój aniołku! przed Tobą droga
Leży wiodąca do Pana Boga!

Nie zbaczaj jeno na ścieżki kręte,
Lecz powinności wypełniaj święte!
A gdy kres życia padnie na ciebie,
I ty gwiazdeczką zalśniesz na niebie!

PIEŚŃ O KOSZULI.

W izbie mroźno, krzepną dłonie,
Słychać głuchy szum zamieci,
Bładem światłem lampka płonie,
Błądą twarzą dziewczę świeci.

Coraz bardziej pierś ostyga,
Coraz słabiej serce bije,
W pilnych palcach igła miga,
I wciąż szyje... szyje... szyje...

Zorza luną tleje jasną,
Ona szyje do ostatka.
Tam, na niebie gwiazdy gasną,
Tu, na ziemi kona matka.

O miej ufność, matko biedna,
Pan Bóg wejrzy, lzy utuli!
Jeszcze tylko wstawka jedna
W batystowej tej koszuli!

Ot, już praca niedaleka,
Mocy Bożej ufać trzeba!
Ja ci, matko, kupię mleka,
I białego kupię chleba!

Cicho... cicho... ani jęku,
Słońce wschodzi, pomrok kona,
Igła szybko miga w rękę,
I... koszula już skończona!

Och, radości tu niemało,
Aż weselsze serca biecie!
Ciszej, mała!... słońce wstało,
Lecz zagasło matki życie!

Dwie męczeńskie blade głowy
Anioł śmierci cicho tuli...
Za tę powieść batystowej
Pokłoniłem się koszuli.

JULIAN OCHOROWICZ.

Ur. r. 1850 w Radzynie.

NAPRZÓD.

Nie ten zna burzę, kto miotan wichrami
Na pełnem morzu napotykał gromy.
Nie ten zna walkę, kto zbratan z działami
I z hukiem boju znajomy!
Lecz kto bez chleba i bez lzy bratniej,
Przez tłumy ludów, sam siłą własną
Szedł — i zdobywał w życiowej matni
Każdy kęs chleba, każdą myśl jasną;
Kto bez promienia rodzinnej wiary
Rzucony w otchłań przeszedł przez piekło
I nie spalony ogniem ofiary
Szedł wciąż, choć szczęście przed nim uciekło.
O, ten zna walkę!... Bracia! przed nami
Taka dziś walka stoi otworem;
Naprzód. — Kto padnie, wspomnim ze łzami,
Kto wytrwa — będzie nam wzorem!
Naprzód! przed nami świat do zdobycia,
Nadziei tysiąc, zawodów tysiąc.
Lecz nim przebędziem pierwszy próg życia,
Pierwej z nas każdy musi tu przysiądz,
Przysiądz na wszystkie świętości ziemi,
Że póki serce w piersiach bić będzie,

Do walki życia pójdzie z innemi
 I chwale siłą zdobędzie!
 My chcemy walki, lecz nie tej krwawej,
 Co świat napelnia zwierzęcym wraskiem,
 Co w liczbie morderstw szuka swej sławy
 I krwawym dumna oklaskiem!
 Nie tej, co pośród dzikiej zamieci
 Ogniem i mieczem burzy i straszy;
 My chcemy walki, co kraj oświeci
 Od piwnic aż do poddaszy!
 Co kraj oświeci wiary światłością,
 Walki, dla której świat jest miłością,
 Zimna rozważa — nadzieją!
 Chcemy los własną kierować dłonią
 W walce, wśród której wodzem jest stałość,
 W walce, dla której praca jest bronią,
 A sprzymierzeńcem — wytrwałość!
 O, bo pieśń nasza, to nie ta łzawa,
 Słodka melodia niebieskich ptaszyn,
 O, bo pieśń nasza, to fabryk wrzawa,
 Stuk młotów i turkot maszyn!
 Nasza modlitwa, to nie te mgliste
 Tęskne za lepszym światem wzdychanie,
 Nasza modlitwa, to wiekuiste,
 Łączne z miłością wiedzy działanie;
 To myśl, co tęskni w ludzkości sercu
 I nad znikome życie ulata;
 To głos, co w bliźnim i różnowiercu
 Znajdzie człowieka, druha i brata!
 Więc nim się krótki sen życia prześni,
 Nim drogę trudów przebedziem ślizką,
 Chowajmy w duszy dźwięk bratniej pieśni
 I bratnich uczuć ognisko!
 A gdy czas, spieszmy zagnani wiedzą,
 Sokolim lotem do pragnień szczytu,
 Niech o nas przyszłe wieki powiedzą:
 Żeśmy zbliżyli promienie świtu!
 Żeśmy nad ludów zburzone fale,

Łódź naszych losów kierując myślą,
 Wzniesli i wiedli w dłoni zuchwale
 Tam, gdzie w oddali ponad głów tłumem
 Na wielkim drzewcu z wszechwiedzy drzewa,
 Okryty chwałą, z tajemnym szumem,
 Sztandar postępu powiewał!
 Lecz nim go nasze dłonie pochwyca
 I wzniosą w górze u snów zenitu,
 Bądźmy dla wieków złotą skarbnicą,
 Dla gromów — skałą granitu.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

Ur. r. 1850 w Wasylówce (gub. Kijowska, pow. Skwirski).

«Wspomnienie Tatrów» (1891), «Poezye» (1893).

PIEŚŃ SZCZĘŚCIA.

Chcecie, bym śpiewał? — może nawet chcecie,
Żebym uderzył w ton pieśni wesoly?
Ach! tak rozkosznie, tak dobrze na świecie,
Ziemia — raj prawie, ludzie — pół-anioly,
Sklep lazurowy nad nami rozbity —
Tylko się unieść i lecieć w błękity.

Gdzie rzucisz okiem, poprzez niw kobierce,
Widzisz motyli gon wśród tęcz powodzi —
Gdzie serce zwrócisz — uderzy ci w serce
Ta pieśń swobodna, którą szczęście rodzi.
Westchnieniem wznosi pierś, potęga duszę,
Że choćbym nie chciał śmiać się, śmiać się muszę!

Tak! pełną piersią oddycham dziś z wami —
Szczęśliwy jestem — i nic mi nie trzeba;
Czego zapragne, wnet los dobry da mi,
Choćbym zażądał złotej gwiazdy z nieba,
Choćby szalone przyszło mi pragnienie
Na kołowrotku zwijać gwiazd promienie.

Rozkosznie cicho!... Żaden grom, ni burza
Snów czarodziejskich z powiek mi nie spędza —
Kwiaty i kwiaty!... Woń róż mnie odurza,
Czarownych marzeń rozsnuwa się przedza,
Splata się w wieńce złote, w światel koło,
Brzmi pieśnią rajska... och, jak mi wesoło!

Zbliża się wielka rocznica narodzin:
Przedwieczne Słowo żywym ciałem stanie —
I patrzcie! patrzcie! za niewiele godzin
Z anielskim chlebem spłynie pojednanie
Tych, którzy w sercu gniew zawzięty mieli, —
I od Wigilii wstaną już — anieli!

Do płasów za mną!... Zbliża się ręcznica,
Przed którą w sercach nie rodzi się trwoga.
Płomieniem wielkim rozjaśnijmy lica,
Wzniesmy puławy i pijmy w cześć Boga,
Który zapalił gwiazd jasnych promienie,
Na ziemię zstąpił i przyniósł zbawienie!

Ach, z wigilijną ową gwiazdą złotą
Ileż radości w domy nasze spłynię!
Zbierzem się wszyscy — i dłonie się splecą
W uścisk braterski, czar serca owinie —
I, niosąc cichą modlitwę do nieba,
Powiemy Bogu: „Nam już nic nie trzeba!...“

Zbierzem się wszyscy — my i nasze sługi —
I zamienimy z sobą życzeń krocic:
Daj, Boże! taki rok doczekać drugi,
W tej ciszy świętej, w marzeń szczerem zlocie,
Wśród róż, snów, czarów!... Daj nam, Panie Boże!
Przy morzu łask tych, drugie takie morze.

Rocznica, święta! w ten dzień uroczysty
Żadna ku niebu nie popłynie skarga,
Z nieczylich oczu nie padnie rzęsimy

Deszcz nagłem lkaniem, sercem nie zatarga
 Ból żaden... o, nie! — w tej wielkiej godzinie
 Hymn dziękczynienia do Boga popłynie:

Za dobro wszelkie, które tak obficie
 Złotym promieniem zlał pod nasze strzechy —
 Za to rozkoszne, pełne kwiatów życie,
 Za nieustanny jeden źródł pociechy,
 Za obietnicę... po naszym pogrzebie,
 Szczęścia wiecznego i królestwa w niebie!

ZE WSPOMNIENÍ GRECKICH.

Grek mię prowadził. — Pod stopami memi
 Spalone skwarem szeleściły ziola;
 Krzewy mirtowe przyległy do ziemi;
 Wiatr gdzieś w szczelinie skał drzemał — gór czoła
 Patrzyły w słońce, co z monarszą pycha
 Przez cichy obszar błękitów szło cicho.

W słonecznych blaskach Tajgetu wyżyny
 Purpurowemi świeciły barwami;
 W skalistych głębiach leżały muśliny
 Mgiel nieruchome, a dalej — przed nami
 Widniało głazów omszonych bezładzie...
 W podobne kształty czas ruiny kładzie.

Na piaszczystego wszedłem wierzch pagórka
 Prastarej Grecyi owionięty duchem.
 U nóg mych żółta pierzchnęła jaszczurka
 I gdzieś się skryła w piasku morzu suchem.
 Cisza... W dolinie szemrał tylko wązki
 Eurotas, laurów trącając gałązki.

W polyskliwego zdroju idąc ślady,
 Szelestem swoich stóp drażniłem ciszę;

Lecz echa spały na górach Hellady,
 W powietrzu żaden ptak się nie kołysze —
 Patrzyła w przestrzeń żrenica otwarta...
 Wtem Grek się wstrzymał i powiedział: „Sparta!“

Stałem... Chciwie wyteżyłem ucho:
 Na ono słowo wszak się echa zerwa,
 W wąwozach skał tych odezwą się głucho
 Leonidasa imieniem i przerwa
 Tę martwą ciszę... Okrzyk się rozszerzy,
 Polecą wichrem i gromem uderzy.

Slucham... Milczenie! — Nawet wążka struga
 Szemrzeć przestała i zwolniła w biegu,
 Leniwem światłem cicha fala mruga.

NIE TAK! — NIE TAM!

Miał jeno kawał sukmany

I silne dłonie —

Pracował nieraz o głodzie,

Rąbał drwa w lesie — pasł konie,

Gdy księżyc świecił rumiany,

Na ziemi sypiał wznak,

Nie tak, jak pany —

Nie tak!

Obsiewał nie swoje lany,

Oral nie swoje —

A wczesnym rankiem brał kosę,

A nocką bydłał gnał troje

Na zarośnięte kurhany —

Szedł z długim batem sam...

Nie tam, gdzie pany,

Nie tam!

A gdy włos biedą stargany
 Błysnął siwizną;
 Gdy chude barki się zgęły,
 Na żebry ruszaj, starzytno!...
 I szedł przed siebie, jak gnany,
 Z obwisłym skrzydłem ptak —
 Nie tak, jak pany,
 Nie tak!

Wsunał w żebracze łachmany
 Wychudłe członki,
 Umarł na progu kościelnym,
 Gdy w niebie grały skowronki...
 Nie mu już smutki, nie rany!
 Do rajskich poszedł bram —
 Nie tam, gdzie pany,
 Nie tam!

BAJKI.

DOBRA ZAMIANA.

Rzekł Marcin do Jakóba: — „Zamieniajmy żony.“
 Na to odpowie Jakób, wcale niezdziwiony:
 —Zamieniać?... a to po co?... Ot, jak skończę z tobą;
 Swoją zostaw u siebie, a moją — weź z sobą!“

LEPSZE CZASY.

Nie sprzeczam się—jest postęp! —Lepsze czasy padły.
 Dawniej, pośród przyjaciół psy zająca jadły...

Teraz co krok, to widzę zmian poważnych wiele
 I zająca zjadają sami przyjaciele.

PADYSZACH.

Padyszach, dziad zszarzony, z przewiedłą urodą,
 W zamczysku swoim chował odaliskę młodą —
 Nawiedzał ją codziennie z pełną perelą czarą,
 Sypał złoto, klejnoty — iście pańską miarą.

Młody janczar... nie perły, to rzecz oczywista,
 Lecz dawał jej ukradkiem pocałunków trzysta.
 Nie wiem, co chętniej brano — powiem jednak śmiało:
 Pocałunki paliły, złoto — chłodem wiało.
 —„Królu królów!—raz krzyknął zbłądły stróż zamczyska—
 Z pułku janczar, z haremu pierzchnął odaliska!“
 Padyszach się zamyślił... Wzdłuż, wszerek przeszedł harem:
 —„Dziwne!—rzekł—Miała króla—uciekła z janczarem!“

JACENTY.

Dziwnym był ten pan Jacenty, —
 Wszystkim się podobać umiał:
 Chwalił stare fundamenty,
 Nowych gmachów głos rozumiał.
 Idąc z chromym, sam utykał —
 Nawet kozła z nim wywróci...
 W dźwięk słowiej pieśni wnikał
 I uwielbiał głos koguci.
 To też, gdy się z życiem zgniewał
 I na lepszy świat poskakał:
 Ksiądz nad ciałem rzewnie śpiewał,
 A nad trumną dyabeł płakał.

SZWAGIER.

— „Za co mię kaszasz? — spytał krytyka poemat —
Czy myśl mam nadto blahą lub wiersz bez zalety?“
Na to krytyk: — „Wiersz dobry masz, podniosły temat,
Lecz wrogiem mym śmiertelnym jest szwagier poety“.

SAMOBÓJSTWO.

Życie ci męką, własna myśl — cierpieniem;
Pragniesz żywota zagasić pochodnię...
Ja ci przebaczę samobójstwa zbrodnię;
Zabij się pracą, trudem, poświęceniem.

DO BRACI PIEŚNIARZY.

W przeczuciu śmierci.

Dlaczego stoję pośród was, pieśniarze!
Którzy wiosenne opiewacie wdzięki?...
Ani marzeniem waszem nie zamarzę,
Ni kwiatu róży nie wezmę do ręki,
Ni myśl wybiegnie za graniczne kopce,
Gdzie ludzie obcy, gdzie róże mi obce.

Jako dąb, wrosłem w bryłę ziemi szarą,
Z niej krew swą wzięłem, myśl, ciało i ducha —
Żyłem jej szczęściem, wierzyłem jej wiara,
Otuchą moją była jej otucha.
Ot, człek się dla niej rozdrabiał w kawały,
I — przyjdzie chwila — jej odda się cały.

Nie o urokach wiosennych mi śpiewać —
To wasze pieśni, lutniści najszczersi!

Nie krwią stygnącą mnie już dziś rozgrzewać —
Ogień ten z waszej musi trysnąć piersi!
Nie dźwięcznym rytmem tłum ma się pokłonić:
Pieśń — gdy jest żywa — musi w czyn zadzwonić.

Niech mi przebaczą ci, co przyjdą po mnie,
Że się nie wzniosłem nad wysokość plotu.
Nizko-m szybował, choć chciałem ogromnie
Rozwinać skrzydła do wyższego lotu;
Nieraz ku gwiazdom zakręciłem drogę
I czułem dobrze, że dolecieć mogę.

Lecz, choć nie ożył żaden posąg z glazu,
Na który-m rzucał zaklęcia i czary...
Do błota-m piersi nie schylił ni razu,
Nie odebrałem jednej duszy wiary —
Mojego cienia ludzie się nie zleknią;
Kochałem piękno — i wierzyłem w piękno!

O! nie pytajcie: czemu lot się skrzywił
I tak się zwęził rozmach orlich skrzydeł?
Czemu się żaden posąg nie ożywił?
Dlaczego zbrakło barw do malowideł?...
Nie! tej spowiedzi nie chcecie ode mnie:
Jeżeli-m wydał jęk — już skonał we mnie!

W sercu i głowie ból czuję i zamęt —
Lecz wiem, że oto jestem w kole bratniem
A każdy prawo ma spisać testament,
Do świata z słowem zwrócić się ostatniem —
Zwracam się do was, coście nie otrzęśli
Złudzeń z serc młodych, ni ze strun swych gęśli.

Spójnym łańcuchem przybliżcie się ku mnie,
Niech, jak śpichrz pszenicy, będzie orszak tłumny.
Siedząc, pomyślcie: Siedzimy przy trumnie!
Słyszac mnie, mówcie: To mówi głos z trumny!

Patrzcie!... krzyż stoi... Na to znamie krzyża
Przysiegam: Czujcie! bo się śmierć przybliża.
Sto arf niech zagrzmi potężnie, donośnie...
Tylko nie wiążcie rytmów w spłot znysłowy;
W natchnieniach wyższych niech w piersi duch rośnie,
Nie w bluszcz lubieżny, lecz w słup granitowy:
Pryskają szybko wizye Oceanid,
Czernieje nagość ciał — zostaje granit.

Granitu, dźwięków ze spiżu i miedzi
Pieśni tej trzeba!... Niechaj grzmi i świeci!
O echo żadna niech pierś się nie biedzi:
Zaczarowany ptak szybko przyleci —
Narzędzie pieśni — to cudów narzędzie,
Gdy czystym złotem przepojone będzie.

Skapcie się w zlocie!... Niech pieśni odwórczy
Wzniesłego życia nieskalona czystość,
Bo nie wierzących wam tak serce nie wzburzy,
Jak słów rzuconych i czynów dwoistość —
Pomiędzy ludem wieszcz nie staje co rok,
Mesyas jego, przewodca i prorok!

Dziś obniżono Derwidowej arfy
Nastrój potężny... Do wyżyn go wzniescie!
Zostawcie tłumom strój miękki i szarfy,
A jeśli płonąć zechce — wy jesteście!
Przez wasze usta, w dnia zmiennej godzinie,
Błogosławieństwo i kłątwa niech płynie!
Chcieć — czuć potęgę... i nie móżdż rozwinać
Skrzydeł... To Piekło!... Ja znam te katusze!
I wiem, że muszę w zapomnieniu zginać,
Że struny żadnej silniej nie poruszę —
Drętwieją palce, usuwa się lutnia,
I coraz bardziej świat mi się osmutnia.

Ale wy, piewcy życia i nadziei,
Strąćcie zmorę; straszny sen się prześni!

Z pieśnią natchnioną idźcie po kolei,
Wierząc, że siła, że jest moc w tej pieśni;
Że nie zagaśnie światło u ołtarzy,
Jeśli czuwają kapłani na straży.

Pieśń — to kapłaństwo!... Nie dość ręką zdolną
Przebiedz po strunach, tłumowi okłask zyskać —
Ale obniżyć akordu nie wolno.
Raz zapaliwszy słońce, stać — i błyskać,
Milion gwiazd zebrać w swoje środowisko,
Utkwić w niebiosach, a być ziemi blisko.

Bez szyderstw, śmieszek, ani drwin z mentora
Przyjmijcie słowa słyszane ode mnie.
Przez brat wasz, mówię!... Dziś, większy niż wczora,
Lecz w sens jednaki mówi smutek ze mnie;
Nie urągajcie mi hardo i dumnie —
Pomyślcie: Oto siedzimy przy trumnie!

WIKTOR GOMULICKI.

Ur. r. 1851 w Ostrołęce.

»Poezye« (1887), »Nowe pieśni« (1896).

NA KANONII.

Mieszkalem wówczas na Kanonii,
W sąsiedztwie nieba;
Słuchałem z blizka sfer harmonii
I czcilem Feba.
Życie mnie uczyła uśmiechnięta
Pieśń Horacego;
Kochałem książki i dziewczęta —
Cóż w tem zdrożnego?

Choć poemata moje pierwsze
Brano pod placki,
Co noc pisałem wściekle wiersze
A la Słowacki;
I zamiast ślepieć bez wytchnienia
Nad *Corpus juris*,
Sławilem uśmiech i spojrzenia
Warszawskich hurys.

Raz mię opętał wzrok sąsiadki
Miłosnem lichem,
(Bo amor stawia swoje siatki
Nawet pod strychem);

Lecz miłość rzadko dla poetów
Przynosi szkodę —
Palnałem wtenczas sześć sonetów
I jedną ode.

Życie wśród marzeń biegło cicho,
Niby idylla;
Snów mi nie trula serca pycha
Żadna Marylla;
A chociaż pieśniom wtórowało
Miauczenie kotów,
Do śpiewu przecie, jedząc mało,
Wciąż byłem gotów.

Obok mnie liczną chował dziatwę
Szewc kuternoga;
I do pułapu wznosił dratwę,
A głos do Boga;
Bez przerwy walcząc z nędzy biesem,
Szyl w dzień i w nocy:
Ten szewc mnie uczył przed Smilesem
Samopomocy.

Drugi mój sąsiad był artysta
Na klarynecie;
Grywał nieczysto, a pil *czystą*,
Jak to na świecie!
Co noc mordował bez litości
Włoski „karnawał“ —
Ten znów talentów znikomości
Przykład mi dawał.

Trzeci, szczęśliwy ze swobody
(Był emerytem),
Wypijał dziesięć szklanek wody
Zaraz ze świtem;
Zielone nosił okulary,
A czarny plaster,

Chował kanarków cztery pary
I palil knaster.

Dość było figlów i pustoty
W tem kółku naszym,
I nieraz śmiechów huczne grzmoty
Trzęsły poddaszem;
Śmiał się artysta z emerytem
A szewc z poetą —
Tak się jednacza, różne bytem,
Cienie nad Letą...

CZARY.

Zdaje mi się, że złościć się
Pałą się latarnie,
Że posagi pośród liści
Mrugają figlarnie;

Zdaje mi się, że pojazdy
Do rytmu turkoczą,
Że nie świece, ale gwiazdy
W ulicach migoczą;

Zdaje mi się, że tęczowo
Lśnią kamienne ściany,
Że mozaiką marmurową
Chodnik wykładany;

Zdaje mi się, że przechodnie
W uśmiech stroją twarze,
Że ich serca biją zgodnie,
Jak młotki w zegarze;

Zdaje mi się, że krzewina
Wstrząsa nimfa płocha;

Że z ogrodów szeptu płyną;
Kocham, kochasz, kocha;

Zdaje mi się, że w lazurze
Mkną anielec wianki,
Że mnie wabią oczy duże
Z za każdej franki...

— „Na Minerwę! na Darwina!
Bracie, ty majaczysz!
Napileś się pewnie wina,
Lub paliłeś *haczysz*“...

Tak! co złudzeń mych przyczyną,
Zgadliście najprościej;
Odurzyło mnie dziś wino...
Wiosny i młodości!

FRANCUZICA.

Widywałem ją w jednej cukierni
Opuszczonej i starej, jak ona.
Przychodziła zawsze sama, w czerni,
Wypłowiłym pledem otulona,
I siadała w milczeniu, gdzie siada
Emerytów kaszlących gromada.

Kawy szklanek przynosił jej chłopiec,
Oraz świeże francuskie dzienniki;
Układała wysoki z nich kopiec
I dobywszy z torby rogaliki,
Zawinięta w gazet prześcieradła,
Jednocześnie czytała i jadła.

Mumia w takiej nie drzemie martwocie,
W jakiej ona spędzała wieczory;

Przyjaciela miała tylko w kocie,
Co był brudny, mrukiwy i chory,
I biegł do niej z kąta za bufetem,
Z najeżonym fantastycznie grzbietem.

Naksztalt grubej, zaściankowej szlachty,
Którą laury bismarkowe kuszą,
Tylko w wielkie, polityczne płachty
Zagłębiała się wzrokiem i duszą;
A szpon myśli wszechpiwszy w artykuł,
Ani drgnęła... jakby ją kto przykuł.

Czasem notę zrobiła ołówkiem,
Czasem w gniewie przytupnęła nogą...
Nikt jej nigdy nie zaczął słówkiem,
Ona również nie знаła nikogo —
I samotnie, od wszystkich odcięta,
Przepędzała dnie zwykle i święta.

Raz jej z torby na ziemię wypadła
Miniatura młodziutkiej dziewczyny...
Lecz tak echiwie czytała i jadła,
Razem z kawą łykając nowiny,
Że zupełnie nie spostrzegła zguby —
Dziewczę było śliczne, jak cheruby...

Miniaturę podniosłem ukradkiem,
By dać starej ostrożną nauczkę;
A gdym oczy nasycił tym kwiatkiem,
Rzekłem: „Pani! strzeż pilniej swą wnuczkę...”
Odwróciła się z gazet szelestem
I mruknęła: „Monsieur! to ja jestem”.

Rzekłem tylko: „Ach” — lecz pomyślałem,
Że się życie obchodzi niegodnie
Z pewnych niewiast i sercem i ciałem,
I że spełnia estetyczną zbrodnię,
Kiedy z kwiatków, trwających przez chwile,
Czyni suche, jałowe badyle.

Myśl mi widać wyczytała z twarzy,
Bo zgarnęła swe czarne woale
I z westchnieniem — jak zwyczajnie starzy —
Odszepnęła: „Nie dziwię się wcale,
Że pan zmianę widzisz we mnie wielką:
Jam trzydzieści lat — nauczycielką!”

Kiedyindziej, w wieczór wigiliowy,
Gdy na niebo wypływała „gwiazdka”,
A na ziemi chyliły się głowy...
Do cukierni wstąpiłem po ciastka,
By dzieciarnię obdarzyć — nie własną —
Wprzód nim świeczki na choince zgasną.

Pusto było w obszernej komnacie,
Głośnie zwykle od kaszłania gości;
Każdy poszedł przy synu lub bracie
Spożyć ucztę rodzinnej miłości —
Tylko w kącie samotna, jak mara,
Nad gazetą kiwała się stara.

W wielkiem mieście nie było nikogo,
Coby przed nią otworzył swój światek...
Taka nędza przejęła mnie trwoga,
Więc zaniósłem staruszce oplatek
I skloniłem się przed nią w milczeniu,
Hold oddając latom i cierpieniu.

Ona wzięła z uśmiechem ofiarę,
Mówiąc grzecznie, że ją czyn mój wzrusza...
Lecz przez oczy przygasały i stare
Nie wyjrzała jej zbudzona dusza;
I poznałem, że pod obcym chłodem
Już się sama stała prawie lodem.

„Ce Gambetta quel génie, mój panie!”
Rzekła nagle, wstrząsając gazetą. —
Przytaknałem, i na pożegnanie,

Zostawiając ją samą z Gambetta,
Chciałem dotknąć ustami jej dłoni —
Lecz wstydliwie rzekła: „Niech Bóg broni“.

Raz ostatni spotkałem ją — w trumnie.
Spała cicho na poduszce z wiórów,
Żółte czoło zmarszczywszy rozumnie;
Jakby echo gazeciarskich chórów,
Odrętwiając i duszę i ciało,
Coś o Francyi w ucho jej szeptało.

Rzekł mi jeden z pacholków szpitala,
Że ją słabą podjęto z ulicy;
Że noc całą, pełna chorych sala
Spać nie mogła z winy „Francuzicy“,
Że śpiewała mimo śmierci kurcze,
Aż, śpiewając, usnęła — jak kurczę...

Byłem pewny, że dziełek gromada
Za tą lichą trumienką pobieży,
I tej swojej przewodniczce stada
Nie poskapi kwiatów i pacierzy
A pamiętna na jej miłość długą,
Raz choć zechce być swej sługi sługą.

Lecz mnie czułość młodszych serc zawiodła —
Nikt nie stanął za wozem nędzarzy;
Dziad kościelny, niosąc śmierci godła,
Zawiódł zmarłą, gdzie się śpiąc nie marzy,
I deszcz tylko z moją łzą pospołu
Wpadły za nią — do wspólnego dołu.

Kiedy rydel pijanego dziada
Miał zasypać czarną grobu jamę,
Wśród galezi błysła jasność blada
I rzuciła dużą, złotą plamę
Na tę trumnę z szychami białemi;
A jam rzucił: trzy garsteczki ziemi.

I garść pierwsza, z bezdźwięcznym loskotem,
W wielkiej Francyi upadła imieniu...
Ona dzisiaj pogrążuje złotem,
A jej dzieci giną w opuszczeniu
I pod obce uciekają nieba,
Jakby w domu zbrakło dla nich chleba...

A garść druga, co jękla żałośnie,
Wyrećzyła nieobecne dziatki —
Bo choć ciężko przy trumnach stać wiośnie,
Ze swych wieńców oddając im kwiatki,
Jednak serce dziecięce źle czyni,
Gdy się starej wypiera mistrzyni...

A garść trzecia, przesiąknięta łzami,
Padła stwierdzić naszej ziemi cnotę —
Samolubstwem ona się nie plami,
Wrogom nawet śle swe kłosy złote,
A dziś, pełniąc swych losów konieczność,
Dała starej przytulęk — na wieczność!

ODPOCZYWA...

Lat pięćdziesiąt ważył pieprz i kawę —
I rwąc wszystkie serdeczne ogniwa,
Depeząc miłość, młodość i zabawę,
Zebrał milion. Dzisiaj odpoczywa.

Jego pałac — sen zmieniony w jawę,
Jego ogród — Arkadya prawdziwa,
Kwiaty przed nim gną główki jaskrawe,
Chór słowików pieśń dla niego zrywa.

Oto siedzi w swym wózku, jak w niszy;
Kurcz ma w nogach, na oczach ślepotę;
Stół odepchnął z jedzeniem — i dyszy...

Cóż więc zyskał za serca martwotę,
Za dni w mroku wleczone i cisy? —
Do wygodnej trumny wieko złote!

NAZBYT LUBIŁ...

Nazbyt lubił lazzaronów życie,
Czarną kawę, bilard, Ogród Saski;
Latem chłodne altany nakrycie,
Zimą teatr i zapustne maski.

Nazbyt lubił, w dni swoich rozkwicie,
Drzemać, gryząc srebrną główkę laski,
Gonić chmurki białe po błękitach,
Po asfaltach zaś — żywe obrazki.

Nazbyt lubił! — i dla tej przyczyny,
Choć mu sława z Minerwy obliczem
Powtarzała: „Kocham cię jedynie...”

Choć mógł, światłem wzgardziwszy zwodniczem,
Śladem wielkich wstąpić na wyżyny
I wybrańcem zostać — został... niczem.

PESYMISTA.

Mój przyjaciel (zapewne go znacie)
W czarny kolor zawsze się ubiera,
Czyta Joba i Schopenhauera
I ma trupią główkę przy krawacie.

Chmurnem okiem na świat on spoziera,
Jakby chadzał w manfredowej szacie,
A u kobiet, w pałacu czy w chacie,
Podziw budzi jego blada cera.

Przyjacielu o mistycznej twarzy!
Mnie nie zwiedzie smętna twa osoba...
Wiem, że puder białością cię darzy,

A pesymizm tobie się podoba,
Nie jak cmentarz marzeniom nędzarzy,
Lecz jak ładnej blondynce — żaloba...

UKOCHANI PRZEZ BOGÓW UMIERAJĄ MŁODO.

Skoszonaś, biała lilio, kwitnąca przeczyście,
Wprzód, zanim skwarne lato zwarzyło twe liście:
W majestacie dziewictwa i w kapłanek bieli
Wziętaś, kędy niebiescy królują anieli.

Rzeczywistość, co serca brylantowe kruszy,
Żadnego listka złudzeń nie strząsała z twej duszy;
Na życie twoje nie padł leż gorących olów,
I sen, zaczęty z ludźmi, kończysz wśród aniołów.

Samolubne to jęki, co za tobą płyną!
Cóż, że się rychło z ziemską rozstałaś dziedziną.
Cóż, że ci zgon niewczesny lata przeciał młode,
Gdyś młodość wiekuistą posiadała w nagrodę!

Przez urnę przeblyskuje ofiarnicze płomień,
Przez ciebie blask poezji przeświecał widomie;
Wiązka twoich promieni jest nam dziś ozdoba,
Choć urna i ognisko zagrzebane z tobą.

Czoło twoje gwiazdziste ozdabia korona,
Bo przez śmierć i przez młodość jesteś uświęcona; —
Patrząc na cię, któż z grecką nie rzeknie pogoda:
„Ukochani przez bogów umierają młodo!”

OBRAZEK ZE STAREGO MIASTA.

Targ zapachniał — i dusznej komnatce
 Śle woń jarzyn przez otwarte okno...
 Wypiewuje tam kanarek w klatce,
 Ciernie w wodzie poświęconej mokną,
 Zegar szczełka i widać na ścianie
 Chrystusowe wśród lotrów konanie.

Wielka cisza i wielkie ubóstwo
 Wyzierają z każdego zakątka;
 Całym zbytkiem: fotografii mnóstwo,
 A twarz na nich każda, to pamiątka,
 Dni minionych przytłumione hasło,
 Luna słońca, co we krwi zagasło...

Ta staruszka ślepa, której oczy
 Wypaliły żary... nie pioruna,
 Jeśli zechce, obraz wam roztoczy
 Bardziej krwawy, niż pożaru luna,
 I o każdej z tych spłowiących twarzy
 Krew mrozącą opowieść wygwarzy...

Lecz nie teraz... katedralny dzwonek
 Uniósł teraz jej duszą daleko,
 I z cielesnych zwolniona obsłonek,
 Szepee — piekło mając pod powieką,
 I na licach suchotnicze plamy: —
 „Odpuść... jako i my odpuszczamy!...”

EL MOLE RACHMIM.

To było na podwórku żydowskiego domu
 W letni wieczór. Zostałem się tam pokryjomu.
 Wiara, zamiast jednoczyć, dzieli i oddala.
 Wśród murów poruszała się głów czarnych fala.
 Żenił się Icek, waciarz, z tandeciarki córką,

A goście i ciekawi zalegli podwórko;
 I miejsce było szpetne i ludzie zwyczajni;
 Kilka zbrudzonych gęsi gęgało przy stajni,
 Na poręczach galeryi pościel się wietrzyła,
 Z kuchni woń ryb smażonych płynęła niemila,
 A w kącie dwie akacje marły na suchoty,
 Niebo od gwiazd błyszczało, jak — szabaśnik złoty;
 Obłoków nie plamiła nawet chmurek welna
 I noc była królewskiej wspaniałości pełna.
 Icek stał pod szkarlatnym starym baldachimem,
 W odświeżonych sukniach, światłem oblany i dymem.
 Był to śniady wyrostek, pół-mąż a pół-dziecko;
 Miłość u Żydów chwyta człowieka zdradziecko,
 Z zamkniętymi oczyma wiedzie nad otchłanie
 I w objęcia kobiety rzuca niespodzianie.
 Tłum składały powszednie postacie z ulicy,
 Ludzie, których się widzi w dzień na targowicy,
 Tandeciarze, faktory, przekupki, tragarze.
 Góraczka rozpalal brodate ich twarze,
 A złościło je światło woskowych hawduli,
 (Świeczek, w których się płomień do płomienia tuli,
 Jak w plecionym z błyskawic mieczu archaniola).
 Chwilami nakształt kłosów chyliły się czoła,
 Szwargotali, lecz obrzęd nie zdał się żadnemu
 „Uroczystą śmiesznością“ — jako Beaumarchais'mu.

Icek zakrył twarz chustką, a jeden z gromady,
 Nie kapłan, lecz człek zwykły, bardziej tylko błądy
 I smutniejszy od innych, wzrokiem wodząc wkolo,
 Śpiewał. Pieśń, choć weselna, nie była wesola.
 Dwóch chłopców kędzierzawych wtórzyło jej krzykiem,
 A tłum cały szemraniem, pół-rzewnem, pół-dzikim,

Patrzyłem na ten obraz ciekawie, lecz zimno.
 Icek, choć skryty chmurą świetlaną, oddymną,
 I poważny na śmieciach, jako przed ołtarzem,
 Był dla mnie tylko Ikiem — ubogim waciarzem.
 I w innych nie widziałem nie poetycznego;

Zdawali mi się ludźmi zwykłymi, co strzega
Z równą pilnością bród swych, jak wiary i mienia,
Próżno od blasku nowiu i od świec płomienia
Śniade lica ich brały tajemnicze piętno:
Żaden nie nęcił twarzą natchnioną lub smętą.

Nagle śpiew ucichł. Rzelbyś, że rozwił się w dali.
Otwarto z trzaskiem okno od weselnej sali,
Kędy oblubienica pośród niewiast grona
Siedziała, płacząc. Chazen wznosił nad nią ramiona —
(Chazen o skrzęcych oczach z patryarchy broda)
I wspomniał o jej ojcu, który umarł młodo,
I którego dziś brakło, przy rodzinnem święcie...
Płacz na to powstał wielki, a on przy lamencie,
Przy niewieściach szlochaniach i łamaniu dłoni,
Zawiodł pieśń, która nutą pogrzebową dzwoni...
„El mole rachmim“.

Najprzód, choć łzami wezbrała
Pieśń płynęła spokojnie, niosąc do stóp Pana
Ból serdeczny, rozwagi wstrzymywany siłą;
Tak płacze syn dorosły nad ojca mogiłą...
Potem, przesiąknięty smutkiem, który z grobów wieje,
Traciła po iskieerze wiarę i nadzieję.
Rosła w moc i porwana zamętem bólesci,
Topniała w łzach gorących i w skardze niewieściej.
Już nie jednej mogiły, lecz grobów miliona,
Stała się głośną płaczką i z bólu szalona,
Biegła nad cmentarzami zawodzić staremi,
Nad kośćmi Izraela, co po całej ziemi
Rozsiane są, jak piasku bezpłodnego ziarna,
I nad tem, że ta siejba będzie może marna,
I nad tem, że na grobach chwast wyrasta głuchy,
I nad tem, że skarłały słabe synów duchy,
I że ta noc niewoli tak długa — tak długa!
Już jej nie nie wzięło; — rwała się, jak struga,
Kiedy po burzy w rzekę zmieni się spieniona; —
Śpiewak miał iskry w oczach i drgające łono,
A czoło, które odkrył, w tył zsunawszy czapkę,

Ciekło potem. Śpiew wzruszył nawet starą babkę,
Którą paraliż trupem uczynił i skalą;
Szkło jej źrenic na poły martwych zapotniało —
Wszyscy w izbie płakali, zdjęci wielkim żalem...

Słuchałem pieśni z łonem czułością wezbranem,
I ci ludzie skarżący się głośno przed Panem,
Dumni wielką przeszłością, bólem wielkim śmieli,
Dziwnie wzrosli w mych oczach i wyszlachetniali!
Nie widziałem już szpetnych płam na baldachimie,
Nie raził mnie strój Icka, ani Icka imię.
Znikła dla mnie powszedniość z tych brodatych twarzy
I stałem się jak człowiek, co na jawie — marzy.

Podwórko... nie, to była już kwietna dolina,
Kędyś u stóp Libanu, co się w niebo wspina
I lasem ciemnych cedrów szumi, jakby śpiewał;
Księżyc na tę dolinę zdroje srebra zlewał,
Niebo ją nakrywało kryształowym dzwonem,
Pustynia przewiewała tchnieniem rozpalonem
A palmy ochładzały wachlarzami z liści,
Między ziemią i niebem nie było zawiści;
Twarz Jehowy patrzyła z góry uśmiechnięta,
Błogosławiąc dolinę, ludzi i jagnięta.
Tłum wiernych szeptał modły i kłaniał się Panu,
W powietrzu płynął zapach nardu i szafranu,
Strumień, jak wąż, rozwijał srebrnoluskie sploty,
A gwiazdy tak błyszczały, jak szabaśnik złoty.

MARYAN GAWALEWICZ.

Ur. r. 1852 we Lwowie.
»Poezye« (1889 i 1896).

MILUSIŃSCY.

Milusińscy?!... stara szlachta,
Od aniołów gdzieś pochodzi.
W herbie zwykle ma — bociana,
Ani poznać kto ich rodzi.

Główki płowe, oczka duże,
Pulchne nóżki i rączeta,
Rozkosz matek, duma ojców,
Milusińscy — niebożeta.

Jakie to tam skapryszone,
Jakie bywa dumne, harde!..
Z nieba idzie prostą drogą,
Więc dla ziemi ma — pogardę.

Z świata sobie nic nie robi,
Często palce w buzi trzyma,
Drwiąc ze wszystkich konwenansów —
Na to nawet rady niema.

Jakie to tam bywa śmiałe,
Jakie umie stroić dąsy!

Król nie król — niechby się schylił,
To go zaraz łap za wasy.

Król nie król — o wielkie dziwa!
Któż-bo o tem nie pamięta,
Że od wieków Milusińscy
Co do nogi — królewicza.

Kiedy taki bobuś mały
Z swej poduszki się wychyla,
To-byś przysiągł, żeś go widział —
Przy Madonnie gdzieś Murilla...

I spoglądasz trwożnie w niebo,
Jedną prośbą wzbiera łono —
By mu stamtąd zapomnianych
Skrzydeł tylko nie zrzuciono...

Gdy to zacznie gwarzyć z tobą:
„Bla-blu, bla-blu“... to rozkosze!
Kiedy wdzięcznie złoży dzióbek,
„Płose“ — mówiąc, zamiast: „proszę“,

Gdy rączkami ci obejmie,
I do ucha bez wytchnienia
W sprawie „lali“ i „pielnika“
Daje już swe polecenia,

To-byś duszę wyjął z siebie,
Każdej prośbie czyniąc zadość,
Aby tylko Milusińskim
Na chwileczkę sprawić radość.

Gdyby nie ci Milusińscy —
Człek-by nieraz skoczył w wodę,
Lub rozdeptał gorzkie życie,
Jak grzyb albo złą jagodę.

Gdyby nie ci Milusińscy,
Co nam ciernie życia złoć —

Boże, iluż sercom biednym
Pustką byłby świat sierocą!..

RONDO-SCHERZOSO.

Z księżycem znam się chyba
Pół kopy lat z okładem,
Znał się z mym ojcem, matką,
Znał nawet z moim dziadem.

Z tych względów nasz stosunek
Jest wielce poufaly, —
Nazywam go: „jegomość“,
On do mnie mówi: „mały“.

— „Jegomość taki błądy“ —
Mówię mu — „wielka szkoda!
„Czy to tak z niewyspania,
„Czy taka już uroda?“

— „Mój mały“ — rzecze do mnie —
„To widzisz z innej racyi:
„Patrząc na świat wasz w dole,
„Pobladłem z irytacyi.

„Gdybym się nie odwracał
„I wrażeń nie odmieniał,
„Bylbym już miał żółtaczkę,
„Lub dawno pozieleniał“.

Z księżycem znam się chyba
Pół kopy lat, a przecie
Tak źle jegomość nigdy
Nie mówił mi o świecie!

Coś jest, co mu tak humor
Psuje i chmurzy lica,

Lecz co?... Skąd ja mam wiedzieć!...
Spytajcie się księżycu.

LISTOPAD.

Placze drzewo liśćmi zwiedłemi,
Lzawe niebo przygląda się ziemi,
Smutne serce, jak słonko jesienne,
W mrokach chwile wspomina promienne
I lzy roni, stęsknione nieboże —
Że kochało, zapomnieć nie może...

Placze drzewo liśćmi zwiedłemi,
Wiatr je z jękiem rozprasza po ziemi,
Mgły naokół rzucają zasłone...
Placze serce samotne, wzgardzone —
U natury wygasłych oltarzy,
Że nie było kochane się skarży.

Placze drzewo liśćmi zwiedłemi,
Wiatr jesienny się znęca nad niemi —
Biedne serce jak listek na wietrze
Drży, nim troska na próchno je zetrze,
I marnieje wśród życia szarugi,
Że nie może pokochać raz drugi...

Z „KRÓLOWEJ NIEBIOS“.

Nie smuć się, duszo ludzka, nie narzekaj,
Bo ty sierotą nie możesz być nigdy,
Skoro masz Ojca wiecznego w niebiesiech
I matkę Jego swoją opiekunką.
Nie smuć się, duszo ludzka, nie rozpaczaj,
Bo kędy spojrzysz dookoła siebie,

Dokądbyś poszła na najdalsze krańce,
Za wszystkie morza, za najwyższe góry,
Wszędy obaczysz, jako z łaski Bożej
Ziemia się z niebem styka nieustannie...

Nie smuć się, duszo ludzka, nie wąp nigdy
I bądź jak słońce, jak księżyc, jak gwiazdy,
Jak gwiazd tych choćby najmniejsza kruszyna —
Zwierciadłem nieba; niech z jasności jego
Zawsze choć promyk w tobie się odbija,
Abyś świeciła choć drobną iskierką,
Ażeby w tobie jasno było, — duszo!...

Pomnij, że gwiazdy, zardzewiały w górze,
Albo zmacone nadto tchnieniem ziemi,
Gdy już nie mogą blaskiem niebios płonąć,
Ani światłości niebieskiej odbijać,
Anioly Pańskie strącają z błękitów
W przepaść bezdenną, w ciemność nieskończoną,
Jako rzecz marna, martwa, nieużyta...

Taki los także duszom zardzewiałym,
Których już żadna światłość się nie ima
I żaden promyk od nich nie odstrzela,
I żadnym blaskiem niezdolne nasiąknąć.
Bo dusze ludzkie winne być gwiazdami
I jako gwiazdy świecić tu pospołu
Pośród ciemności ziemskiego padolu,
I w górę piąć się ciągle, jak powoje,
Bo z góry jasne płyną światel zdroje,
A z dołu tylko mroczne idą cienie.

W dole śmierć czeka — w górze odrodzenie.

..... Było
Raz tak, że pod mogiłą
W trumnie leżała matka jedna,
Śmiertelnym snem zmożona wcześniej;
Sześcioro dzieciąt zostawiła...
Sierocy płacz słyszała we śnie
I płacz ten w grobie ją obudził.

Słucha i słyszy w jednej chwili,
Że tam najmłodsze jej dzieciątko
Po nocy coś żałośnie kwili
I że sierotki jej się żalą.

Jakżeż to matce słuchać w grobie
I nie zapłakać choćby w trumnie!...
Więc ona, żalem wielkim zdjeta,
Dźwignie swe wyschłe martwe ręce
Z świętym obrazkiem Maryi Panny
I tak Przeczystej się Paniencie
Modlić zaczyna: „Panno Święta,
Wszakżeś Ty także matką była,
Wszakżeś kochała swego Syna,
Więc męką Jego wskrós przejęta,
Wiesz, co to boleść jest męczyna.
Tam się dziecieczki moje skarża,
Aż tu ich płacz mnie w grobie budzi,
Tak lamentują w swej niedoli.
Uproś, Panienko, swego Syna,
Niech mi odwiedzić je pozwoli!...
Wszakżeś Ty dzieciąt mych patronką,
Ulitujże się smutku mego!
Zanim na niebo wejdzie słonko,
Znijdę do grobu znów ciemnego,
Tylko mnie puść, ach, puść do dzieci!
Niech je otulę chociaż trochę,
Niechaj upomnę złą macochę...
Tylko mnie puść, ach, puść do dzieci!“

Podparła wieko całą siłą,
 Aż jej się samo otworzyło
 I wyszła z grobu o północy.
 Przeszła przez wioskę po ciemności;
 Psy jednak wiejskie ją poczuły
 I wyć zaczęły... Idzie, idzie...
 Doszła pod chatę wreszcie swoją,
 Gdzie pod oknami malwy stoja
 I kędy stara grusza rośnie.
 A z chaty dzieci jęk żałośnie
 Na cichą nocną się wykrada.
 Poznała chata ją mężowską,
 Poznały wrota i dla zmarłej
 Na ścieżaj same się rozwarły
 I skrzypiąc jęły opowiadać
 Nieboszczce o jej dzieci losach.
 I stara grusza ją poznała,
 Co stała tuż przy starych wrotach,
 I także szmerem smętnym, cichym
 Opowiadała o sierotach.

Weszła do izby zmarła matka,
 Jakby cierniową przeszła drogą...
 Spojrzy... na słomie jej sieroty
 Z głodu i chłodu spać nie mogą.
 Księżyc się przebił poprzez chmury
 I zajął blaskiem izbę całą.
 Tylko stanęła w samym progu,
 Najmłodsze dziecko ją poznało
 I wyciągnęło swe rączyny
 I chciało do niej pelzać samo,
 A inne z lękiem i nieśmiało
 Wołały na nią: Mamo, mamo!...
 A kiedy z nią się oswoiły,
 Nuż przed nią żale swe rozwodzić...
 Najmłodsze nie umiało chodzić,
 Średnie dzień cały głodne były,
 Najstarsze pacierz zapomniało,

A wszystkim źle, oj źle się działo!...
 Wyschle rączeta, jako wióry,
 Sześcioro wzniosło ich do góry
 I bose, nagie, głodne, drżące
 Ku niej garnęły się płaczące.

Taki ją przejął żal okrutny
 Na widok tej gromadki smutnej,
 Że odwróciła oczy ławę
 I osunęła się na ławę;
 I od lez nie mogła rzec i słowa.

Dopiero po niejakej chwili
 Ocknęła się w niej znowu siła;
 Więc wpierw najmłodsze nakarmiła
 I, jako za żywota swego,
 Jadła dziateczkom nawarzyła,
 Główki czesała, liczko myła,
 A potem kłęka z niemi razem,
 By zmówić pacierz przed obrazem
 I Boga pięknie przeprosiła,
 Że te biedoty zapomniały
 Modlić się bez niej przez rok cały.
 „I odpuść Ty nam nasze winy...“
 Mówiła, płacząc rozżalona,
 A za nią słowa te dziecińy
 Szeptaly, tuląc się do łona
 Matki, co przyszła w odwiedziny
 Z ciemnego grobu do ich chaty...
 Za męża też się pomodliła,
 Aby mu winy Bóg przebaczył
 I w lasce Swojej mieć go rączyl.

Tak utuliwszy sierot szlochy,
 Poszła do łoża zlej macochy
 I ze snu ją zbudziła sama.
 Ta oniemiała z przerażenia.
 Mówiła jej: „Patrz, to ja stoje!...
 Ja, matka z grobowego cienia

Przyszłam do twego rzec sumienia:
Kobieto, szanuj dzieci moje!...“
Spojrzała smutno i surowo,
Skinęła potem ku niej głową
I w drzwiach zniknęła w ciemnej sieni. —
A na podwórku psy zawyły...

Macocha spojrzy ledwo żywa —
Patrzy, a oto przed nią splywa
W miesięcznym blasku Matka Boska
I staje sama u jej łoża
I w takie słowa się odzywa:
„Pomnij na nocy tej przestrożę,
Zmień serce, bowiem mówię tobie,
Że w dzieciach krzywdzisz matkę w grobie!...
Zmień serce!... więcej rzec nie mogę“.

Zniknęła jasność i widzenie,
Noc swoje znów zaslala cienie
I tylko psy zdaleka wyły.

Duch matki wracał do mogiły...

J. STANISŁAW WIERZBICKI.

Ur. 12 lutego 1853 r. w Henrykowie (gub. Podolska).

„Z życia“ (1882), „Księga pamiątek“ (1890), „Poezye“ (1894),
„O brzasku“ (1898), „Rapsody“ (1901).

O BRZASKU.

Śpi lilia na fali
W promykach miesiąca;
Toń pod nią się żali,
Jak harfa grająca.

Nie gada wiatr z echem,
Pierzchl orszak motyli;
Nad lilią z uśmiechem
Rusalka się chyli.

Słowików pobudka
Brzmia lasy srebrzyście;
A ona cichutko
Roztula jej liście

I mieni się cała
Plomieniem szkarlatu:
Zapewne dojrzała
Zranioną pierś kwiatu.

SERCE I FALA.

Patrzę na Ciebie i patrzę na falę,
Tonę w Twych oczu i wody błękitcie,
Szukam Twych rysów w tym płynnym kryształu:
Równa wrażliwość, jednakie w nich życie.

Serca wesołość odbija twarz młoda,
Fala odstrzela błękitem malowna;
Mroczy się smutkiem Twej duszy pogoda,
Sępi się fala chmurkami żeglowna.

Dusza i fala są bratnim żywiołem,
Patrzają jednak na chmurę lub w słońce,
Cieszą się, smucą, jak dusze dwie, społem,
Mienia się ciągle, jak fale dwie wrzące.

Gdyby treść duszy, co kochać zniewała,
W płynny kształt odlać, to byłaby fala;
Gdyby treść fali, co wiecznie się wzrusza,
W lotną myśl zaklać, to byłaby dusza.

PIEŚŃ SAMOTNIKA.

W potężnej klatce, w petach, lew zraniony drzemie,
Nie targa łańcuchami, z rykiem już nie skacze;
W samotnej piersi, już nie skarżąc się na ziemię,
Zranione serce śni i krwιά serdeczną płacze...
Lew, serce smutne — krewne duchy dwa:
Nie budźcie serca, bo zbudzicie lwa!

Lew wstrząsa grzywą, wstanie z jeszcze większą siłą,
Jak na pustyni, gdzie znał wielu lwów pokrewnych;
Zabije serce znowu, jak w młodości było
Wśród bliźnich serc potężnych i jak burza gniewnych.
Bo lwu i sercu duchów bratnich trza...
Nie budźcie serca, bo zbudzicie lwa!

Lew skruszy klatkę, pójdzie skonać w wielkiej puszczy,
I pojrzy w niebo, tocząc z piersi krwi ostatki.
Tęsknemu sercu pośród obłudników tłuszczy
Tak duszno, jak w żelaznym upowiciu klatki,
Lwiej śmierci żąda, lwia mu wolność gra...
Nie budźcie serca, bo zbudzicie lwa!

Świsnęły strzał podstępnych zcicha mknące groty,
Lew zjeżył grzywę, stawia wrogom czoło harde;
Potężne serce, wulkan ognia i tęsknoty,
Szydreczej śmieszeków zgrai ciska w twarz pogardę.
Lwia dumę tylko takie serce zna...
Nie budźcie serca, bo zbudzicie lwa!

Ostatni raz już lew uderza w głos olbrzymi,
Pustynia drży, budzą się bracia lwy — rówieśni;
Samotne serce, jak ofiarny ołtarz, dymi,
Zbudziło świat, ostatnie sercem nucąc pieśni.
Bo lew i serce — krewne duchy dwa:
Nie budźcie serca, bo zbudzicie lwa!

MODLITWA.

Jako ołtarze Twoje, góry mgłami dymią,
Szmer ciemnych sosen kona, jako pieśń duchów w niebie,
Westchnęła ziemia całą piersią swą olbrzymią
Do Ciebie.

I taki wielki spokój, jak po dnia rozterce,
I taka cichość dolin, które mrok już grzebie,
Że słyhać, jak z otchłani zapłakało serce
Do Ciebie.

Z poematu „HANKA“.

ŚMIERĆ HRYCIA.

Sierpniowe słońce z błękitów spojrzalo
 Na niwę zboża wieśniaczego mała,
 Która poranek obmył świeżą rosą,
 Kędy, srebrnymi najeżony strzały,
 Z szelestem owies kołysze się biały,
 Gdzie lekkim wiatrem kołysane proso
 Gnie ciemne kity pod brzemieniem ziarna,
 A każde ziarno, jak paciorka czarna,
 Zwisa z długiego, zielonego wlosa.
 Tam pośród owych pól owsa i prosa,
 W jarze, wieśniacze dzielącym zagony,
 Leżał Hryć na wznak, o twarzy zmienionej
 Bładością śmierci. Całe jego ciało
 Kureczami bólu przedśmiertnego drgało,
 Twarz się mieniła, usta toczą piane,
 A oczy straszne, dzikie, obłąkane.
 Czasem mu z gardła wypadały jęki
 Głuche, chrapliwe, czasem dziwne słowa,
 Niezrozumiałe jakieś szeptał dźwięki,
 Może ostatnie opowiadał męki;
 Przerazająca przedśmiertna rozmowa,
 Która w tej chwili ostatniej odsłania
 Straszne nad wyraz męczarnie konania.
 Z piersi wieśniaczej uchodziło życie,
 Pot śmierci spływał z wieśniaczego czoła;
 A obok wrzało, tętniło dokoła,
 Życie natury w jesiennym rozkwicie,
 Wrzało, tętniło siłami i zdrowiem.
 Trawa, burzany i jesienne kwiaty
 Były Hryciowi śmiertelnem wezglowiem.
 Groszek strączkami suchymi bogaty
 Wil się i wdzięcznie mu opłatał łożo.
 Hryć konał, mając obok łąn i zboże,
 Jak wieśniakowi przystało na roli.
 Ojczysta ziemia, jak matka rodzona,

Biednego kmiotka bez szczęścia i dołi
 Już przygarnęła do swojego łona,
 Ona nie odda go teraz nikomu;
 W ciasnej mogile, w lachman przyrodziane,
 Przez dobrych ludzi, znajomych litośnie,
 Spocznie to ciało chłopskie, skolatane,
 Garsteczka prochu wśród świata ogromu,
 I nikt nie powie, że pod tą mogiłą,
 Co się zapadnie i chwastem zarosnie,
 Serce wieśniacze pełne bólu biło.
 Hryć konał, ludzkiej nie znając opieki,
 Jak jej już nie znał w długich dniach żywota,
 Wydziedziczona przez losy istota,
 I jękiem żegnał piękny świat na wieki,
 Choć świat ten pelen był życia i troski:
 To nad nim pszczołka przeleciała złota,
 Zbierać na kwiatkach słodki miód i woski,
 To motyl z lekkim wietrzykiem, co dmucha,
 Podleciał w górę, to brzęczała mucha,
 Musnąwszy skrzydłem kąkolu makówkę,
 To obok głośnie świerszcz zaćwierkał w trawie
 I spłoszył z drogi pracowitą mrówkę,
 To z norki czarny żuk wyjrzał ciekawie.
 Ustał jęk chłopski, tylko większym cieniem
 Oblicze chłopca powoli się mroczy,
 Pierś coraz rzadszem wzbierała westchnieniem:
 W końcu rozwarte obłąkane oczy
 Straszna mgła śmierci na wieki przyćmiła.
 I Hryć już nie żył. Jedna chłopska siła
 Cicho, bez gwaru ze świata ubyla.
 Duch jego lekki, jak tchnienie wietrzyka,
 Lata w powietrzu nad szumiącym łąnem,
 Kapie się w słońcu ciepłem i świetlanem
 I splywa w blasku drżącego promyka
 Na rolę własną, na łąny pachnące,
 Wiecznie z ojczystą ożeniony ziemią,
 Dysze wśród kwiatów, co kwitną na łące,
 Wśród zbóż szumiących, co się w polach plemia.

Uprawne kmiotków pracą i mazurem.
 Stał się tej ziemi cząstką i żywiołem.
 Zaszeleściły nad Hryciem burzany
 I bodyak siwy z wysoką mietlicą
 Obok kołysał się, jak zadumany
 Nad wielką śmiercią ludzkiej tajemnicą.
 Gorzkie, jak życie Hryciowe, piołuny
 Szemrały nad nim listkami srebrnymi
 Niby nad dzieckiem uśpionem piastuny,
 A kiedy dmuchnął lekki wiatr z przestworza,
 To zaszumiały nad nim lany zboża,
 Niby ostatnie pożegnanie ziemi.
 I nikt nie wiedział, co się w polu stało...
 Ludzie o Hrycia troskali się mało,
 I tylko słońce śmierć chłopską widziało.

ANTONI PILECKI.

Ur. r. 1853 w Dobrzyniu nad Drwęcą (gub. Płocka).

»Poezye« r. 1880 — »Poezye« r. 1884 — »Poezye« r. 1891.

Z DUMAŃ PESYMYSTY.

Dawniej miłość była różą białą,
 Miała barwy uroczę i wonię,
 Szczęście siostrę serdeczną w niej miało
 I w enót wzniosłych chodzila koronie.

Dziś gdzie znikły wiosenne jej czary?
 Gdzie jej blaski i barwy godowe?
 Porzuciła już dyadem swój stary,
 Co godnością promienił jej głowę...

Z kwiatów żywych odarla swą szatę,
 I młodości zamiera w niej siła,
 A uniesień jej skarby bogate
 Na popioły namietność spaliła!

Miłość dawniej — to była otucha:
 Myśl krzepiła, upajała serce;
 Dziś — to zamęt wicherzący nam ducha,
 W ciągłej myśli i uczuć rozterce.

Dawniej miłość — to był chleb żywota,
 Chleb codzienny — to promień był słońca —

Nie serdeczna promienna i złota,
Co przez życie snuła się do końca.

Dziś — to zbytek, co ciało nam pieści,
Kaprys duszy schorzałej zwodniczy —
Pełna mętów i zwątpień goryczy,
A odarta z zachwyków i cześci.

Dawniej miłość była gwiazdą jasną,
Odrodzeniem, jak wiosna w naturze;
Dziś jest nocą, w której światła gasną
I szaleją rozigrane burze.

Dawniej była kapłaństwem i wiarą,
Więc do serca pukała najszybciej;
Dziś obleka się zwątpień mgłą szarą,
Bo w swe własne istnienie nie wierzy,

I wrażeniem niewiary tej swojej
Wszystkie czary młodzieńcze rozproszy...
Ona usta, spragnione rozkoszy,
Narkotykiem niezdrowym napoi.

W uciech nikłych powiedzie nas kraje...
Na dni szczęścia zbyt długie nie starczy...
Ona serca na własność nie daje,
Lecz rozkoszą chwilową frymarchy.

W mętnych uczuć burzliwym potoku
Czystość uczuć wydziera kobiecie.
Ona wieku swojego jest dziecie;
Wiekowi zwątpień, niemocy i mroku.

MEMENTO.

Widziałem wcześniej potargane siły,
Dziewicze dusze, co nigdy nie marzą,

Widziałem serca, co nigdy nie bily,
Widziałem także dzieci z trupią twarzą...
Widziałem ducha pozłacane groby,
Co nawet pieśni nie znały żałoby;
Widziałem pustkę w sercu odrętwiałem
I myśli nicość bezdenną widziałem.

Więc duch mój pytał: gdzie młodości loty?
Gdzie jej pragnienia, gdzie marzeń świt złoty?
Gdzie jej potęgi piorunowe ramię?
Gdzie krzyk zapalu, co nigdy nie kłamie?
Gdzie kwiaty wiosny, gdzie jej cudne wonie?
Gdzie niezrównanych czarów jej ponęty?
Gdzie krew młodzieńcza, która ogniem płonie?
Gdzie głos zachwyty, jak modlitwa święty?

Ponuro, zimno i pusto dokola...
Daremnie dusza-samotnica woła;
Na krzyk bolesny nikt jej nie odpowie
W prostym, serdecznym i gorącym słowie...
Cisza dokola, obojętność głucha...
Cóż nam ozłoci nędzę życia biedną?
Za ile na tem targowisku ducha
Możnaby kupić żywe serce jedno?!

O duchy trupie! wy żyć nie umiecie!
Rozkoszy życia pierś odczuć nie zdoła!
Cóż wiekom przyszlým o sobie powiecie?
Czy osromione wskażecie im czoła?

Gonicie tylko szczęścia błędne mary,
Użycie, które zmysły wam przynoszą...
Śnicie bez marzeń, kochacie bez wiary...
Na widok złota pierś wam drga rozkoszą...
Nawet na wiedzy i sztuki biesiadę
Idziecie w strojnej sybaryty szacie...
Nie znoszą słońca czoła wasze blade,
I wielkich ducha zachwyków nie znacie.

Z piersią wystygła, skalana,
Młodości święte ukradliście miano...
Dziecięcym sercom, gdy się przy was skupia,
Niesiecie zimno i zgniliznę trupią.

Młodości! życia ty niegdyś strażniczo!
Kapłanie prawdy! przyszłych dni proroko!
Rzuciłaś w mroki gromów błyskawica,
Kipiałaś życiem, jak piana potoku.
Wstań! niech się wzniesie dłoń twa archanielska!
Strać niecne bogił pozłacane cielska
Niech runą w gruzy!.. Przyszłe pokolenia
Wyrzekną na nie wyrok zatracenia.

CZESŁAW JANKOWSKI.

(CZESŁAW).

Ur. 9 Grudnia 1857 r. w Polanach (gub. Wileńska).

»Poezye« I, II, i III (1879—1884), »Capriccio« (1889), »Rymów nie-
co« (1892), »Wybór poezyi« (1897).

PAŻ KRÓLOWEJ.

— Graj mi, wciąż jeszcze graj,
Mój pazu, mój ty mały,
Graj mi, wciąż jeszcze graj,
Co ci podszeptnie maj.
Najświeższą oto z róż,
Co ranne mgły owiały,
Najświeższą oto z róż
Dla ciebie zrywam już...
— O pani, nie każ mi
Tknać srebrnostrunnej lutni,
O pani, nie każ mi
Wiosennych śpiewać dni.
Dość mi tych piosnek mdłych,
Wciąż tęskniej mi, wciąż smutniej,
Dość mi tych piosnek mdłych
Śpiewanych u nóg twych.

Królowo, w duszy mej
Przedziwne zaszyły zmiany,
Królowo, w duszy mej
Wyczytać prawdę chciej.

Rwie mi się serce w świat,
W szeroki świat niezany,
Rwie mi się serce w świat
Po plon młodzieńczych lat.

Bojowa surma gra,
Grzmia, wrą i kipią boje,
Bojowa surma gra,
Czem przy niej lutnia ma?
Tam, pani, daj mi iść,
Weź wszystkie kwiaty swoje,
Tam, pani, daj mi iść
Po krwawy lauru liść!...

*

O zorzy hufce szły
Ordynkiem z zamku bramy,
O zorzy hufce szły

Hen, z gór w poranne mgły.
W narożnej izbie tam
Królowa w oknie stoi,
W narożnej izbie tam,
Od dworskich zdala dam.

I duma, patrząc w dal,
I własnych dum się boi,
I duma, patrząc w dal,
Serdeczny tłumiąc żal.

U stóp królowej tuż
Milcząca lutnia leży,
U stóp królowej tuż
Najświeższa wieden z róż.

A tam z podłej mgły
Wiatr niesie pieśń ku wieży,
Hen, tam, w podłej mgły
Królowej płyną lzy...

NAD LEMANEM.

Zwolna coraz niżej schodzą śniegi
Z gór w winnice żółtkle, obumarle,
Na bezlistne szkielety platanów,
Na jesiennych wichrów uroczyska.
Spójrz! Wśród szarzyń, śniegiem przytrzaśnięte,
Jak trwałości wieczystej symbole,
Zielenięją jeszcze laur i cyprys...
Laur i cyprys tylko: — *śmierć i sława.*

NA ODLOCIE.

„O matko moja, o siostry moje,
Po co leż tyle?...
Wnet ja się w wiecznym śnie uspokoję,
W cichej mogile.

Ani tu pustka po mnie zostanie
Na życia drodze,
Ani dla kogo moje kochanie —
Przeto odchodzę.

A gdyby kiedy wrócił w te strony
Z drogi dalekiej,
Niech mu zakwitną kalin korony
Hen, tam, u rzeki.

Niech się tam ozwą w pogodne rano
Nasze ptaszęta;
Odnajdzie ścieżkę dobrze mu znaną —
Jeśli pamięta...

Zwykłą gościnę niech ma we dworze
Tak, jak bywało.
Może przypomni, zapyta może:
Co się tu stało?

Na cmentarz odejść dajcie gościowi
Niepostrzeżenie
I uszanujcie wy, ludzie nowi,
Dawne wspomnienie.

Może zateśkni wśród mogił głuszy,
W przeszłość zblakany,
Do tej śmiertelnie znużonej duszy —
Niepożegnanej...“

PAŻ I RYCERZE.

Był sobie paż. O takich już
Dzisiejsze damy nie śnią!
W okna bukiety rzucił róż
I, tkliwiąc wiele tkliwych dusz,
Ci-di-ri-bim,
Ci-di-ri-bam,
Dla pięknych dam
Przygrywał pieśń za pieśnią
Na wdzięcznej mandolinie,
Ach!
Na mandolinie...



Niewielki sens był pieśni słów,
Lecz nastrój był potężny.
Co skończy grać, zaczyna znów,
Że aż słuchając ten i ów,
Ci-di-ri-bim
Ci-di-ri-bam,
Do pięknych dam
Przysiada mąż oreżny —
Nie zawsze ku dziewczynie,

Ach!
Nie ku dziewczynie...



Wiadomo, że jak świat ten trwa,
Animusz meże zdobi.
Całuje rycerz, a paż gra
I przenajśłodsza rozkosz ma —
Ci-di-ri-bim,
Ci-di-ri-bam,
Że serca dam
Do marzeń tak sposobi
Tą swoją madoliną,
Ach!
Tą mandoliną...



Poeeci młodzi! również wy
Grajkowie im rówieśni!
O dzięki wam za cudne sny,
Zachwyty, szale, tęskne lzy,
Ci-di-ri-bim,
Ci-di-ri-bam,
Tych pięknych dam,
Co, słysząc wasze pieśni,
Z miłości ku nam giną,
Ach!
Z miłości giną...

Z „ARABESK“.

Hej wspomnień miraże, hej złote me sny,
Wyśnione sercem młodem,
Tam drogą gdzieś mleczną, w dal siną i w mgły
Mkną długim korowodem.

Ach! ręce wyciągam i leciałbym rad
 Tam w siną dal za niemi...
 O duchy! powiedzcie, azali wasz ślad
 Pozostał gdzie na ziemi?

Czy jeśli tam pójde, gdzieś niegdyś znał was,
 To dla mnie znów wskrześciecie?
 Czy tego, co zniknie niewrotnie, jak czas,
 Nie szukać już po świecie?

O sny mej młodości! to wy tam, to wy,
 Tłum jasných widm ów w górze!...
 Do oczu mi nagle cisnęły się łzy,
 Wypadły z rąk mi róże, —

I serce mi dziwny, bezmierny zdjął żal,
 Gdym patrzył tak z tęsknotą
 Na widm tych szeregi, płynące gdzieś w dal
 Po niebie smuga złotą...

JAN NITOWSKI.

Ur. w r. 1859 w Mormolówce (pow. Skwirski).

»Poezye« (1899).

PIOSNKA.

Do życia, odważnie, wesoło!
 Młodości wysnujmy nieć,
 W promienne wszechświatów wprzęgniemy się koło,
 Uczmy się kochać i żyć!

Do życia, do życia! Nad nami lazury,
 Nadziei i wiary moc,
 Pod nami gromowe skłębiły się chmury
 I straszna zapadła noc.

Jednością i wiarą zwyciężym demony
 I cały przebieżym świat,
 A potem otworzym raj boski, wyśniony
 Za błogich, chłopięcych lat.

Po laury, po laury odważnie a śmiało!
 Rozbijmy ciemności mgły.
 Choć wielu przed nami swe piersi strzaskalo,
 Próbuje zwyciężyć my!

Hej, orły, orlemy wzbijajmy się skrzydły
 Za krańce wichrowych jazd!

Niech dołem wciąż pełźnie gad zimny, obrzydły,
My pędźmy drogami gwiazd!

Do życia, do życia! i życie wlewajmy
Do wnętrza umarłych brył!

A temu hymn chwały w tryumfie zagrajmy,
Kto bogów myślami żył.

NAD GROBAMI.

Jeżeli kiedy opuszczą cię siły
I wpośród walki ogarnie zwątpienie,
Pójdź tam, gdzie leżą wiekowe mogiły,
I z nich wywołaj bohaterów cienie.
Zbudzone twojej wyobraźni siła,
Wstana postaci z popiołów przeszłości
I dawnym blaskiem błysną nad mogiła
I tchną tą myślą, co w nich wiecznie gości,
Duch wielkich czynów i duch wielkich ludzi
Stanie w promieniach swojej dawnej chwały;
Wówczas się w tobie zacna myśl obudzi;
Wobec przeszłości poznasz, jakieś mały,
Wobec przyszłości — jak dumny.
W popiołach, zgliszczach i ruinach świata
Są nieśmiertelne iskry zagrzebane;
Od nich zaplonie twa pierś lodowata,
Nanowo skupisz swe siły stargane
I dźwigniesz światów kolumny.

Cześć dla przeszłości zacne myśli zrodzi,
A wiara w przyszłość myśli w czyn zamieni;
Gdy zginą w trwodze słabi, upodleni,
Ty, z człowieczeństwa znakiem na swem czole,
Na falach życia spokojny w swej łodzi,
Wśród burz przepłyniesz i zwyciężysz bole.

Z CHWIL CZARNYCH.

W ruinach stoją twych marzeń świątynie,
Rzeczywistości duch twój dźwiga pęta,
Pieśń twa, jak gdyby przekleństwem dotknięta,
Jak ptak bezdomny, siada na ruinie.

Jak ptak, gdy wróg mu zabierze pisklęta,
Z piersią rozdarta ku błękitom płynie,
Tak myśl twa dąży w nieszczęścia godzinie
Tam, gdzie młodości twej kraina święta.

I ty wciąż patrzysz na sztandar żaloby,
Na stygmat śmierci widoczny dokola,
Na krzyże czarne, na posepne groby...

A jednak w mękach nie uchylasz czoła,
I duch twój, bólem łamany Nioby,
Wpatrzony w błękit — Excelsior! — woła.

EDMUND BOGDANOWICZ.

(BOŻYDAR).

Ur. r. 1859 w Warszawie.

CAŁY ROMANS.

I.

..... O, ubóstwiona!
Two imię: wieczna i wieczysie młoda...
Szepee jej wietrzyk, gdy pod lipą kona,
I może usta szepeą je: Przyroda!

O bóstwo moje!
Imię twe głosi piorunowa chmura
I wypisują je gwiazd srebrnych roje;
W noc cichą czytam na niebie: Natura!

Kochanko cicha!
Słuchaj, to echo przypada do łona,
Echo mych wyznań szepee ci i wzdycha;
Kochanko cicha, moja, ubóstwiona!...

II.

Pójdę ja przez te łany rodzące,
Złotych zbóż falą,
Gdzie krwią serdeczną maków tysiące
Ziemi twarz palą;

Gdzie woń od pola i łąk z nad rzeki

Bije do głowy,

Gdzie tak upaja srebrny, daleki

Głos skowronkowy.

Pójdę ja przez te lasy szumiące,

Podszyte mechami,

Gdzie z drzew, jak rosa, tak ciecze słońce

Złotemi łzami;

Gdzie się rozwartych miłośnie tłumy

Ramion kołysze;

Pójdę ja przez te echa i szumy

I leśną ciszę.

Pójdę i padnę w twoje ramiona,

Na mchów posłanie,

O, słodka moja, o ubóstwiona!...

Moje kochanie!...

III.

IV.

„Kocham cie“ — Echo biegnie wśród zieleni,
Jak złota strzała, rzuciona w rozpędzie;
Ślizga się w gąszczu, niby snop promieni,
Brzęczy, gdy muśnie o liści krawędzie —
Gra „kocham“ w lesie. Nagle — cisza głucha...
To echo zmilkło, przypadło i słucha.

Cicho... Nade mną rozpięte szeroko
Drzewa błękity i deszcz złota trzęsa,
Z głębi spogląda ciemne gąszczu oko,
Jasną paproci ocienione rżesa.
Spadnie lza złota, błękitna, zielona,
I tonie w pośród mchów miękkiego łona.

Cicho... Drzew oto zadrżały konary,
Zamiotły błękit, szum poszedł po lesie.
W głębiach zbudziły się zakłète czary...
Cyt, chyże echo odpowiedź mi niesie...
Las zmiłkł... Mów teraz! O, wyraźnie słyszę
„Kocham“ — I echo stopiło się w ciszę...

V.

Lecz nie zdradziło żadnej tajemnicy
Echo, to słodkie niosąc mi wyznanie;
Zdrajcami byli inni powiernicy:
Kwiaty, zdobiące me leśne posłanie.

Swawolne dzwonki, aż po lesie brzmiało,
„Kocha cię, kocha“ dzwoniły w zawody;
Ba, przstraszyły tak borówkę małą,
Że zapłonione ukryła jagody...

A kiedy echo skonało w oddali,
Dzwonki się jeszcze lekko kołysały.
Widzę: jagoda borówki się pali,
Aż każdy listek zczzerwienił się cały.

VI. VII.

VIII.

Był zwyczaj ongi: Wenecya „czerwona“
Ślub zawierała z błękitami morza,
Które tuliła do marmurów łona.
Co rok z portyku purpurowy doża
Szedł i dziewicy dawał pierścień drogi;
Ta go rzuciła do wód chłodnych łoża...
W noc ślubną, srebrną w oblubieńca progi
Szła ona, którą zwą lagun królową —
Fala jej perły rzuciła pod nogi,
A księżyc lampę zapalał nad głową.

IX.

Ja, miast pierścienia, rzuciłem jej słowa
I oczy moje posłałem płonące.
„Kocham cię, kocham!... Patrz, jak płonie głowa,
I serce płonie, jak gwiazda, jak słońce...
O pójdz, pójdz, droga!... O pójdz w me ramiona,
Niechaj cię czuję, tu na pierś zblizka.

Bądź mi, jak róża cudna, zapłoniona,
Bądź mi, jak gwiazda, co błyska...
Bądź mi kochanką, co w objęciu kona,
Co splotem ramion jak węzami ściska...
O słodka moja, o ty... ubóstwiona!

X.

I oczy moje rozbłysły w zieleni,
Zielona fala pochłonięła słowa. —
Zachód już morze liści w krąg rumieni,
Na mchach się kładzie zorza purpurowa.

Szum idzie głębia... zerwie się, to stanie...
Ściechl, szmaragdowe zadrżały podwoje.
— „O, idziesz do mnie, luba, na wezwanie!“
Głos szepee słodki, cichy:

— „Dziecię moje!“

NASTRÓJ.

Wietrzyk skrzydlaty
O świcie
Wstrząsł, zbudził kwiaty...
Rozbłysło nagle w przestrzeni,
I na błękiecie
Światło się stapia i mieni
W tysiąc barw, blasków; odcieni,
O świcie.

W drzew wierzchy drżące

O ranku

Strzeliło słońce.

Zielone wina oploty

W cieniowym ganku

Na skroń mi trzęsa pył złoty

I sączą słodycz pieszczoty,

O ranku.

☆

Padły już rosy

O zmierzchu

Na wonne wrzosa,

Legł cień na krętej ścieżynie;

Tylko u wierzchu

Drzew światło błdzi i ginie

W liści szemrzącej gęstwinie,

O zmierzchu.

Błysły gwiazd oczy

O zmroku,

W niebios przezroczy.

Zgasł dzień w błękitnej głębinie;

Tylko w mem oku

Blask się ulotny przewinie

I lza cichutko popłynie,

O zmroku...

JAN KASPROWICZ.

Ur. 12 grudnia r. 1860 w Szymborzu na Kujawach (W. Ks. Poznańskie).

»Poczye« (1889), »Anima Lachrimans« (1894), »Miłość« (1895),
»Krzak dzikiej róży« (1898).

BĄDŹ POZDROWIONA!

Choć ty mną miotasz po spienionej fali,
Jak burza morska resztkami okrętu,
Tutaj, gdzie chmur mi słońce nie przepali,
Gdzie każdy jęk mój ginie w głuchej dali
Zamętu;

* * *

Choć ty mi w duszę wlewasz żółci zdroje,
Że myśl ta nieraz myśli przeciwieństwem,
Że, gdy ogarną mnie twe niepokoje,
Rzucam na siebie i na blizkie swoje

Przekleństwem;

* * *

Choć ty mnie krwawym naznaczyłaś chrzestem,
Stanąwszy błada już nad mą kołyską;
Choć przez ciebie nieraz jako starzec jestem,
Że mi śmierć zda się z swych skrzydeł szelestem
Tak blizką;

Bądź pozdrowiona, o ty bez promienia,
 Który nadzieją martwe serca pieści,
 Spowita płaszczem bezdenne cienia,
 Źródło mej pieśni, macierzy natchnienia,
 Boleści!...

Z cyklu „Z PADOŁU WALKI“.

CHŁOPSKA DOLA.

Ona usnęła... Dziś słońce tak piekło,
 Że wszystkie trawy pomiędzy ścierniskiem
 Nawpół powiedły i kurzem powlekła
 Skroń swoją kryły przed słonecznym blaskiem.
 Wiazaniem żyta zajęci żniwiarze
 Poszli wypocząć wśród cieni mędeli
 I ogorzałe przysłonili twarze,
 Weseli,
 Gdy siły praca nadmierna im wzięła,
 Że choć z południa odetchną na chwilę —
 Ona usnęła.

* * *
 Maż ukochany spoczywa w mogile
 Drugie już żniwo, a od syna dzieli
 Ziemi ją tyle, ach! i wody tyle,
 Że okiem ludzkim nie zmierzysz topieli.
 Kto wie, czy wróci? czy zamknie jej oczy?
 Wczoraj mu talar posłała ostatni:
 Dziś i za morzem przybysze roboczy
 Nie płatni!...
 Pot jej wystąpił i boleść ją zdjęła,
 Rzuciła wiązkę i siadła pod snopkiem
 I tak usnęła.

Ciężka to dola zawisła nad chłopkiem,
 Cięższa nad wdową, gdy jej nikt nie bratni.
 Krwawym z dnia na dzień żywić się zarobkiem
 I tak wciąż dyszeć, jak ryba wśród matni.
 Dawniej to jeszcze kawał własnej schedy
 I kęs własnego posiadała chleba,
 Lecz pogrzeb męża — toć przecie, choć z biedy,
 Grześć trzeba:
 Duszaby nigdy bez świec nie spoczęła,
 Bez pokropienia i bez pieśni świętej —
 Ona usnęła.

* * *
 O Chryste Panie! o Ty niepojęty!
 Który przychylasz swoim dzieciom nieba;
 Tu ciężkie snopy, a tam łan pocięty
 Leży pokosem — bogactw pełna gleba,
 A jednak ludzie, jak bedłki, padają
 Głodem zmęczeni... Ty jednych, o Boże,
 Stroisz w korale, a drudzy dźwigają
 Obroże.
 Jednym to dajesz, co drugim ujęła,
 Ojczy, Twa ręka... Lecz któż Cię odgadnie? —
 Ona usnęła...

* * *
 Została chata... Bóg wie, jak wypadnie,
 Jakie biednemu gotuje się łoże,
 Świat wobec biednych postępuje zdradnie:
 Już może jutro, lub jeszcze dziś może
 Przyjdą z urzędu i na drzwiach chałupy
 Za czynsz przykleją znaczki urzędowe
 I nie zostawią ani śmieci kupy,
 By głowę
 Skłonić stroskaną... W łód się myśl jej ścięła
 Na smutne jutro, na jutro lodowe,
 Lecz dziś — usnęła.

Z CHAŁUPY.

I.

Chaty rzędem, na piaszczystych wzgórkach;
Za sadami krępy sad wiśniowy;
Wierzby siwe poschylały głowy
Przy stodolach, przy niskich obórkach.

Plot się wali; piolun na podwórkach;
Tu rzą konie, ryczą chude krowy,
Tam się zwija dziewczek wieniec zdrowy
W krasnych chustkach, w koralowych sznurkach.

Szare chaty! nędzne chłopskie chaty!
Jak się z wami zrosło moje życie,
Jak wy, proste, jak wy, bez rozkoszy...

Dziś wy dla mnie wspomnień skarb bogaty,
Ale wspomnień, co łzawią obficie —
Hej! czy przyjdzie czas, co lzy te spłoszy?!...

II.

Tam za wioską — przyjm, Ojczy nasz, dzięki! —
Jak pszeniczne kołyszą się lawy!
Żyto, jęczmień i owies złotawy
Jak zginają ziarniste swe pęki!

Wiatr od pola się rozgrał — czyż w jęki? —
Z dróg się mgliste podnoszą kurzawy;
Nad drogami, wśród pokrzyw i trawy,
Skrzypią krzyże, godła leż i męki.

O Ty Boże! o Chryste! o Paniu!
Płonny owoc ta ziemia nam płodzi —
Tłuste kłosy, bo tłuste uprawy:

Nie nadarmo ten wiatr tak zawodzi
I tak smętne poszumy na lanie —
Tu kłos każdy to chłopski pot krwawy.

III.

Święty Kaźmierz — powracają czajki;
Święty Wojciech — bociany klekocą,
Słońce grzeje, rowy w mlecz się złocą,
Brzmia skowronki, rychłe, polne gajki.

Po murawach dzieci, strzępem krajki
Podkasane, w pasy się szamocą;
Na przyzbicach baby w głos chichocą —
»Ech! kumul! bajki, żywe bajki!«

Wiosna!... wiosna wszędzie życie budzi!
Jej błękity, słoneczne uśmiechy
I pod chłopskie wciskają się strzechy.

I tu raźniej biją serca ludzi,
Choć się troski za troskami tulą
Do tych piersi pod zgrzebną koszulą.

Z WIEZIENIA.

O złote blaski! o blaski słoneczne!
Co jako miecze, lecz bez krwawej zmayı,
Ludzkiemu sercu zadajecie rany,
I do mnie dzisiaj schodzicie, odwieczne.

Jesteście wolne! jesteście bezpieczne:
Nie powstrzymują was żadne rozkazy,
Ni pręt żelazny ani ludzie-płazy;
Lecz dla mnie miecze wasze obosieczne

Ich ostrze, czuje, przenika opoki,
Pod które serca skryły się źródłiska;
Na chwile biją z nich rozkoszy rzeki.

Ale w ślad za nią czarnymi potoki
Boleść — tęsknota z wspólnych krynie tryska.
I zdaje mi się, że tak tryska — wieki...

Z CYKLU „W CIEMNOŚCI SCHODZI MOJA DUSZA“.

Modlitwo moja, cicha i bez słów,
Ku gwiazdom plyniesz z mej zniekanej duszy!
O swej tęsknicy złotym gwiazdom mów,
Niech je twój smutek do żalu poruszy,
Modlitwo moja, cicha i bez słów.

Z głębin powstajesz, a ku wyżom mkniesz
Na skrzydłach dziwnie tajemniczej mocy;
Niema-ś, a jęczysz, jak zraniony zwierz,
Rozbrzmiewa wokół wielki płacz sierocy,
Gdy, wstawszy z głębin, ku wyżynom mkniesz.

Lowisz po drodze głuche szumy drzew,
Które wiatr bujnej pozbawił korony;
Przygnębiający, pogrzebowy śpiew,
Na strunach żalob jesiennych zrodzony,
Lowisz po drodze z serca nagich drzew.

Na brzegi idziesz spochmurniałych wód,
Na żółte łąki, na zwiedle ścierniska,
Mgłą się opijasz, przejmując cię chłód,
Co z ziół zeschniętych siwy szron wyciska
Ponad brzegami spochmurniałych wód.

Odlatujący ścigasz ptactwa klucz,
Śledzisz, czy bracia w drodze się nie znużą:
Żalność wycziera z twych poblakłych ocz,
Gdy spocznieś w gnieździe, rozrzuconem burzą,
W gnieździe, skąd ptactwa precz uleciał klucz.

Porywasz szepty z spiekłych ludzkich warg,
Wnikasz do wnętrza złamanego czeleka,
Niedomówionych lub przycichłych skarg
Żywisz się strawą: radości daleka,
Chłoniesz szept bólu z spiekłych ludzkich warg.

Modlitwo moja, cicha-ś i bez słów,
Choć jesteś sercem głośnych jęków świata,
Który, ścigany przez złowróżbny huf
Nędz nieodstępnych, ku gwiazdom ulata
Z tobą, modlitwo cicha i bez słów.

Na ziemię Bożą wielki upadł cień,
Widma rozpacz po jej ścieżkach suną,
Powietrze pełne ich wymownych drzeń,
Że mrok się rozlał nad zagasłą luną,
Że na tę ziemię wielki upadł cień.

Z wiekowych bojach zwątlal zastęp dusz,
Zgluchły zwycięskich pochodów tententy;
Z dróg się podnosi suchy, biały kurz,
Ale z pod ciężkich stóp orkanu wszczęty,
Co w boju wieków pobił zastęp dusz...

Długie westchnienie krwawych, przeszłych lat,
Zgasłych na polu przygasłej już chwały,
Oto mój pacierz! Nie cząstka, lecz świat
W jego cichości zamyka się cały
Długiem westchnieniem krwawych, przeszłych lat.

Sil się, mileżąca modlitwo, ach! sil,
Abyś w sferycznej swej drodze nie padła,
Straszną rozterką tych dzisiejszych chwil...
O jak gorzkiego potrzeba ci jadła —
Sil się, niesyta modlitwo, ach! sil!...

Beznadziejnością nadchodzących dni
Wzbieraj w ogromy skargi niebosięglej,
Niemej, a głośnie! Dusza o tem śni,

By wzruszyć globów płomienistych węgly
Beznadziejnością nadchodzących dni.

Zginać, nie patrzeć na ten wielki ból,
Który rozsadzi ziemię na atomy,
Nim szczęście zdąży wzrosnąć wśród jej pól!
O ciało słabe, o duchu znikomy:
Zginać, nie patrzeć na ten wielki ból!

Modlitwo moja, cicha i bez słów!
Ku gwiazdom płyniesz z mej zniekanej duszy!
O swej tęsknicy złotym gwiazdom mów,
Niech je twój smutek do żalu poruszy,
Modlitwo moja, cicha i bez słów...

Z cyklu „Z WIRCHÓW I HAL“.

JUNGFRAU.

I.

Granitów srebrny zrab
w przewiewnych fioletach,
Na czole mając tkan,
sprzedzoną z śniegów mlecznych,
Pnie się w niebieską głąb
po mgieł sinawych grzbietach,
By symbol wiecznych trwał
i prawd strzelistych, wiecznych.

Nie wstrząśnie żaden grom
tą Jungfrau niebopienna,
Ni halny wicher, co bór
za jednym tnie zamachem:
Zaledwie lodu złom
gdzieś straci w toń bezdenną,

Lub zwinne elfy gór,
kozice, przejmie strachem.

Tak stoi wieków wiek
ten prawd strzelistych, wiecznych
I wiecznych symbol trwał,
choć w przepaść gdzieś bezdenną
Grom strąca lodu zwał,
las ginie, giemza kona.

Przy szumie kaskad, rzek,
w powodzi skier słonecznych
Tak przedzie sobie tkan,
ze śniegów tkan promienna,
Milczących pani skal,
ta Jungfrau niewzruszona.

Z CYKLU „NAD PRZEPAŚCIAMI.“

Waruno!...

Ręce się moje podnoszą ku tobie,
Wielki Waruno,
Porannej zorzy rozkrwawiona luno,
Strugi promieni lejąca po globie!...
W twą stronę —
Ku twym wyżynom, o słońce,
Wzlatują myśli moje utęsknione,
A niespokojne, wciąż się poza siebie
Obracające,
Czy nie mkną za niemi
Nagie, wychudłe od dzikiej chciwości
Upiory mroków...

Kiedy na niebie
Blask twój zaplonie
Fala iskrzystych potoków

Ponad posepnem ementarzyskiem ziemi,
 Kryjących w sobie zgasłych wieków kości —
 Ku twej słonecznej koronie
 Ze snu rozwarte kiedy spojrzą oczy,
 Czemu nie radość rozdźwięcza mą duszę
 W błogosławieństwa święty hymn, w ochoczy
 Wielbnych melodyj szal,
 A tylko w wnętrzu wciąż przytłumiać muszę
 Skryte, tajemne, natarczywe lęki?

Traw twoich peki
 Lśnią szmaragdami, zaścielając miękki,
 Wonny, puszysty kobierzec dla ciał,
 Zaróżowionych pragnieniem rozkoszy!
 Na toś w nie ogień swego życia wlał,
 Na toś je z ziemią wielką żądał skul,
 Ażeby wiedły z trawami,
 By blakły z barwą ziół,
 By opadały razem z liśćmi drzew,
 Nim zdażył przebrzmieć rozpoczęty śpiew?
 Zanim nad nami
 Zdola się stoczyć w grób czerwonych mórz
 Żar twego słońca, światło twoich zórz,
 Czemu nas ręka niewidzialna płoszy?
 Czemu nas spycha w cień,
 W chłodną, wilgotną toń,
 W przygniatającą cieśń,
 Nielitościwy, straszny, srogi boże,
 Twa niewidzialna dłoń?
 O życie!
 O rytmie krótkich, urywanych tchnień,
 Których największy arcymistrz nie łączy
 W pełną, zamkniętą, harmonijną pieśń!

A ty, na szczycie,
 Spokoju mając zgotowane łoże,
 Srebrnym, przejrzystym naodzian obłokiem,
 Słonecznem śmiejiesz się okiem,

O płomienisty, a tak zimny boże!
 Gdy oddech mięknie wśród starganych ton,
 Gdy krew się syczy
 Z palców, silących się uderzać w lutnie,
 By z tych przez ciebie naciągniętych strun
 Wydobyć ton,
 Co się nie urwie, nim się z tonem zleje,
 Ty z głębi cichych, przedwieczornych lun
 Wychylasz cichą twarz —
 Cichą okrutnie!

O wielki smutku nasz!
 O wyczerpanie wszystkiej naszej siły,
 O w oceanu głąb schodzące zorze!

Któż ci jest miły?
 O kogo ty dbasz?
 Czyje wypełniasz nadzieje,
 O bezgranicznie obojętny boże?!
 Mglistą świadomość człowieka
 W swoim bezdennym pochłaniaś Erebie,
 Jak ten ostatni blasków promień mgławicy
 W swe bezgraniczne zatapiaś ją morze,
 Zamykające się nad nią bez wrzawy,
 Bez burz, bez gromów, bez pomruku fal,
 Bez rozpienionych pierścieni,
 Zanim się mogła stać świadomą siebie!

W nieogarniętą, w niedosięglą dal,
 Która jest pełna ciebie,
 Twych żywych ogni i twych martwych cieni,
 Podnoszą ręce się moje...

Mrok na nie ścieka —
 Mrok na nie zlewa swych ołowiów zdroje...
 O ciemni nocy posepną pogrzebie!
 Drogo nieznaną o drogo daleką,
 Giniącą w ciemni przepastnej otchłani!
 Widma tułacz —

Potworne strachy, lęki i rozpacz,
 Ośleple, głuche, o piersi zapadłej,
 Gęsto twe brzegi obsiadły;
 Oblazłe z włosów czaszki pożółkniałe
 Biją o czaszek nawalę
 I pieść o pieść się rani
 I z zachrypniętej krtani
 Okrzyk bezdźwięczny krzaczę
 Twą nieśmiertelną chwałę,
 O słońce! o życie!
 O ty gasnących zórz wieczornych boże!
 O ty posępny pogrzebie!
 O ty nieznana, o daleka drogo!...

Mnogo
 Globów ognistych —
 Ty wiesz: tak mnogo, że milion rozumów,
 Lat miliony liczących, nie zdola
 Wyczerpać miary — rozsiałaś dokoła
 W tym pełnym ciebie przestworze...
 W błękicie
 Dnia słonecznego, o promienny boże,
 I w nocy roztoczach mglistych,
 O ty pomroków panie,
 Krażą wśród szumów,
 Niedosłyszalnych dla ucha,
 Te światy.
 I każdy z nich ma swe zorze,
 Co gasną,
 Każdy blaknąc ma swą jutrznię własną,
 Swych słońc zachodnich każdy ma szkarlaty
 I swe przepastne otchłanie...

Życia i śmierci ty harmonio głucha!...
 Na szczycie
 Swoich ogromów, pomiędzy ogromy
 Siadłeś, Waruno, i patrzysz na ziemię,
 Na pył ten marny, na proch ten znikomy,

Na to robactwo, na te lwy, na trawy,
 Na wód kropelkę, na plemię
 Ptaków i ludzi,
 Na krwawy,
 Na nieopłatny znój...

Zabłysły zorze —
 Na lan zorany spłynął blasków zdroj,
 Pieśń skowronczana ze snu siewce budzi...
 Ziarna wyrosły w twoich deszczów rosie,
 Kłosy dojrzały w cieple twego słońca,
 Orkanny tabun twój
 Przebiegł po roli i stratował siew...
 O zmilkły pieśni skowronczanej głosie!
 O ty zdeptany ugorze,
 Na którym sterczy zwiedły, czarny krzew —
 Oset żaloby...

Bez końca
 Wichier uderza o wierzchołki drzew...
 Czerwone liście padają na groby
 Głucho, bez dźwięku...
 Upiorne dusze obiegły rozdroże...
 Patrz... gdzie patrz?... Słońca... dokąd słońca?...

O lęku!...

O ty słoneczny, o jasny Waruno!...

ŚWIĘTY BOŻE!...

Święty Boże, święty mocny,
 Święty a nieśmiertelny,
 Proch gwiazd przesyłaj w swej klepsydze złotej
 I plódź żywioły,
 Aby tak kleły jak ja,

Aby plakały jak ja,
 Aby w szarpiającej modlitwie
 O zmiłowanie prosiły,
 Aby się wlokły z gromnicami w dłoni
 Ku tej samotnej ustroni,
 Do tej ostatniej mogiły,
 Aby tak wyschły jak lza,
 Którą już me oko plakać nie może,
 Aby tak marły jak ja,
 O święty, nieśmiertelny,
 Święty, mocny Boże!
 Grzech jest nieprzebaczony,
 Bóg jest nieprzeblagany,
 Ból jest wieczny.

ADAM M-SKI.

(Pseudonim).

Ur. około r. 1860 w gub. Mińskiej.

WIECZORNE SNY.

I.

Czy ty zateśknisz, gdy po ciężkiej pracy
 Wracasz do pustki, do swojego domu,
 A nikt kochany na odgłos twych kroków
 Na próg nie bieży, witac niema komu?
 I kiedy troska powszednia, codzienna,
 Ciężkim kamieniem piersi ci przywali,
 Nikt ci nie powie: „Ciężar podziel ze mną,
 O! ukochany, bądź mężnym, idź dalej“.
 Czy ty zateśknisz?

Czy ty zateśknisz — kiedy podłość ludzi
 Straszną goryczą usta twe napoi,
 A nikt nie szepnie: „Ja kocham cię zawsze!
 O wszystkim wątpię, wierzę miłości mojej“.
 Czy ty zateśknisz, że szczebiot dziecięcy,
 Ni śmiech kobiety nigdy nie ożywi
 Ścian twojej chaty wesołym rozgwarem,
 Coby ci mówił: „My z tobą szczęśliwi!“
 Czy ty zateśknisz?

Czy ty zateśkniesz, czy w oczach ci stanie,
 Że jest na świecie pokrewna ci dusza,
 Krwią, sercem, duchem bezgranicznie twoja,
 A którą przecież los zdala stać zmusza;
 Że ona ręce ściąga przez otchłanie,
 Rwąc się ku tobie sercem i oczyma,
 Zdolna czuć, myśleć, działać — a bezsilna,
 Bo przez tę otchłań żadnej drogi niema?

Czy ty zateśkniesz?

II.

Wiesz, jak ja marzę w kwietniowe wieczory,
 Gdy już umilknie gawieź halaśliwa,
 Co odurzala mię za dziennej pory
 I gdy się dusza w błękity wyrzywa?

Oto klon pęka — zielono-żółtawe
 Sypią się kwiaty — a czeremchy srebrne
 W świetle księżycy stoją kędzierzawe
 I ślą mej piersi balsamy leczebne.

Rzechot zab, — z lasu słyhać ptastwa wrzawę.
 Łagodny wietrzyk po drzew wierzach płasza
 I na świeżuchną zieloną murawę
 Krople lez rosy z gałęzi otrząsa.

Tak dusza moja otrząsa ból wszelki
 Na jedną krótką marzenia godzinę
 I pod dotknięciem wiosny-wskreszicielki
 Odpływa w widzeń młodości krainę.

Leżąc pod oknem, piję wonie kwiatów
 I uchem łowię ptaszące szczebioty;
 Piers drży i czeka — czy z niebios blawatów
 Ma zejść tu ku mnie jaki Cherub złoty?

Cicho! szmer kroków... jak mi serce bije...
 Ty na pierś moją chyliś się znużony,

A ja uściskiem otaczam twą szyję,
 Uteśnionemi ogarniam ramiony.

O, jak mi dobrze! słuchaj — pierś nie boli
 I żadna gorycz serca mi nie truje;
 Nikomu lepszej nie zazdrościć doli,
 Kiedy mię uścisk do twej piersi kuje.

Słyszysz! jak zgodnie krew nam w żyłach tętni,
 Łącząc swój akord do hymnu przyrody?
 Do ust mych usta twe przytul namiętniej —
 Świat dziś tak piękny, kochający, młody...

Ja zapominam mojej ciężkiej troski,
 Ty — że są burze i trudów ciężary,
 Ukryci w ciszy naszej głuchej wioski,
 Pod błękitnemi niebiosów kotary;

Myśmy dziś sami lepsi, odmłodniali,
 Jakby nam wskrzeszał dzień wiosny młodzieńczej,
 Dawniejszy zapal w sercach nam się pali,
 A czoła myśli aureola wieńczy.

Wszystko, co piękne, dobre i szlachetne,
 Co nam pochłonał smutny życia cmentarz,
 Dziś przyodziewa dawne szaty świetne,
 Jak za dni dawnych, dalekich — pamiętasz?...

Czyli mię kochasz? Ja nie pytam o to —
 I ty nawzajem nie zadasz pytania;
 Znużonych życia trudem i tęsknotą,
 Chwila obecna całkiem nas pochłania.

Wiemy, że zima trwa długie półroczę,
 Że jesień mrozi serca i krzewiny,
 Ale też życie ma swe dni uroczę,—
 Za lata bólu—upojeń godziny.

Na mojej piersi głowa twoja senna,
Uspokojona, tak słabo się tuli,
A cisza niebios, gwiazdami promienna,
Pod skrzydła swoje garnie nas najczulej.

Przyroda nie zna, co praw ludzkich pęta,
Jak ten świat cały, my dla niej — jej twory,
Którym z miłością wznosi dłoń jej święta
Puhar upojen w wiosenne wieczory...

III.

Piękny sen! Prawda? lecz ja znam piękniejszy,
Sen wędrującego lilii kielicha...
Dotknij mi ręki — puls coraz wolniejszy;
Złóż dłoń na piersi, pierś słabiej oddycha...

Dziwnym zamętem ogarnięte zmysły
Macą się, mdleją, z niebytem się ważą;
Zda się, że z ramion jakieś wieży prysły.
A tak mi dobrze pod twojej piersi straż!

Nie trwóż się o mnie, nie drgnij, tak pozostań;
Słyszysz? młodości pieśń przepływa echem?
Ach, tyle bywa ciężkich z życiem rozstań,
A tak nie często ktoś kona z uśmiechem!

Niech mię raz jeszcze ramię twe okoli,
Gdy tajni grobu zasłonę rozdzieram;
Jam tak szczęśliwa — mnie nie, nie boli...
Na ustach twoich tchem kwiatu zamieram...

IV.

O, błogo marzyć w wieczory wiosniane,
Konać, jak tony zabłąkanej pieśni,
Gdzieś w nieskończoność na dźwięki rozchwiane.
Lecz, gdy się zbudzisz, kiedy sen się prześni,

Gdy nad ogniskiem, choć w piersi wybucha,
Nieugaszonym ofiarnym tym zniczem,
Wydaje wyrok moc Przecznaczeń głucha:
„Tytanie marzeń, w życiu jesteś niczem!”

O! straszną bywa godzina przebudzeń,
Niby dzwon jakieś pogrzebowej wieści,
Co cię odziera ze wszystkich twych złudzeń,
Że już nie z marzeń mrzesz — ale z boleści.

NIE MÓDLICIE SIĘ!

Nie módlcie się wy za mną, tu modłów nie potrzeba,
Bym jeszcze młodą pierś odetchnąć mógł głęboko,
By duch mój śmiały, dzielny unosił się do Nieba
I stamtąd ku swej ziemi miłosne zwracał oko.

Jeżelim ja nie zamarł, jeżeli to możebne,
Muszę się jeszcze zbudzić, jak ogień w łonie skał,
I wulkaniczną pieśnią w krainy śląc podniebne,
Wypowiem ból wulkanu i piersi ludzkiej szal.

Życia mi tylko dajcie! Dajcie szerokie pole
I drobnych trosk codziennych zerwijcie twardą sieć;
Puście w świat, gdzie na czołach myśli się skrzą sokole,
By dźwignąć trud olbrzymi, coś kochać, czegoś chcieć!..

Wtenczas ja sam powstanę i wstrząsnę mem wezgiem
I jak potężny mocarz dźwignę poezji berło,
I wspomnień się przeszłości oprę złotogłowiem
I ku przyszłości skinę zakłęta pieśni perła!

Gdy cierń na drogę padnie — ja cierni nie pocuję,
W śpiż twardy się zamienię od skroni aż do stóp;
Lud cały zamknę w łonie, z lez jego broń ukuje
Zwycięską, lub zwyciężon, jak głaz, zalegnę grób.

Straszeż te glazy grobów, żywych pokoleń zmore,
Choć wielbi je artysta, dla sztuki pełen czci;
Wszak znacie ból kamienny, ból straszny gladyatora,
Który przez wieki woła: „O Romo, hańba ci!”

Ja znam sam tylko jeden mej duszy głębie ciemne,
I skalę mego głosu i dźwięk mej lutni strun;
Wy znacie tylko krater, gdzie ognie wrą podziemne,
Lub granit, pokreślony znakami tajnych run.

Kedys snem granitowym sfinksy śpią wśród pustyni —
I ja śpię. O nie budźcie! bólem jest czuć, żeś pył:
Jeśli przyjdzie godzina, w duszy się cud uczyni
I orzeł moc poczuje, by się ku niebu wzbil.

Lecz jeśli ból przebyty to serce już spopielil,
Jeśli po skarbach piękna został nagrobny glaz —
Gdyby słuchano z góry, błagać bym się ośmielił:
„Zagaś skreń mego życia, zbliż wyzwolenia czas!”

WINCENTY KOSIAKIEWICZ.

Ur. około r. 1860 w Sandomierskiem.

»Poczye« (1902).

COMEDIA DEL'ARTE.

I.

PIEROT.

Upudrowana gęba, zawadyacka mina,
Cały w bieli, pompony na nim krasne, duże —
Jak gdyby w misce mleka wyspał świeże róże —
Powietrze piruetem wykrętnym przecina.

Nie wie, że jest ofiarą figlów Arlekina,
Więc namaszczonej, dumny — jak doża w purpurze.
Lecz jakże nie ma nosa zadzierać ku górze,
Skoro mu ust swych chyli cudna Colombina.

Życie ludzkie—to także *comedia dell'arte*,
I w niem na tytułową pcha się Pierot kartę,
A łatwego tryumfu oszukany chwilką,

Sadzi, że ten największy, kto ma giętkie kości,
Że on—to filar świata, ozdoba ludzkości,
I ani się domyśla, że jest błaznem tylko.

II.

COLOMBINA.

Uśmiechnięta, różowa, lekka Colombina
 Natrętów ma bez liku.—Najgorszy niecnota
 To skrzypek, co ją całą w nić melodyi mota —
 Nic mu pięści Pierota, żarty Arlekina.

Inaczej sobie mądry alchemik pocyna:
 Raz wraz przegarnia przed jej okiem kupy złota —
 Lecz ona nie dba o nich! Ona chce Pierota!
 Czarująca, rozkoszna, lekka Colombina.

Życie ludzkie— to także *comedia del'arte*:
 I w niem gra serce skrzypka boleśnie rozdarte,
 I w niem alchemik próżno złotem się oplaca,

Ta, która obietnicą szczęścia dusze budzi,
 Przechodzi obojętnie, szyderczo wśród ludzi,
 Aby słodko utonąć w objęciach — pajaca.

III.

ARLEKIN.

A teraz—proszę... baczość... Wejście Arlekina:
 Na twarzy czarna maska, w ręku drewna kawał,
 Cały w tęczy na ustach pięknych słówek nawał,
 Jednego figla skończył, wraz drugi zaczyna.

O! zna go dobrze Pierot! zna go Colombina!
 Ich troski—to dla niego uciészny karnawał:
 Mądre, pocziwe rady będzie ci lotr dawał
 I raz wraz kijem kąsał zdradnie, jak gadzina.

Życie ludzkie—to także *comedia del'arte*:
 I w niem arlekin szczęścia—lichu nic nie wartę—
 Kręci się między ludźmi w tęczowym kostymie,

Każdego nęci, kusi swem bajaniem śpiewnem.
 Każdego w końcu wytnie po lbie twardem drewnem—
 Zdemaskować nędznika w porę — nikt nie umie.

JÓZEF WEYSENHOFF.

Ur. 8 kwietnia 1860 r. w maj. Kolano (pow. Radzyński).

TANATOS.

OLIMPIA.

Kiedy my wszyscy, zapędzeni
W pozaświatowy kraj Hadesu,
Będziemy szli w królestwo cieni,
To rozkosz życia się przemieni
W tęsknotę wielką, żal bez kresu.

U Acherontu ciemnej fali
Musi być smutny pomrok siny,
Podziemny wiatr się glucho żali
Nad tymi, co poumierali,
Idąc z helleniskiej zórz krainy.

I ten, co doznał królowania,
I ten, co zdobył chlubne palmy,
I ten, któremu śmierć zasłania
Niewieści wzór jego kochania —
Wszyscy na krótkość dni się żalmy!

Olimpia stoi w pełnej chwale:
Zeusowy chram ma w niebie czoło,

Na stopniowanym piedestale
Spogląda Nike w Jońskie fale
I szumi święty gaj wokół.

Na lud posągów marmurowy
Gaj kładzie szafirowe cienie
I na atletów młode głowy
Daje swój czarny liść dębowy,
Zdobiący w setne pokolenie.

Grzmi jeszcze wieść przez całą ziemię
Że Alkimedon, syn Sfiona,
W zaszczytnym chodził dyademie —
I Blepsadów stare plemię
Uwieńcza szóstą już koroną.

Gdy po zwycięstwie w walce pieszej
Wzięła go wczesna śmierć na własność,
Alkimedona cień się spieszy
Nim do podziemnej przejdzie rzeszy,
Obejść swój gród w miesięczną jasność.

I żegna grodu swego chwale,
Stadyonu żegna chlubne szranki;
Między posagi błaząc białe,
Widzi raz jeszcze lżę nabrzmiałe,
Gwiazdziste oczy swej kochanki.

Teraz mu w śmierci iść wierzeje
I dzielić losy mar tułaczę?
Serdeczne rzucać swe nadzieje,
Gdy się pod niebem wszystko śmieje,
Kiedy w Hadesie wszystko płacze?

Olimpia leży w gruzach, szara,
W ciemnej zieleni dębów śpiąca,
Nie woła tu już żadna mara, —
Tylko daleki głos Pindara
Umarle echa wspomnień trąca.

Kiedy my dzisiaj, ruin syny,
Nędznego życia dojdziem kresu,
Nie będzie nam już żal krainy
I brzmieć nie będą nasze czyny
W pozaświatowy kraj Hadesu.

Dla nas radosna olimpiada
We spiże trąb już nie uderzy,
Nad nami nieba próżnia błada —
I nawet głośno pieśń nie gada
O zapomnianej czei rycerzy.

My pogrobowe pokolenie,
Którzyśmy dumnych dni nie znali,
My już za życia marne cienie,
Będziemy szli na zapomnienie
Do Acherontu ciemnej fali.

STANISŁAW ROSSOWSKI.

Ur. 3 maja 1861 r. w Monasterzyskach (Galicya Wschodnia).
»Poezye« 1886. — »Tempi Passati« 1892. — »Poezye« (Serya II) 1892.

RÓŻA JESIENI.

Jeszcze kwitniesz, o różo jesieni,
Jeszcze słońce podnieta cię darzy
I rozpala rumieńce na twarzy...
Jeszcze w tobie liść każdy się mieni
Złudną krąsą, lecz już w głębi łona
Najeudniejszy z uroków: woń kona,
Woń—twa dusza—o różo jesieni!

Jeszcze kwitniesz, poezyo, ty różo,
Co ozdabiasz naszych czasów jesień
Kwiatem marzeń i kwiatem uniesień...
Jeszcze w tobie barw i krąsy dużo,
Lecz wciąż skąpiej z zakłętego łona
Woń ulata, boś szronem zwarzona,
O poezyo, jesienna ty różo.

GORCZYCA.

Gdziem jej nie widział?
Na łanie żdźbłom z pod stóp
Najlepsze wysysała soki;

Wśród leśnych kwiatów
Błyszczała, wzbita w słup,
Podobna wiedźmie złotookiej.

Gdziem jej nie widział?
W moczarach, kędy płaz
Żeruje, kwitła z jaskrem w wiosnie;
Wśród skał, gdzie orzeł
Ma gniazdo, w późny czas,
Jesienią, ona jeszcze rośnie.

Gdziem jej nie widział?
Łan żyznym zbożom rad,
A róże bujnej grzędzie...
Ma swój czas wszystko,
Tylko gorczycy kwiat
Ten zawsze krzewi się i wszędzie...

Ten sam wciąż obraz staje przede mną:
Cmentarz pod nocy osłoną ciemną.
Przez poszarpane czarne chmurzyska
Ni jeden promyk gwiazd nie przebłyska.
Po blizkim łanie, po blizkim lesie
Wiatr smętne szumy niesie a niesie,
I jęk zawodząc dziwnie ponury,
Garściami sieje gęsty deszcz z góry.

Ach, widzę ciebie, jak w oną chwilę
Leżysz tam w świeżej swojej mogile...
Na poduszcze, na atlasowej,
Z wianuszkiem mirtów wonnych u głowy;
Leżysz w śmiertelnej białej sukience,
Oczy zawarte, złożone ręce.

Z góry w schronisko twoje dolata
Zgłuszone echo ziemskiego świata.
A słysząc wszystko — choć-ś nie żywa —
Jak liść się żali, jak deszcz łzą spływa, —
Pytasz żalością wielką przejęta,
Gdzie miłość żywych, jak cię pamięta,
Skoro w posepną straszną noc ona
Tak samą jedną cię zostawiono?

SZARA RZESZA.

Ty, jako w lesie mchowe legowiska,
Dumasz posepnym zasnuta półmrokiem...
Czy w górze słońce pała, czy grom błyska,
Przed twojem one niewidoczne okiem.
Zżyłaś się z dolą mroczną, bo w pamięci
Świetlana tobie nie powstała mara,
I nawet pragnień ona twych nie nęci,
O rzeszo szara!

Ofiara cicha dzieje tve opływa,
Ani jej skargą nie zamącasz żadną;
W tobie żyzości siła wiecznie żywa...
Ty, ledwie krople rosy w dół opadną,
Już je gromadzisz i mnożysz w dwójnasób,
By szczytne dęby, co się światłem cieszą,
Miały obfity wciąż pokarmu zasób,
O szara rzeszo!

I nikt nie widzi, że twą mrówczą pracą
Przemieniasz skały na rodzajną ziemię;
Że gdy się kwieciami gałęzie bogacą,
W tobie rodząca kwiaty siła drzemie.
I nikt nie zważa, że bez twej pomocy
Nie mógłby owoc dojrzeć u konara;

— Nagroda obcą doli twej sierocej,

O rzeszo szara!

W dziejowej księdze, gdzie wielkie imiona

Złotemi głoski wpisują potomni,

Nad tobą zwisa ta sama zasłona...

Kto twe ofiary uzna, kto je wspomni?

Ty bezimienna idziesz w smutne życie

Naksztalt rzek owych, co do morza spieszają;

I bezimienna giniesz także skrycie,

O szara rzeszo!

ZENON PRZESMYCKI.

(Miriam).

Ur. 22 grudnia 1861 r. w Radzynie.

»Z czary młodości.« — »Liryczny pamiętnik duszy« (1893).—

»Z czary miłości« (1893).

ROMANZA.

Na morskiem dnie, siostrzyczkom wkrąg

Skarży się muszla, wije z mąk;

Nieznany czerw jej łono rwie,

Aż z bólu mrze.

I szepee jej gwar cichy wód:

O szczęsna, ciesz się, ciesz!

Z męczarni twych—piękności cud,

Z boleści twych—słodczy miód,

Choć cóż ty o tem wiesz!

I mija czas, jak myśli gon

W muszli drży perła, mąk jej plon;

Lecz ona o tem nie wie, nie,

I w bólu mrze.

A nad jej trupem brzmi, jak wprzód:

O szczęsna, ciesz się, ciesz!

Z męczarni twych — piękności cud,

Z boleści twych — słodczy miód,

Choć cóż ty o tem wiesz!

W otchlaną głąb, ze śmiercią w bój,
Rzuca się śmiało nurków rój,
Tej muszli szuka na fal dnie,

Co w bólu mrze.

Kto znajdzie, słaui cny jej plód:

O szczęsna, ciesz się, ciesz!

Z męczarni twych — piękności cud,

Z boleści twych — słodyczy miód,

Choć cóż ty o tem wiesz!

Idealnego piękna kwiat,

Perłę wydiera sobie świat;

Lecz czyliż muszla o tem wie,

Gdy w bólu mrze?

Czyż wiesz, że zmarła czei dziś lud:

O szczęsna, ciesz się, ciesz!

Z męczarni twych — piękności cud,

Z boleści twych — słodyczy miód,

Choć cóż ty o tem wiesz!

Tak człowiek też, ów nędzarz-król;

Perłą snadź jest i jego ból,

Snadź czerw mu pierś niepróżno żre,

Aż z bólu mrze;

Snadź przeczuć szept — nie złudą złud:

O szczęsny, ciesz się, ciesz!

Z twych zwatpień, mąk — piękności cud,

Z twych tęsknot, snów — słodyczy miód,

Choć cóż ty o tem wiesz!

NAPIS NA GROBIE.

„Jako kwiat wzrasta, jak kwiat pada ścięty...“

— O wiejskich dzwonów dalekie lamenty!

O ciszy skrytych pośród niw ementarzy! —

Niebosklon ogniem zachodu się żarzy,
W szafir ciemnieją blade firmamenty.

— O aromaty macierzanek, mięty! —

W dal cicho płyną srebrną chmur okręty,

Dusza w woń cała roztopia się, marzy,

Jako kwiat...

„Jako kwiat wzrasta, jak kwiat pada ścięty...“

Bezbrzeżny spokój bez żądz, bez ponęty...

O nędzo lśniących żywota miraży!

— Cicho! cóż w grobie, czy we mnie się skarży,

Coś, mrać, trwa jeszcze w woli nieugiętej,

Jako kwiat.

TWÓRCY.

W marzenia świat gdyś zbłądził raz,
W ten czarodziejski wonny las,
Gdzie śpiącą się królową budzi, —
Nie wracaj już pomiędzy ludzi,
Pod grobu raczej skryj się glaz!

Po arabeskach greckich waz
Plaz przemknij ci, ślad ujrysz skaz...
O, precz! (za-ż wiesz, co bardziej ładzi?)
W marzenia świat!

Tys dał, coś miał. Tys krasę kras
Z bezkresów stargnął w przestrzeń, czas,
Dał kształt, którego kał nie zbrudzi,
Tchnął żar, że mróz go nie wystudzi.
Tys ducha pchnął, co gasł wśród mas,
W marzenia świat!

JESZCZE RONDO.

Rondo, jak brylant pod słońcem, błyska,
 Jak święta Grału z opali miska,
 Tęcz, barw i światel mieni się zorzą,
 A nie jest piewcy ciężką obrozą,
 Lecz płodem tajnych mocy igrzyska.

Rzucam rym naksztalt greckiego dyska:
 Sam wraca, w myśli gwałtem się wciska,
 Składa się w strofy, a strofy tworzą
 Rondo.

Eolska gęźba! dla dum kołyska!
 Cóż mi symplistów uragowiska?
 W kragle kielichy kwiaty się mnożą,
 Kolisto usta w całus się złożą,
 Kolistym rytmem samo wytryska
 Rondo.

ŚWIĘTY OGIEŃ.

Ubogi z głazów ołtarz ich
 Pośród olbrzymich stał menhirów,
 A śpiew ich smętny miał za wtór
 Oceanowych loskot wirów.
 Z zielonych swych szumiących puszczy
 Przynieśli tu, nad mórz odmetry,
 Praojców wiarę w głębi sere —
 I niegasnący ogień święty.
 Gdy padł ostatni czczony dąb,
 Liściastą swą powiawszy szata,
 Odeszli precz, bo oczy ich
 Nie mogły dłużej patrzeć na to,
 Jak dawnych bóstw skrzydlaty rój
 W dal gdzieś odpływał widm orszakiem

A lud pokornie chylił skroni
 Przed nowej wiary obcym znakiem.
 W najdalszy cichy kraju kaj
 Unieśli swe najdroższe skarby
 I, pielęgnując święty żar,
 Między skalnymi żyli garby.
 Wierzyli tak, iż żadna moc
 Nie mogła złamać tej ich wiary:
 Że przyjdzie dzień, gdy w łonach puszczy
 Odżyje znów świat bogów stary,
 Gnomy i Elfy w dziuplach drzew,
 Straszne w pieczarach gór olbrzymy,
 Że znów zaszumi dębów gaj,
 W niebo się objat wzbiją dymy,
 I lud porzuci obce sny,
 Ukocha znowu przeszłość jasną, —
 Jeśli tak ognia będą strzedz,
 Że święte żary nie zagasną.
 Bo w tem zarzewiu siła tkwi,
 Pewniejsza wiele od oreży,
 Ci przerwie sen, oświeci błąd,—
 Nieufność, opór przezwycięży;
 Moc cicha w niem zakłęta spi,
 Moc święta ducha wszego ludu;
 Póki w niem jedna skra się tli,
 Można z ufnością czekać cudu.

*

Mijały dnie, szeregi lat. W skwarne południa, mgliste noce
 Druidów orszak czuwał wciąż nad świętym ogniem na opoce.
 Oblicza im poczercił dym, zgrubiały dłonie od mazołów,
 Bo trzeba było nosić drwa—het—z oddalonych gór wierchołów.
 Pot lał się z czoł, z ocz krwawe lzy płynęły, w bródzy krajac
 [lice,
 Gdy własną piersią święty żar trza było chronić w nawalnice
 Lecz mężnie trwali w pracy swej, wiara krzepiła ich, że strzega
 Ogniska myśli, uczuć cnót, przyszłości całej ludu swego.

Marzyli wciąż, że ujrzą dnie przeszłości się odradzające —
I widział wokół lud co noc ich ogień, jako krwawe słońce.

*

Lecz przyszła chwila, kiedy stróż,
Co stał z kolei ołtarza,
Krzyk trwogi wydał, że brak drew,
A ogień święty się dożarza.
Druidów grono zbiegło się,
Aby usłyszeć wieść straszliwą,
Że nastrojony wrogo lud

Broni im z lasów brać paliwo.
Zgroza! więc ogień zgasnąć ma?
Ból im szalony zmysły miesza!
Nadzieja złudną była więc? —

Z rozpaczą szepce cała rzesza.
Lecz arcypapież woła: Nie!

Ta ostateczna klęska wieści,
Że już się zbliża koniec zła,
I trudów naszych, i boleści.

Odwagi, bracia! Blisko świt!

Aby nam zorza zajaśniała,
Wytrwania tylko kilka chwil!

Paliwa brak? — A nasze ciała?...

Jeden po drugim szli na stos,

A każdy pośród mąk konania

Pytał, czy z dali nie brzmi głos,

Głos odrodzenia, zmartwychwstania?

Czy już nie szumi dębów gaj, czy objat się nie wznoszą dymy,
Czy nieodżywa świat ich bóstw?... I w ogniu marli tak, olbrzymy.
Aż arcypapież został sam... Widział męczeńską śmierć współbraci,
A nie miał dotąd żadnych wróżb, że ich ofiarę los odpłaci,
Że się marzony spełni cud. Jednak nie wahał się ni chwili.
Może tam już się budzi lud? Może śmierć jego — los przesilił?
I wstąpił na ofiarny głaz...

KAZIMIERZ ŁASKOWSKI.

Ur. r. 1861 w Tokarni (gub. Kielecka).

Z chłopskiej piersi (1901); Serya druga (1902).

ZREKOWINY.

Przed Kubową,
Poprzed chatą
Dziwnie strojno
I bogato.

Ściany zdobne w modre cętki —
W oknach róże i nagiętki —
Sień pełniuszka tataraku,
Wymieciona po cielaku —
Izba z nowa pobielana
I podłoga szorowana,
A na progu Maryś stoi —
Warkocz plecie — wyjść się boi...

Jeno ku wsi
Chyłkiem zerka —
Jak kot, gdy mu
Pachnie szperka.

*

Przed Kubową,
Przed chałupą

Przystanęli
Ludzie kupą —

Przystanęli nie na gadki,
Bo w pośrodku swaty, swatki!
Bo na przedziu wiejski grajek,
Bo w koszyku kopa jajek.
I flaszczyzny są z siwucha,
I kogutek pod pazuchą,
Cały lśniący, grzebieniasty,
Jak na „wywód“ dla niewiasty.

Ani chybi!
Widzi mi się —
Zrekowiny
Do Marysie!

*

„Dudu!... dudu!“

Smyk po basach...

Staął Kuba

Przy balasach,

Jak na święto wygolony...

„Niechże będzie pochwalony!

„Witajcież mi, moi ludzie!

„Szczere sercem! nie w obłudzie!

„Komu wola i ochota!“

Rzekł — uchylił przednie wrota —

I z pokłonem prosi do się

Swatów, swachy i kumosie.

A tak mu coś

Patrzy z miny,

Ze rad widzi

Zrekowiny.

*

„Dudu — dudu!“

Bas z skrzypkami...

Idą ludy

Za ludami.

Pelno w sieni i na przyźbie.

Nie pomieścić w jednej izbie!

Gwarno, rojno, jak w pasiece...

A najstarsza swatka *rzęce*,

Co *pedała* jej kumoszka,

Że u Kuby jest jałoszka —

Jałowiczka swego chowu,

Przez przygany, przez narowu.

„Właśnie wiem

„Kupca do niej —

„Pieniążkami

„W trzosie dzwoni.“

*

Na *dzwócipną*,

Na przemowę —

Podrapał się

Kuba w głowę.

Chciał się zrazu potargować,

By popóźniej nie żałować.

Ale swacha uprzedziła,

Gorzałeczki doń przepiła...

„Życzcież nam jej, gospodarzu!

„Po Bożemu, przy ołtarzu!

„Nie poskapim piwa, jadła,

„By z ambony rychlej spadła.

„Życzcież nam jej,

„Ojeze, matko!

„Aby kupno

„Poszło gładko.“

*

Spojrzał Kuba

Na Kubową...

— „Jakże, matka?

„Rzeknij słowo!“

A Kubina do komina

Wola: — „Kajżeś ty, Maryna?“

A z Marysie z za przypiecka
Jeno buty, jeno kieka!
Próżno swacha prosi, lechce:
Wlazła w kątek i wyjść nie chce.
I choć jej się śmieją oczy,
Niby źli się, niby *boczy*...

Niby broni
Się i spiera,
A za Jankiem
Wciąż spoziera!

*

Grają skrzypki
Z mazowiecka...
Przypadł Janek
Do przypiecka —
Jak *podwazy* pod Marysie!
A Maryśka nie broni się...
Idzie z Jankiem, jako trusia,
Do matuli, do tatusia.
Idzie sama, samowita —
Za kolana ojców chwyta.
Przyklekają obydwójce...
Kuba szepce: — „Dzieci moje!”

A Kubina
Oczy duchem —
Dla zwyczaju —
Trze fartuchem

*

Grają skrzypki
Z mazowiecka...
— „Nie ukrzywdzę
„Swego dziecka!
„Nie pojdziesz jej samej z chaty:
„Weźmie krowę, weźmie szmaty,
„Dwa stajonka — przed rejentem —

„Wymierzone nowym prętem:
„Dam jej setne dwa prosiaki,
„Babski statek dam wszelaki,
„Matka zładzi wam do ślubu
„Pierza z nowego podskubu...

„I wesele
„Takie sprawię,
„Że je głosić
„Choć w Warsiawie!”

WESELE.

Chalupeczka nizka —
Na kominie błyska —
Starszyzna za stołem —
Tanecznicy kołem.

W pierwszą parę — czapka z ucha!
Starszy družba i młoducha.
Za Maryską z družką Janek,
Że wiatr idzie z pod falbanek,
A drzazgi z podłogi!
Przytupują z nogi!
Podkóweczka dzwoni!
Śpiewka śpiewkę goni!

*

W chalupeczce nizkiej
Kuźden sercu blizki —
Sukmanie sukmana...
Danać moja, dana!
Za „młodymi“, za družbami
Wala pary za parami...
Kiej ochota, to ochota!
Nie rozegnać kolkiem z płota —

Taka moc gromady,
Ze nijakiej rady!
Jeno zawdy ławą—
Z troską czy zabawą.

*

W chałupeczce niskiej
Polewane miski
Kubina roznosi,
Na czestunek prosi...
Są różności: moc mięsiwa,
Pszenny kołacz swego mléwa,
Są flaszczyny, z piwem bania,
Masło, serek z podśmietania.
Jest *harak, arbata!*
Czem chata bogata,
Tem od serca rada
Dla gościa — *somsjada*.

*

W chałupeczce niskiej
Śmiechy a uściski —
„Poczęstne“ na stole —
Kwatereczka w kole.
Jaki taki nie mitręży,
Wypił — pas mu w biodrach cięży...
Odpuścił se — do koszułi
I dziewczuchę do się tuli.
Janek do Marysie
Rad przymila jój się.
Swatki bronią, trzepią:
„Poczkaaj, aż ocepia“.

Dra się swatki — dra...
„Cepić“ Maryś chcą.

Ale družki zagrodziły,
Bo im jeszcze taniec miły.
Jeszcze nóżki drżą pod niemi,
Jeszcze nóżki drżą!

*

Za družkami — wtór...
Starszy družba — w spór!
Podparł boków przed swachami.
Chociaż grożą mu pięściami,
Stoi jako mur — nie pyta,
Stoi jako mur.

*

„Dalej, skrzypku, grać!
„Na zapłatę stać!
„Moje rzady! (wykrzykuje)
„Bo smyk lojem wysmaruję!
„Abo zacznę prac — na dobre!
„Abo zacznę prac!“

*

Ruszył z basem smyk...
Znowu taniec w mig.
Suną pary — kiej obręczą —
Przyodziejek błyska tęczą —
Z piersi idzie krzyk — śpiewanie,
Z piersi idzie krzyk.

*

Wszystkim tany w smak!
Że i miejsca brak...
Idą starsi za młodemi.
Janek ledwie tyka ziemi,
Przyśpiewując tak Marysi,
Przyśpiewując tak:

*

„W powiecie na rynku
 „Zegary gadajom:
 „Wszystkie panny szelmy,
 „Za nie nas nie majom!
 „Ino ta nie szelma,
 „Co ja *s niom* tańcuje;
 „Co się raz obróce,
 „To *jom* pocałuje!”

*

A Marysia zaś —
 Choć to już jej Jaś —
 Niby broni się a boczy
 Kryje rąbkiem modre oczy —

A Ignie, jak na *maś*, z gębucha!
 A Ignie, jak na *maś*!

*

Sunał Janek w tłok
 I co *chwilka*: cmok!
 Dobiera się nie na kpiny
 Do gębusie, do maliny!
 Czekał na to rok — bez mała,
 Czekał na to rok.

*

Za „młodymi“ w ślad...
Kuźden sobie swat.
 Stach z Ulisją, Walek z Jagną
 To zakręca się, to nagna —
 Nikiej wiatrem kwiat płatany
 Nikiej wiatrem kwiat.

*

Ojże moja! hop!
 Zawdy górą chłop!

Czy Antośce, czy to Kachnie,
Kuźdej chłopska czapka pachnie —
 Jak koniowi snop owsiany,
 Jak koniowi snop.

*

Jaka taka w lot —
 Kiej do szperki kot!
 Byle wspomnieć o pierścieniu,
 Już ci siedzi przy ramieniu —
 Rada oddać splot panieński,
 Rada oddać splot.

*

Idzie taniec — wir!
 Choć wróbelki: *ćwir*!
 Bo gdy w sercu jest kochanie,
 To czy nocka, czy zaranie,
 Jeden świat i mir — dokola!
 Jeden świat i mir!

*

Już słoneczny dzień
 Spędził nocy cień...
 Już się grajkom głowa kiwa
 I od smyka i od piwa —
 Jak chwiejący pień wierzby,
 Jak chwiejący pień.

*

Wszystko ma swój czas:
 Ścichły skrzypki, bas...
Zakrystyjon po urzędzie
 Wstaje z ławy, mówić będzie—
 Chrząka raz po raz — a patrzy,
 Chrząka raz po raz.

*

Zakrystyjon wstał —
 Jakby makiem siał!
 A on czeka, nie nie głosi,
 Jenó okiem ku gosposi...

Próżną szklanę miał do cała,
 Próżną szklanę miał.

*

Wola Kuba: „Hej!
 „Matka, słodkiej *dej!*“
 Przeplukali podniebienie —
 Zaczęło się przemówienie —
 Że choć łzami lej z rzewności,
 Że choć łzami lej!

ŚPIEWKA.

Założyłem sobie
 W myślach cztery siwe.
 Jechałem, jechałem
 Przez lata szczęśliwe.

Przez lata szczęśliwe,
 Przez owo zaranie —
 Kiedy mi świeciło
 Najpierwsze kochanie.

Jechałem, jechałem
 W słonecznej obłęczy —
 Kiedy mi się życie
 Malowało w tęczy.

Toczył się wasząnek
 Zorzany rumieńcem —
 Po rucianych drózkach,
 Serdecznym gościńcem.

Toczył się wasząnek —
 Wykowane kółka —
 Szybowały siwe,
 Jak wiosną jaskółka.

Toczył się wasząnek,
 Ładowny wspomnieniem...
 Półki rzeczywistość
 Nie siadła kamieniem.

Przystanęły siwki,
 Podkówka nie dźwięczy.

Oj, ciężko dojechać
 Do wiosnianej tęczy!

OBEREK.

Ej! gdybym znalazł taką śpiwkę,
 Co to ludziom na rozgrzewkę,
 Na pogodę! na ochotę!
 Co to myśli przedzie złote,
 Co to wiedzie drogą mleczną...
 Gdybym taką znalazł serdeczną,
 Gdybym taką znalazł!

Zarusienko
 W kolusienko
 Świat-by cały brzmiał weselem,
 Na okolic brzmiał!

Ej, gdybym miał taką nutę,
 Co to słonkiem sieje w plucie,
 Co to miodem gorycz słodzi,
 Co maj niesie, kwiecieniem wschodzi,

Co na dolę, czy niedolę
 Pada chlebem w żyzne pole —
 Gdybym taką miał!
 Zarusieńko
 W kolusieńko
 Świat-by cały brzmiał weselem,
 Na okolic brzmiał!

Cóż, kiej u mnie takie granie...
 Jenó smykiem—już lza wstanie!
 Cóż, kiej u mnie z każdą nutą
 Teskniej w duszy, w sercu luto!
 Cosik płacze, coś zawodzi,
 Coś po strunach smętkiem chodzi...
 Choćbym skocznie chciał,
 Zarusieńko
 W kolusieńko
 Jakby rosą siał—perlistą,
 Jakby rosą siał!

WYRWAS.

Rach ciach! ciach ciach! ciach po desce!
 Zalecał się Grześ Teresce,
 A że chłop był od „Kalisa“,
 Buty ze psa, czapka z lisa.
 Czapka z lisa, łeb kudłaty,
 Na gardzielu szalik w kraty.
 Żupan na nim na pętlice,
 Z „jaźwiem“ futrem rękawice,
 Pas włóczkowy, talar w „kiesce“.
 Rach ciach! ciach ciach! ciach po desce!

Rach ciach! ciach ciach! ciach po desce!
 Zaleca się Grześ Teresce
 Ciagle w „uną“ wraża ślępie,
 To ją lechtnie, to uszczypie,

To jej łokciem „ziebra“ zmierz.
 A Tereska zęby szczyrzy.
 Zęby szczyrzy, a radaby
 Wleźć co rychlej między baby.
 Bo i czegoż czekać „jesce?...“
 Rach ciach! ciach ciach! ciach po desce!

Rach ciach! ciach ciach! ciach po desce!
 Zaleca się Grześ Teresce,
 Wieczną miłość jej ślubuje
 I co trocha przyspiewuje:
 — Bądźże moja, los ustalisz!
 Niema miasta, jak nasz Kalisz!
 Boć wszystkiego tu dostanie —
 Będziem mieli używanie,
 Póki jeszcze talar w „kiesce“!
 Rach ciach! ciach ciach! ciach po desce!

W WIELKI CZWARTEK.

W Wielki Czwartek we dworze
 Ruch od rana—kiej taniec—
 Na piechotę i konno
 Za posłańcem posłaniec!

Świtkiem Kuba poleciał,
 Aż par szkapie szedł z nozdrzy;
 (Bo do ciasta zabrakło)
 Kupić cukru i drożdży.

Potem Jagna skoczyła
 Do gospodyń po jaja...
 Potem wózkem do miasta
 Wyprawili lokaja.

Sama pani do sklepu
Napisala mu kartke...
Potem Janek do Moška
Gnał cielecą wziąć ćwiartkę.

Potem (pono psy zjadły)
Pchnęli Kaśkę po masło...
I tak prawie do zmierzchu,
Póki słońce nie zgasło.

W Wielki czwartek we dworze
Kto żyw, ladzi na Święta.
Dziedzie mruczy pod nosem —
A dziedziczka kontenta.

Tłuką, wiercą, łomocą,
Aż oddaje w pokojach!
Naznosili różności
W faskach, garnkach i słojach.

Pełno w kuchni, w „jadalnym“...
Zastawili dwór cały.
Tu się mąka wygrzewa,
Tam sickają migdały.

Ówdzie dzieci zajęte
Przebieraniem rodzynek,
Gospodyni ser wierci,
Kuchta chrzan trze do szynek.

Nigdzie krokiem nie stąpić!
Tego nie rusz! nie tykaj!
W święta babskie są rzady —
Lepiej z domu umykaj!

Lepiej z domu umykaj —
Za dziesiątą za bramę!
Niechaj baby z „babami“
Radzą sobie już same!

„ZIELNA“.

Od Wiselki do Odry
Idzie polem kwiat modry —
Niby oczy dziewczyny
Z mazowieckiej równiny.
Jakbyś garstką niebiosów
Wśród pszenicznych siał kłosów.

A za kwiatem „blawatem“
Gonia „maki“ szkarlatem,
Gonia spolem, drużyną,
Żadnej brózdki nie mina...
Jeno czapka na ucho,
Kiej weselnik z młoduchą!

A za makiem modrakiem
Pnie się „srocza“ okrakiem
I kaskole w te hopki,
Kiej za służbą parobki,
I „ognicha“ starucha
Jako może się rucha.

Od Wiselki po morze,
Jak te kwiaty przez zboże,
Spiesz ludu moc cała,
Co go socha chowała,
Popod lipe, pod pszczelną —
Na Maryja, na „Zielna“.

Więc dziewczuchy—modraki,
Więc chłopaki kiej maki,
Gospodarze, gosposie
Idą z pieśnią po rosie —
Idą z nutą weselną
Na Maryja, na „Zielna“.

Idą miedzą przez pole,
Niosą dole, niedole,

Niosą pacierz gorący
I wianuszek pachnący.
Niosą chmury i zorze...
Od Wiselki po morze!
Od Wiselki srebrzystej
Do Maryi Przeczystej!

NA GROMNICZNĄ.

Na „Gromniczną“, na „Maryją“,
W mojej wiosce wichry wyją.
Śnieżny tuman za tumanem
Miecie polem pobielanem.
To zagędzi w krzu wierzbiny,
To się zerwie na drożyny —
To w opłotkach zaspy spiętrza.
„Panienczko! Przenajświętsza!“

Na „Gromniczną“, na „Maryją“,
W mojej wiosce dzwony biją —
W mojej wiosce płoną wonki
Przed obrazem „Czestochowskiej“ —
Płyną pieśni — pieśni śliczne!
Ponad lasy okoliczne.
Z kościelnego dzwoni wnętrza:
„Panienczko! Przenajświętsza!“

Na „Gromniczną“, na „Maryją“,
Idą ludzie z „procesyją...“
Cała wioska! swoi sami!
Połyskują gromnicami...
Tylko w ławce u ołtarzy
Jedno światło się nie jarzy...

Za to świeci lza gorętsza...
„Panienczko! Przenajświętsza!“

GRUSZE.

Za stodołą, za Maćkową,
Szumią grusze miedzą płową,
Miedzą płową, w pola czyste
Szumią grusze galeziste.

A na polu, za gruszami,
Chodzą plugi za plugami —
Czarna skiba, gdyby wstęga,
Od stajania w staje sięga.

A za plugiem, za stodołą,
Świeci Maciek piersią gołą,
Gołą piersią w one pola,
Skąd mu dola i niedola!

Skąd mu chlebuś, chlebuś czarny,
Skąd mu statek gospodarny —
Skąd mu ojce, jak tym gruszą —
Świeci piersią, patrzy duszą.

Za stodołą, za Maćkową,
Leci zamieć miedzą płową —
Miedzą płową, w pola czyste,
Bije w grusze galeziste.

Za Maćkową, za stodołą,
Bije zamieć o pierś gołą,
O pierś chłopską, chłopską duszę,
Jak o stare polne grusze.

ZAPACHNIAŁO WIOSNĄ O JESIENI.

Zapachniało wiosną o jesieni...
Przymrużone podniósł oczy kwiat.
Leci echem śpiew ptaszyn w przestrzeni.

W splawie ciepłych słonecznych promieni
Zda się majem zmartwychwstawać świat.

Grają wierzby bezlistne, a grają,
Obnażony gędzi oliwy czub,
Płową miedzą łączne ziola wstają,
Kmiecie pługi matkę-ziemię krają,
Rozorując tyłu bytów grób.

Zapachniało majem o jesieni...
Poszło życie smugiem rdzawych rżysk.
Wszystko barwą nadziei się mieni...
Czemuż szczęścia z mogiłnych kamieni
Nie rozbudzi żaden słońca błysk?!

TESKNOTA.

Ej! dajcież mi kute sanie!
Czwórkę siwych! bicz krakowski!
A nim zorza ranna wstanie,
Wpadnę wichrem do swej wioski!
Będę strzelał! będę hukal!
I dawnego szczęścia szukał!
Jeno... nie wiem, gdzie jest ono...
Bom *zabaczył* od tęsknicy,
Czy pod sosną pochylona?
Czy u stoku? u krynicy?
Czy w chałupie pod kominem?
Czyli w sereu Marysinem?
Jeno... nie wiem, gdzie jest ono...
Bom zatopił pamięć łzami.
Czy pod brzošką operloną
Nad wiejskimi mogiłkami?
Czy u krzyża nad rozłogiem?
Czy za swoich ludzi progiem?

Ej! dajcież mi kute sanie!
Pod dzwonekami!... Jezu słodki!...
A nim słonko z za gór wstanie,
Wpadnę wichrem przez opłotki!
Będę strzelał! będę hukal!
Choćbym szczęścia... nie odszukał!
Choćbym szczęścia nie dogonił...
Pocwałuję przez zawieję,
Gołą piersią będę dzwonił!
W kurnym dymie ją ogrzeję,
A co z bicia się zamierzę —
To i sercem w takt uderzę!
Choćbym szczęścia nie odnalazł...
Bom... przepomniał, kędy gości...
Stanę chwilkę wedle balas,
Gdziem się bawiał z maleńkości —
I powitam rodne strony:
„Niechże będzie pochwalony!”

Ej! użyteczcież choć *sanicy*!
Pary szkapiat... bo nie wstrzymać!
Wicher hula po śnieżycy —
Gotów drogi pozadymać —
Gotów zaspą świat zasłonić!
A mnie trzeba szczęścia gonić!
A mnie trzeba do mej wioski,
Między chaty! popod strzechy!
Przed obrazik „Częstochowski” —
Po *krztę* raj! skrę pociechy!
Do granicznych trzeba kopcy —
Gdzie poznają, żem nie obcy.
Gdzie poznają ci z podstrzesza —
Żem od sochy, im rodzony.
Że się głębiej od lemisza
Wryłem duszą w pól zagony.
Że mi każdy proch tu miły —
Od kołyski do mogiły!

IGNACY BAŁIŃSKI.

(J. B. Aksel.)

Ur. 31 Lipca 1862 w Reginowie (gub. Grodzieńska).

NIECH BIELEJE PŁÓTNO SZARE!...

Położyły płótno szare na murawie
Gospodynie:—Niech bieleje, powiedziały,
Niech bieleje!—I zaczęło złote strzały
Ciskać słońce w płótno szare, co jaskrawie
Odbijało od zieleni,—nowej strawie
Niosąc grotów swoich żary i upały.
Niech bieleje płótno szare, na słońcu niech bieleje!

I zaczęła płótno szare w wieczór, z rana,
Srebrzyć rosa, srebrna rosa, co wyjada
Smutne, łzawe biednych oczy, zanim błada
Wszystkie zorza nadaremnie wyglądana. —
Bić zaczęła w płótno szare karawana
Wichrów,—mknąca obojętnie w dal gromada...
Niech bieleje płótno szare, na rosie niech bieleje!

I zbiegało płótno szare i zbiegało
Od słonecznych grotów złotych i od rosy
Pocałunków i od wichrów, które z włosy
Rozwianymi w dal nieznana pędzą strzała.

Teraz mogą gospodynie brać je śmiało,
Wiernym sługą dzielić będzie ludzkie losy.
Niech bieleje płótno szare, dla ludzi niech bieleje!

Teraz mogą płótno szare kroić w szmaty
Cienkie, długie,—na pieluszki, na koszule,
Co niemowląt drobne członki tklawie, czule
Oslaniają, — i na dziewic ślubne szaty,—
I na obrus, który kryje stół bogaty,—
I na całun, który koi wszystkie bóle.
Niech bieleje płótno szare, dla ludzi niech bieleje!

* * *

I wywlekła dola-matka serce moje
Na życiowe ostre szlaki, twarde drogi,
Między ludzi zastęp wielki, zastęp mnogi,—
Moje serce, w którym uczuć wrzały roje,
Krwi gorącej, krwi czerwonej były zdroje,—
I cisnęła ludziom-braciom je pod nogi.
Niech bieleje serce moje, dla ludzi niech bieleje!

I owionął serce moje mienawiści
I zawiści żar — gorętszy, niżli słońce;
Bić zaczęły w nie zawodów wichry rwące,
Co z nadziei duszę smutną, jak dąb z liści,
Obrywają;—coraz silniej i rześśiej
Jęły zraszać je lzy skryte, lzy piekące...
Niech bieleje serce moje, dla ludzi niech bieleje!

I zbiegało serce moje i zbiegało,
Jak to płótno, — w życia pęta i obroże
Wparte, w skute... Odtąd ludziom w każdej porze,
Z rezygnacyi twarzą zimną, twarzą białą
Służyć będzie, — lecz już sercem być przestało,
I już tylko tak jak serce pęknąć może...
Niech bieleje płótno szare, dla ludzi niech bieleje!
Niech bieleje serce moje, dla ludzi-braci niech bieleje!

Z NOCNYCH GWARÓW.

— „Czyżby to był świt, matulu,
Czyżby to był świt?

Czarna noc zagląda w okno,
Straszy wichru zgrzyt.

A tam słyhać tentent koni,
Jakby z łąki już

Powracali nocełnicy
Z wieścią rannych zórz.

Słyhać głośy, zda się—swoje,
Wołają u wrót: —

Gaście ognie, pójďte w pole,
Już bieje wschód! —

A tu noc zagląda w okno,
Straszy wichru zgrzyt...

Czyżby to był świt, matulu?
Czyżby to był świt?“

Wyszła matka na próg chaty,
Na zmurszały próg;

Wypatruje... nasłuchuje
Echa z pól i dróg,

I wróciła.— „Jacys ludzie
Chodzą tu po wsi,

Powiadają, że za borem
Pono zorza lsni.

A tu ciemno, wiatru tylko
Słyhać jek i zgrzyt.

Nie! to nie jest świt, dziecino,
Nie! to nie jest świt.“

H. J. BOGUSKĀ.

(Hajota).

Ur. r. 1862 w Sandomierzu.

»Poezye« (1884).

O! GDYBYŚ WIEDZIAŁ...

O! gdybyś wiedział, jak mało potrzeba,
By z pączka kwiat się wywinał wspaniały,
By z omglonego na świtanu nieba
Złocistym deszczem padły słońca strzały,

By jednym skokiem znalazł się u mety,
Co się z pozoru niedościgłą zdaje!
Jak mało trzeba, by duszę poety
Zawieść w natchnienia nieśmiertelne kraje,

By przeistoczyć kobietę w anioła,
Aby z mężczyzny stworzyć bohatera,
By u bladego marzyciela czoła
Płomienna czynu zabłysła litera,

By osiąść szczęście i dawać je wzajem,
By niewiedzącym stroić skroń uplotem,
Jak mało trzeba, by świat stał się rajem...
O! gdybyś wiedział... Lecz ty nie wiesz o tem!

* * *

O! gdybyś wiedział, jak mało potrzeba,
 By wdzięczną wiosnę w smutną zmienić jesień,
 By zjałowiła najżyźniejsza gleba
 I wyschło źródło najczystszych uniesień,

By marzeń tkanę potargać świetlaną,
 W niewinnej piersi zbudzić zgubne chucie
 I aby wiecznie jątrzącą się raną
 Stało się jedno niebaczone uklucie.

Jak mało trzeba, by w zwątpień topieli
 Prastare prawdy zwalczył rój miraży,
 By się znalazły pod stopą czeicieli
 Bóstwa z wczorajszych zwleczone ołtarzy,

Aby w wierzącym zrodził się szyderca,
 By zaczął pelzać ten, co wzbił się lotem;
 Jak mało trzeba dla zabicia serca...
 O! gdybyś wiedział... Lecz ty nie wiesz o tem!

KONSTANTY M. GÓRSKI.

Ur. r. 1862 w Woli Pękoszewskiej (pow. Skierniewicki).

TRANSKRYPCYE Z HORACEGO.

I.

Widzisz, jak biało
 Na stromych skal szczycie,
 Jak się Soracte
 Srebrzy na błękieci!
 Śnieg z obarczonych
 Sypie się galezi,
 Mróz chwycił rzeki
 I w lodach je więzi.

Dorzuć suchego
 Drewna do ogniska,
 Niech syczy, bucha
 Płomieniem i pryska.
 A masz gdzie wina
 Dobrego dzban stary,
 Dobądź go z lochu
 I nalewaj czary!

II.

Resztę na bogów
 Zdaj; gdy skina bogi;
 Po wszystkich ziemiach
 Wścieka się wiatr srogi,
 A zechcą potem
 Świat ukoić ciszą,
 Wiotkie cyprysy
 Już się nie kołyszą.

Wszystko na bogów
 Zdaj, nie pytaj losów.
 Dopóki starość
 Nie ubieli włosów,
 Ciesz się radosną
 Chwilą, żyj nadzieją,
 I kiedyś młody,
 Szalej, gdzie szaleją.

Z PODRÓŻNEJ TEKLI.

I.

Już z mórz głębokich dla mnie Afrodyta
 Nie wstaje złota;
 I za Kochaniem wiecznem mię nie chwyta
 Nagła tęsknota.
 Morze się do mnie nie wyrwa z szalem,
 Nie lasi pianą.
 Już przekochałem, lecz już przecierpiałem,
 Co mi pisano.

II.

Z masztu urwana czarna szmata,
 Sponiewierana szmata płótna;

Jako liść, którym wiatr pomiata,
 Jak opuszczony sztandar smutna,
 Rzucona burzą na wybrzeże,
 Nie ufna w ciche jutro — leże.

Chyba mię kiedy w głąb pochwyty
 Łakomą falą morze słone
 I gorzką solą tak przesyci,
 Że pójdę na dno i zatone,
 Nie cierpiąc zmiennie a bez końca
 Od chłodu wód, od żaru słońca.

III.

Ta, o której wieczyscie się marzy,
 Nagle, nocą, we śnie przyszła do mnie.
 Przyszła cicho, radośnie i skromnie
 Młode usta zbliżyć do mej twarzy.

Nie mówiła próżnych słów miłości,
 Gdzie się tylko chęć pochlebstwa kryje,
 Odsłoniła ustom moim szyję,
 Jakby obcą, piękną rzecz — najprościej.

Rzekła: Szczęście jest, gdy dusza spotka
 Swoją duszę i czar jej pamięta.
 Niech ci moja pamięć będzie święta,
 Niech ci moja piękność będzie słodka.

Daj dni kilka — dni to będą moje —
 Na ramieniu ciebie ukołyszę.
 Zechcesz szalu, dam szal, ciszy — ciszę
 I ukoję, na zawsze ukoję.

Lecz się nie bój, że nadto przywyknę
 Do twych pieszczot i nie myśl o jutrze.

Sam się zdziwisz, jak prędko ci zniknę,
Bo najlepsze szaly są najkrótsze.

IV.

Nieruchomą cię widzę w teatrze,
Na tle łoży czerwonej, zdaleka,
I podobnaś mi jest Kleopatrze,
Gdy w pałacu się nudzi — i czeka.

Na ramionach masz złote obreże,
A dyamenty, w pomroku świecące,
To rozprysną się w gwiazdy i w tęczę,
To się skupią i palą, jak słońce.

Takie blaski cię biją od głowy,
Gdy ją oprzesz złocistą i rudą,
Żeś jak bóstwo jest z kości słoniowej,
Wylacane tybetańskie cudo.

Ale takaś jest piękna i biała,
Jako grecka Wenus kuta w głazie,
I tak jasność cię w mroku oblala,
Jak na złotym Rembrandta obrazie.

I muzyka cię ludzka nie wzrusza,
Oczy twoje lśnią w mrocznym teatrze;
Ja nie pytam, czy świeci w nich dusza,
Ja się jeszcze nie kocham ja — patrzę.

V.

Sprzyskrzyły mi się biedne słowa,
Które się w twarde wiersze kowa.
Znużyły mię te dźwięki cudze,
W których drgnień moich nie obudzę.

Tak mi obrzydła mowa pusta,
Że mi się od niej pienia usta,
Że hańbą sercu jest szalona
Pieśń, co się rwie, jak potok, z łona,
A wpada w zwykle rytmów łoże —
I żadnej duszy nie pomoże.

VI.

Powracam tutaj po latach
Z duszą, jak gdyby nie swoją,
Gdzie bogi w faldzistych szatach
Niezmienne stoja.

Pierś moją bóle i troski,
Jak plugi, stokroć zorały,
A trwa posagów sen boski,
Kamiennie białe.

I naraz czuję się niczem
Z uczuć, łez, pragnień mych światem
Przed niemem bogów obliczem
I majestatem.

VII.

Oto mi widny rodzinnego boru
Rąbek sinawy.
Za borem wschodzi miesiąc w mgłach wieczoru
Wielki i krwawy.

Pierwsza się gwiazda wśród mgławicy budzi,
Drobna i złota,
I w sercu wstaje do dalekich ludzi
Dziwna tęsknota...

Patrzę ku stronie, gdzie światło za chwilę
Z okien mi błysnie.
Bolesnych wspomnień naraz mi się tyle
Do duszy ciśnie...

Patrzę, jak gdybym się tych okien domu,
Nie mógł doczekać,
A w sercu chce się płakać pokryjomu,
Płakać — uciekać!

JÓZEF KORWIN-KUCZYŃSKI.

Ur. 18 lipca 1863 r. w maj. Pałedziach (pow. Słucki).

»Poezye« (1883); Serya druga (1890).

WIOSNA.

Już okwitł wonny bez,
Już gną się listki róż,
Jutrznianych pełne lez —
Dzieweczko... Wiosna już!...

Dzieweczko, dłoń mi daj,
Szczebiotem ptaszkom wtórz;
Na dworze pachnie maj,
W ogródku wiosna już!...

We włosy kwiatek rzuć,
Sukienkę białą włóż —
Do spółki z ptaszkiem nuć:
Już wiosna... wiosna już!...

Oczeta jasne zwróć
Na bujne fale zbóż —

Do spółki z ludem nuć:
Już wiosna... wiosna już...

Dłoń w dłoń, u skroni skroni
O wiosnie śpiewkę kończ:
Twarzyczkę ku mnie skłoń,
Z ustami usta złącz,
U szyi zapleć dłoń
I myśli nasze splącz...

I myśli nasze splącz
W błękitną pieśń bez słów,
Do spółki z ptaszkiem kończ:
Znów wiosna... wiosna znów...

Z CYKLU „WIOŚNIANKI“.

Stoi chatka stoi,
Nieciosana, nizka,
Niby chłopska trumna
I niby kołyska...

Chodzą wiatry, chodzą
Od ściany do ściany,
Niby przez rękawy
Podartej sukmany...

* * *

Kwitną wokół, kwitną
Same rozmaryny...
Będzie ślubny wianek
Dla mojej dziewczyny...

Dzwonią głośno, dzwonią —
Wraca lud podpily...

Pewnie już z wesela?...
Ej nie! to z mogiły.

* * *

Tam za wioską gaj... kurhany
Stoją w szereg długi, —
I gdzieniegdzie wystrugany
Krzyżyk jeden... drugi...

Bose dzieci tutaj chodzą,
Sieją niezabudki, —
Tu najświętsze lzy się rodzą
I najszczerze smutki...

* * *

Tam na wzgórku kościół biały,
Ze zgarbioną strzechą, —
Tu niejeden jęk nieśmiały
Odebrzmiał pociechą...

Tu lud wierzy: Pan Bóg schodzi...
Sądzi... patrzy... słucha...
Tu najczystsza myśl się rodzi
I najszczerzejsza skrucza...

Z „MELODYI GRECKICH“.

Królewno, wstań!.. posagów biały rój
Powita cię znajoma, swojską twarzą...
Ukaż się im!... ożywią się, rozmarzą,
Bo każdy z nich to bóg, bohater twój!

I przenies ich nad oliwkowy gaj,
Żyrandol gwiazd, Eurotu senny śpiew,

Posłanie mchów, gałązek szept im daj —
I wioń im w twarz szpalerem chwiejnych drzew...

A szepty, szmery te, i śpiew Eurotu ten —
Zapali wzrok... i cień twój, cień Hellady
Poloży miękką dłoń na ich kamienne łona,
I biały bóg wiekowy strząśnie sen —
I w puhar sok winnego sączać grona,
Pochyli się na pierś bachantki śniadej...

ANTONI LANGE.

Ur. r. 1863 w Warszawie.

„Poezye” (1896). Serya druga (1898).

RYM.

Do jednej pani, która ganiła
moje rymy zbyt proste.

I.

Al więc nie lubi pani mych rymów, zbyt prostych?
Wolałabyś, by pieśń ma dźwięczała niezwykle,
Świecąc, jako potrójnie złożony akrostych —
Rymy, powiazanymi w niespodziane cykle.
Prawda, rym jest dla pieśni, czem dla mózgu czerep,
Co myśl okrywa ludzka, jak perłę szczeżują.
Rym to niebo i słońce, to piekło i eręb:
W nim muzyka istnienia jakby echem buja.
Im melodia bogatsza — pierś oddycha szerzej —
I promienistsze barwy w rymów hyjacyncie —
A pieśniarz, mknąc ku górze do niebieskich wierzej,
Zda się wołać słuchaczom: Płynicie za mną, płynicie!
Bo rym, gdy z niespodzianych, rzadkich sylab splecion,
Zda się, że treść natury lepiej uwypukli:
Jak potęgę wzburzonych fali morskiej wrzecion
Gromada nimf zlocistych od zlocistych pukli.

II.

Tak! rym czasem ma szczeki kutych w ogniu żelaz,
A czasem niby echo jakichś wspomnień rajskich;

Czasem—zda się—jak bogów pełna Anafielas —
 Lub samotna pustynia proroków hebrajskich.
 Są rymy, które dzwonią, jak rycerski brzeszczot;
 Są rymy, które huczą, jak miedziane gongi,
 Które tętną pocałunków zapachem i pieśczęt;
 Są—zda się—marmurowe, jak greckie posagi.
 Są rymy tak szalone, jak skoczne fandango,
 Są, w których grób uśmiechu ślad ostatni zatarł,
 Są, które pachną piżmem, żywicą, hidranga,
 Są — rzekłbyś — jako bogów widomy awatar.
 Rym to wszystko: melodya, zapach i koloryt,
 Myśl, forma, bicie serca. Sluchaj ty, co śpiewasz,
 Niechaj z twych rond i ballad, sonetów, riflorit
 Dusza wytryska, ale rymu nie lekceważ!
 Tracisz mocy połowę, myśl od rymu dzieląc,
 Bo czemuż zielenieje w rymie pół aksamit?
 Huczy wichry, żeś gotów w duszy swej się przelać?
 Czemu przeszłość w nim żyje, jak w twierdzach piramid?
 Przeto, że treść i forma są jak brat ze siostrą,
 Niech ci żadne nie będzie jako pan lub murzyn,
 I kiedy razem skrzydła ku niebu rozpostrą,
 Niech płyną, jak dwa duchy dwu bliźnięcych družyn.
 Wiem! Kocham rym, jak słodki upojenia kielich —
 Poteżny, jako włócznie; cenny, jako szmaragd;
 Jasny, jak kryształ; rzewny — jako pieśni El...ych,
 A łezkami płonący, jak strugi katarakt.
 Świat rymów jest tak dla mnie, jak gotycki kościół,
 Którego szczyt niebieskich—rzekłbyś—sięga posów;
 Żyłem w nim — ale duch mój na dwoje się rozciął
 I słucham teraz nowych, niespodzianych głosów.

III.

Piersi mi strawił zatruty mego wieku rozcżyn —
 Duch, zmęczony, że sam-by pragnął siebie przerosć,
 Tęskni dziś za spokojem zapomnianych wiosczyn,
 Gdzie, pod lip starych cieniem, kwitnie złota szczyrość.
 Znużyły mi zawroty tej abrakadabry —

Prostoty chce — zieleni — wśród lasów i opól:
 Nęca mnie kraśne maki i niebieskie chabry,
 Szmer wód, ciche szumy rokin i topól.
 I chciałbym ksiąg zapomnieć, których czar mię urzekł—
 I stanąć odrodzony wśród zielonych muraw
 I usiąść nad strumieniem w kole dobrych wróżek
 Lub ulecieć nad pola, jak swobodny żoraw.
 I chciałbym, zapomniawszy pieśni kłamnych syren,
 Wsłuchać się w tajemnicze borów Zendawesty —
 I, jak jaskółka, spadać na prostaczy świrów
 Lub kwitnąć, jak na piaskach nadwiślańskich rdesty.
 I tak chciałbym, z nieziemskich odrodzony przyczyn,
 Pojąć pieśń, którą śpiewa dziś dla ludzi ziemia,
 Którą pszczoł roje brzęczą wśród gryk i konieczyń,
 I którą szumią ludzkie ule i żeremia.
 Bo wierzę, że w tych szumach żyje Boża czeladź
 Kwiatów, ptaków, motyli — i chciałbym balsami
 Zapach łąk w serce przelać — i zwolna się wcielać
 W treść istot, z którą w końcu duch się utożsami.
 Chciałbym, by światło błysło w moich oczach ślepych,
 Bym je zamknął na fałszu uwodzące złoto,
 Bym, pojawiając natury prostotę i przepych,
 Jak ona, lśnił przepychem naraz i prostotą.

IV.

Niech mi nikt nie zarzuca, że pieśń moja pelza
 I że opuścił rymów tęczowe Dżennaty,
 Lecz moja dłoń Pegaza swego sama kielza:
 Szukam ciszy, bo w ciszę duch mój nie bogaty.
 Kochałem pełnię rymów. Poznałem najrzadsze
 Klejnoty mowy bogów i najśłodszy zapach
 Ich kwiatów. Po czarownym pieśniarzu teatrze
 Wędrowałem swobodnie, jak po znanych mapach.
 Ale teraz już rymy doбирам najprostsze,
 Po Edenie płaczący, jak po synach Rispah,
 Bo serce mi przebiło długich zwątpień ostrze —
 I tam dzisiaj spoglądam, gdzie odrodzeń wyspa.

Więc nie dziw się, że u mnie nie napotkasz czystych
Rymów wyświąteczonych w brylantach i perłach.
Sa, którzy gonią rzadkie rymy. Lecz ja drwię z tych,
Co to czynią. Jam pielgrzym, co wchodzi na Gierlach.
Więc rzucam wszystek ciężar — i chęć na gołoledź
Szczytu gór iść swobodny — z jedną tylko cytrą.
A duch jakiś mi szepce: Poleć w górę, poleć,
I pożegnaj na wieki wszelką sztukę chytrą.

V.

Tak, bo rym się bez trudu w poezję ubarwi:
Poezja dziś z swych wyżyn zeszła w nędzę dolin
A każda ciemna fala uda falę Narwi,
I dzisiaj sztuka rymów to nuta mandolin,
Jest *tralala* na wszystko — formuły algebra —
W legiony dziś się rozrósł wierszopisów szereg,
I rymy leją gładko, niby wodę z cebra,
A łatwo tak, jakby to był wale lub oberek.
Są i dziś, którzy pieśni podniósłszy chorągiew,
Niepamiętni światowych złoceń i usierścień,
W leśnej gąszczy słuchają śpiewu makolągiew,
Szukając, gdzie natchnienia czarodziejski pierścień.
Chwała wam, o pieśniarze, bólu wychowanie,
Co bój toczycie z tłumem ciemnoty dziwożon
I znajdujecie w liliach jak i krew sielance:
Przed wami czią przepelnion stoję i ukorzon.
Ale więcej jest takich, co jakoby chrząszcze
Brzęczą — rymy odwieczne przebrzmiałych kantylen.
Bo mi już przerabano oddawna te gąszcze,
Gdzie nad majakiem pieśni dzisiaj płacze sylen.

VI.

Nie lubię rzeczy łatwych. Lubię łamać granit,
Lubię słuchać, jak szumią Oceanów larga,
Jak płaczą nad Tytanem chóry Oceanid,

Gdy Jowisz się nad nimi piorunami jarga.
Więc innej szukam drogi. Może pieśń upiększy
Rym, jaki nam gęślarze zostawili dzieci —
Pierwotny — lub ów pieśniarz najprostszy, największy,
Wojciech Święty, co śpiewał o Bogarodziecy.
Albo śpiewać, jak niegdyś Imćpan Rey z Nagłowic,
Co nie znał rymów złotych, ani dźwięcznych cytar,
Lecz duszę miał czującą i wzrok, jak ostrowidz,
I jedrnych słów na gładkość cukrzoną nie wytarł.
Lub dziwną stworzyć mowę: ni to wiersz ni proza —
I aby w tajemniczych prozy tej orkiestrach
Płynęła przeczuciowa mgieł mistycznych groza
I drgał podziw i zapal, śmiech i płacz i przestrach.
Biały wiersz — cud nad cudy — lampa czarodziejska,
Heksametr, z ilonowych wzięty wykopalisk,
Jak pantera wygięta w skok — strofa alcejska:
Oto co dziś mnie nęci, niby wzrok odalisk.

SAMOTNOŚĆ.

Dusze ludzkie — samotnice wieczne,
Samotnice, jak planety błędne,
Każda błąka się przez drogi mleczne,
Każda toczy koło swe bezwzględne.

Samotnice, jak planety błędne,
Wzajem patrzą na się przez błękity,
Każda toczy koło swe bezwzględne,
Lecz nie zejdzie nigdy z swej orbity.

Wzajem patrzą na się przez błękity,
Wzajem tęsknią ku sobie z oddali,
Lecz nie zejda nigdy z swej orbity,
Lecz nie pójda wraz po jednej fali.

Wzajem tęsknią ku sobie z oddali,
 Błakając się, jak przez drogi mleczne,
 Lecz nie pójda wraz po jednej fali,
 Dusze ludzkie – samotnice wieczne...

PANTUM*).

Zaszumiał gaj, zaszumiał gaj,
 Zapłonął w słońcu kraśny mak —
 O, graj, śpiewaku młody, graj!
 W błekity uleć, niby ptak.

Zapłonął w słońcu kraśny mak.
 Złocistą falą szemrze kłos,
 W błekity uleć, niby ptak,
 Leć slyszeć tam skowronka głos!

Złocistą falą szemrze kłos,
 Jak gdyby dźwięk tajemnych lir;
 Leć slyszeć tam skowronka głos,
 Znikł zimny grób, znikł lodów kir!

Jak gdyby dźwięk tajemnych lir,
 W przyrodzie drży weselna pieśń.

*) *Pantum* jest to malajska z pochodzenia forma poezji; według Raflesa wyraz *pantum* znaczy porównanie. Polega ona na tem, że w każdej strofie dwa wiersze z poprzedniej zostają powtórzone, mianowicie drugi i czwarty powtarza się jako pierwszy i trzeci w następnej. Przytem pierwszy i trzeci pierwszej zwrotki powtarza się w ostatniej jako drugi i czwarty, co nadaje formie tej zaokrąglenie. Treść lekka, erotyczna, idylliczna, satyryczna; przytem zazwyczaj sens jest w pantumie podwójny: jest to z jednej strony jakiś opis, z drugiej — zagadnienie, albo oświadczenie miłosne z ironicznym zwątpieniem i t. p. W ten sposób w pantumie idą równolegle dwie luźno powiązane ze sobą myśli. Pieśni w tej formie układali we Francji: Banville, Gautier, Baudelaire, Leconte de Lisle, Charles Morice i inni.

Znikł zimny grób, znikł lodów kir,
 Otwarta płodna ziemi cieśń.

W przyrodzie drży weselna pieśń, —
 To życia śpiew, miłości śpiew.
 Otwarta płodna ziemi cieśń —
 O, żyzny łanów będzie siew.

To życia śpiew, miłości śpiew.
 O, graj, śpiewaku młody, graj!
 O, żyzny łanów będzie siew.
 Zaszumiał gaj, zaszumiał gaj!

O, graj, śpiewaku młody, graj!
 Czy słyszysz życia nowy dech?
 Zaszumiał gaj, zaszumiał gaj
 W tysięczny chór radości ech!

Czy słyszysz życia nowy dech?
 Łączy się gwar zbudzonych żądź
 W tysięczny chór radości ech!
 Spójrz! Gołębica leci, drząc.

Łączy się gwar zbudzonych żądź
 W szmer cichy fal, w szum cichy drzew.
 Spójrz! Gołębica leci, drząc,
 Nuąc miłosny, cichy śpiew.

W szmer cichy fal, w szum cichy drzew
 Słoneczny blask wlał życia ruch;
 Nuąc miłosny, cichy śpiew,
 Uściskiem drży gołębi puch.

Słoneczny blask wlał życia ruch
 W zielone kregi leśnych tchnień;
 Uściskiem drży gołębi puch —
 To życia dzień, miłości dzień.

W zielone kęgi leśnych tchnień —
O, graj, śpiewaku młody, graj!
To życia dzień, miłości dzień —
Zaszumiał gaj, zaszumiał gaj!

O, graj, śpiewaku młody, graj!
Pulsuje życiem ziemi głąb',
Zaszumiał gaj, zaszumiał gaj —
W błekity leć, w głębiny zstap.

Pulsuje życiem ziemi głąb'
Po sfer najdalszych złoty kres —
W błekity leć, w głębiny zstap,
Zapomnij lodów, bólów, lez!

Po sfer najdalszych złoty kres
Weselna pieśń w przyrodzie drży:
Zapomnij lodów, bólów, lez,
Stopnieją lody, oschną lzy.

Weselna pieśń w przyrodzie drży,
Stubarwną tęczą kwiecie gra —
Stopnieją lody, oschną lzy,
W promieniach zorzy zniknie mgła!

Stubarwną tęczą kwiecie gra —
O, żyzny lanów będzie siew!
W promieniach zorzy zniknie mgła —
W błekity leć i nuć swój śpiew.

O, żyzny lanów będzie siew,
Zaszumiał gaj, zaszumiał gaj!
W błekity leć i nuć swój śpiew,
O, graj, śpiewaku młody, graj!

Z „KSIĄG PROROKÓW“

O to przeniósł Bóg w płomiennym krzaku:
Mojżeszu, słuchaj, mów synom Adama!
Jam jest jedyny wasz Bóg — jam Jehowa!
Jam stworzył niebo — i gwiazdy — i morze —
Narody — lasy — jagnięta i lwice,
I wszystko zlałem w jeden świat — jedyny!

Słuchajcie! w łańcuch związałem jedyny
Duszę powszechną, co rozkwita w krzaku,
Co lilie karmi — mnoży lwy i lwice —
Z Synaju wieńczy potomkom Adama,
W piorunach wyje — wstrząsa głębią morza:
Duszę i ciało w jedność zlał Jehowa!

Jedna jest Przestrzeń — jeden Bóg Jehowa —
I Czas w Przestrzeni i Bogu jedyny!
Jedna Potęga toczy się przez morza —
Jeden sok tryska w każdym leśnym krzaku —
Jedna krew tryska w potomkach Adama —
I jedna miłość grzeje matki — lwice!

Plazy — i ptaki niebieskie — i lwice
Z nikczemnych wywiódł robaków Jehowa
I najwyższego z robaków, Adama,
Na szczyt postawił: był to duch jedyny,
Co czytał Boga w płomienistym krzaku —
W purpurze słońca — i błekitach morza.

I wszystkie Czasu i Przestrzeni morza,
Rozanielenia dusz i ciała lwice,
I kwiaty dziejów na Przyrody krzaku,
Jako atomy jaźni swej — Jehowa
Rozlał z Eterów jedności jedynej
I rzucił w oczy zdziwione Adama.

Słuchajcież, syny zdziwione Adama,
Kochajcie duszę eterów i morza,

I baczcie, jako w jedności jedynej
W Edenie żyły jagnięta i lwice:
Te jedność stworzyć każe wam Jehowa,
I to wam rzecze w płomienistym krzaku.

W płomiennym krzaku — tak synom Adama
Mówił Jehowa! I milezały morza —
Milezały lwice. — Mówił Bóg Jedyny.

Jeden jest Allah, jeden jego Prorok.
Więc, gdy okryty skórą wielbłąda
Samotny dumał wśród arabskiej puszczy,
Allah zawołał na niego z niebiosów:
Idź, mój proroku, i nauczaj ludy,
Najwyższem prawem bytu jest: Konieczność!

Nad wszystkim władza niezmienna Konieczność.
Ostatni żebrak, czy najwyższy prorok,
Czy król, co władza nad mnogimi ludy,
Nie więcej mogą od psa lub wielbłąda
Wobec potęgi, co płynie z niebiosów
Ku ludnym miastom lub arabskiej puszczy.

Ani na morzu — w lesie — ni na puszczy —
Nie ujdiesz doli, którą ci Konieczność
Wyrokiem wiecznym nasyła z niebiosów.
Bez jej nakazu nie zrodzi się prorok,
Ni płakać będziesz swojego wielbłąda,
Ani do boju wstaną srogie ludy.

Gwiazdy — i stada bydłące — i ludy,
Które żeglują po morzach lub w puszczy
Śmiało wędrują na grzbiecie wielbłąda,
Mają nad sobą niezłomną Konieczność.
I żaden król ich — ani żaden prorok —
Nie zdoła zmienić wyroku niebiosów!

Niepokonana jest wola niebiosów!
Niechaj się przed nią upokorzą ludy:
Z niej to się rodzi nieśmiertelny prorok!
Każdą łzę ludzką, każdą palmę w puszczy —
Jako w rachunku cyfry — tak Konieczność
Zna — i oblicza każdy krok wielbłąda.

Przetoż, wędrując na grzbiecie wielbłąda,
Nie bacz, czy wieher huczy od niebiosów:
Bo, gdy tak każe niezłomna Konieczność,
Włos ci nie spadnie między złymi ludy,
Ani na morzu zginiesz ni wśród puszczy!
Tak mówił Allah — i słuchał go Prorok.

Więc powstał Prorok — wdział skórę wielbłąda,
I z dzikiej puszczy, słysząc głos niebiosów,
Szedł między ludy — głosić im Konieczność.

Śród ludu Sakjów żył król-wiecz Budda
W zamku rozkoszy. Mistyczne Agama
Rwało mu duszę na pustynne dżungle.
I, choć mu obcą była nędza świadomość,
Czuł w sobie wieczny przeistoczeń rozwój,
Rozwój wszechcierpień, których kres — Nirwana.

Wszystkie mu nędze dała znać Nirwana.
Więc rzucił zamek swój królewski Budda,
Bo poznał cierpień wiekuisty rozwój
I wyzwolenia od cierpień Agama.
Tak, wszystkim nędzy źródłem — nieświadomość!
Więc rzucił zamek — i poszedł na dżungle.

Zdusiwszy chcenie bytu, szedł na dżungle.
Poznania szukał. W sercu mu Nirwana
Poprzednich wcieleń zbudziła świadomość.
Pod cieniem figi jał rozmyślać Budda —
I oto święte zeszło weń Agama,
Jako wyzwoleń nieustanny rozwój.

Byty pcha w górę doskonałeń rozwój.
Słońca i globu formaeye — i dżungle
I ludzkie duchy i boskie Agama
Wiekami idą na szczyt, gdzie Nirwana
Lamie konieczność. Prawdę poznał Budda,
Że wyzwoleniem od żądz — jest świadomość.

Najwyższą wiarą jest prawdy świadomość.
Najwyższą prawdą — wieczny duchów rozwój,
Najwyższym duchem — był na ziemi Budda!
Zduś żądze ciała. Na zielone dżungle
Idź, jako Budda. Niechaj tam Nirwana
Oświeci w tobie twe Buddi-agama.

Prawdę niech w sercu twem zbudzi Agama,
Niech ci da nędzy powszechnej świadomość
I wielką litość. Niechaj cie Nirwana
Udoskonali. Twoich przemian rozwój
Niech się zatrzyma. Idź na puste dżungle.
Z rozmyślań twoich niech się stanie Budda.

Stanie się Budda! — Stanie się Agama,
W duchy i dżungle wlewając świadomość,
Że był to rozwój — i że kres — Nirwana*).

*) Agama — dążenie, objawienie, poznanie, religia. Stąd Buddi-Agama — dążenie do Buddy, religia B. — Dżungle — puszcze lesiste.

FRANCISZEK NOWICKI.

Ur. 29 Stycznia 1864 r. w Krakowie.

»Poezye« (1891).

DUNAJEC.

Tak myśl młoda, nim wzniesie do polotu skrzydła,
Wpierw rozsadza cieśń piersi burzą swych zapalów,
Jak stąd potok stopionych w pieczarze kryształów,
Syn gór dziki, wylata, rwąc skalne wędzidła.

I tak młodzian, gdy goni ulud malowidła,
Nie zna przeszkód na ścieżce swoich ideałów —
Jak on pędzi spieniony, dumną siłą szalów
Przez skaliste zapory i przepaści sidła.

Gdzie tak pędzisz, gór synu? co ścigasz za młodo?
Czy ci źle u twej skalnej piersi macierzystej?
Nie wrócisz!... tam zabłądzisz w bagniska bez brodu!

Gdzie gonisz, młoda myśli, po drodze gwiazdzistej?
Bramą marzeń wylatasz na świat rzeczywisty...
Wrócisz!... ach!... bez piór... cicha... i bramą zawodu.

KOSODRZEW.

Czy znacie wy pustyni tajemnicze głosy?
Szedłem przez kosodrzewu puszcę zgruchotaną
Głazami gór i śniegiem lawin pooraną,
A kosówki szumiały, bając swoje losy:

Wy! granitu ogromy, zwietrzałe kolosy!
Ciskajcie na nas złomy, falę wód zhukaną,
Zasypujecie śniegami — my idziemy ścianą
Na was zwolna, lecz ciągle — za nic ważyć ciosy.

Gdy my legniem w tym boju, tłum nizki i podły,
Z naszych prochów się zrodzą większych synów szyki,
Wielkie lasy — i będą nasz bój dalej wiodły.

I gryźć będą korzeniem waszych łon tajemnicy,
I szturmować wam szczyty pod naszymi godły,
Aż pogrzebią was, trupie przeszłości pomniki!

ORLICA.

Orkan ciągnie — i skrzydłem piorunowem zmiata
Górom czoła i w przepaść miota głazów deszcze;
W burzy, z łupem chwyconym w krwawych szponów kleszcze
Chmur żeglarka, orlica, przez góry przelata.

W gnieździe czeka ją rzesza piskląt nieskrzydłata,
Głodna, od wczoraj pewnie nie karmiona jeszcze.
Prędej! za nie te wichry i gromy złowieszczę!
Naprzód! Za nie ta burza, co grzmi koniec świata!

Kraje pierśią prąd wichrów — wtłacza sił ostatki —
W matki skrzydła — hej prędzej!... już ją turnie skryły...
Poleciała!... tam gniazdo, tam jej głodne dziatki.

Jakież krzyki z jej gardła w pustyni się wzbily!
Tam grom rozmiądzzył gniazdo z dziećmi orlej matki...
Nie słuchaj! ten krzyk ptasi lodem ścina żyły...

KOZICA.

Dziwny głos bólu, strachu, rozpaczny złowroziej,
Biegnie w skalnych ruinach, w praświata zwałisku...
To kozica, w żelaznym oklepcu uścisku,
Porusza skały jękiem śmierci wróżącej trwogi.

Wolna córa gór patrzy na łańcuch u nogi
Mętnem skazanki okiem, bez nadziei błysku,
I skargi dziwne, ludzkie, śle ku skał urwisku,
Rzekłbyś: to śpiew łabędzi po wolności drogiej.

Tam — po turniach jej stado rodzinne gdzieś goni...
Tam — swobodnym siostrzycom wiatr pieśń halną dzwoni...
Tam jej młode... bez piersi matki!... tęsknią do niej...

Coś brzmi w skalach!... To stado!... Niech stanie!... Niech czeka!
Nagle drgnęła — mgłą śmierci oko się powleka...
Tam... wynurza się z turni groźnie — cień człowieka...

ŚWIERK.

Łos go rzucił na skałę nieczulą a hardą,
Wśród kurhanów praczasu, wśród górskich rozłomów.
Ćwierć wieku ten świerk pośród śniegów, burz i gromów,
Prowadził bój rozpaczny o swą bytność twardą.

Gór tytany nań patrzą kamienną pogardą:
On, młodzieniec, żyjący pył, atom atomów,

Życie wszczepiać chce pośród ich martwych ogromów,
Ku słońcu dąży głową młodą, tęskną, hardą!

Darmo zimny glaz tuli w korzeni ramiona
I czepia się z rozpaczą piersi skał świerk miłody —
Gniewne góry wód orkan cisnęły nań z łona.

Bój zaciekle, lecz krótki z paszczą wścieklej wody...
Trzasnął świerk... upadł... fala go zmiata spieniona...
I drzemie znowu pusty nekropol przyrody.

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI.

Ur. 24 Stycznia 1864 r. w Rokitnicy (gub. Płocka).

»Poezye« (1891); Serya druga (1893); »Wybór poezyi (1899).

ORZEŁ.

Błądząc po czarnym, splekanym granicie,
Śród skamieniałej, wygasłej natury,
Ujrzałem orła wysoko u góry,
Co skrzydła zwinął na samotnym szczycie.

Ty głupi ptaku! Wciąż marzysz o świetle...
Odpasz twe skrzydła, pożegnaj lazury,
W dole puhaczów słyhać wrzask ponury,
Noc teraz włada! Bierz, co daje życie!

Orzeł zakrakal: Tam we mgłę spowity
Świat twoich dolin drzemie w noc dziejową
I ty w pomroce jego gubisz ręce.

Lecz wynijdź z nizin na strzeliste szczyty,
Ujrzysz, jak niebo jaśnieje na nowo,
Pochwycisz skrzydła, wzlecisz ku jutrzence!

GENIUSZ BURZY.

Huragan, uderzywszy dłonią zawieruchy
W pierś Bałtyku, rozbudził śpiącego olbrzyma.
On dzwiga grzbiet, do ryku pierś falistą wzdyma.
Pozrywał gór nadbrzeżnych skaliste łańcuchy —

Na ład bieży przez wylom w ścianie ziemi kruchej.
Rybacy, głębie mierząc, pytają oczyma:
Czy już odwiecznych granie wód i łądów niema?
Niema! ryczą topole, dmą wichru podmuchy.

Wre bój, hasło natury. — Tak ludzkość uśpioną,
Ziewającą na falach sobkostwa i nudy
Budzi orkan stulecia ramieniem zawiei,

Burzą nieznanych pragnień zamaci jej łono,
Rozprzestrzeni granice cyklopimi trudy
I wydźwignie z łożyska potęgą idei!

NA WÓZKU.

Drogą bitą wózek leci,
Huczą koła, trzaska bat,
Wkoło szumi morze kwieci,
Księżyc srebrzy nocny świat.
A na wózku wśród zadumy
Śni podróżny ciemne sny,
Czołem suną myśli tłumy
A łąkami suną mgły.

— Hej, koniku, leć z kopyta,
Musim jechać wiele lat!
Jeszcze długo, nim zaświta,
Jeszcze wkoło nocy świat.

Konik parska, wózek leci,
Mgieł zasłony kryją błoi.
Już światelko blade świeci,
To gospoda... Zarżał koń.
Próżno konik rży do siana
A podróżny bije w drzwi:
Nie dostaną nic do rana,
Wszak to północ — wszystko śpi.

— Hej, koniku, któż ich zbadzi?
Musim jechać wiele lat,
Nim znajdziemy żywych ludzi,
Nim powstanie ze snu świat.

Konik leci, piany ciska.
Ha, tam szumi wianek brzóz,
Luna bije od ogniska —
Przed obozem staje wóz.
Tłum postaci w płas pomyka,
Tłum oblany krwawą mgłą,
Biesiaduje banda dzika,
Huczą śpiewy, dzwoni szkło.

— Zostań z nami, pij ze dzbana,
My obdarli śpiący świat,
Przechulamy noc do rana
A noc potrwa wiele lat!

Hej, koniku, nie żal znoju,
Byle prędzej ujrzeć dzień,
Noc sobkostwa i rozboju
Tu posepny rzuca cień.
Blaknie trupia twarz miesiąca,
Ha, mknie wózek! trzaska bat!
Mgieł obrazy wiatr zamaca...
Taka droga — taki świat.

FRAGMENT.

Dawno nam z czoła czei wieniec spadł—
 Drżącemi szeptacie usta.
 Wesolo, bracia! Dziś cały świat
 Szaleje w tańcu rozpusty...

Naco nam, bracia, ta dumna cześć,
 Co czoło liściem ocienia?
 Naco nam, bracia, czei brzemień nieść
 Po stromej ścieżce spodlenia?!

NUREK.

Szuka pereł, w toń skoczył, zwarły się fal wrota...
 Tam rekin nie wytrzebi żeglarza mogily,
 Lecz on ma pierś trytona! — Wysilkim lwiej siły
 Chwycił na dnie, wypłynął... To była garść błota!

Odetchnął... W górze słońce lśni w strumieniach złota,
 On wraca na dno... Fale grzbiety nad nim zbily...
 Bój toczy z własną pierśią... Palce w muł się wpily...
 Szuka... za nim śmierć pęza... Tu cmentarz żywota!

Ha, tehu znówu nie stalo!... Z fali postać blada
 Wypływa, chwyta oddech, bez sił się szamota...
 Cóż to? Znów się zanurza w obłędzie pośpiechu?...

Rzekłbyś—to wieszcz, co wiecznie w głąb narodu spada,
 A chcąc cząstkę najlepszą wydobyć z pod błota,
 Wypływa—lecz jak tryton—tylko dla oddechu!—

Z „LIRYK“.

I.

Gra trąbka do boju, ach, dziwny to bój!
 Huk bębnow i kotłów dolata!
 Na koniach wojaków przemyka się rój!
 Ach, dziwni żołnierze, ach, dziwny to bój!

Dowódca na przedzie ma lica jak maj
 I śmieje się jeno do świata,
 Już przebiegł raz jeden i drugi przez kraj.
 Ach, dziwny dowódca, ach, dziwny to kraj!

Miał wszelkich orderów na piersi pęk róż,
 Pęk bluszczów u siodła bachmata,
 A sztandar ma szyty ze świtów i zór,
 Jak sen on przebiega wśród łąk i zbóż!

Wybiegły dziewczyny i patrzą hen w dal
 Na wojsko, jak z śpiewem przelata,
 A serce im ścisła tęsknota i żal...
 Ach, dziwna tęsknota, ach, dziwny to żal!

II.

Od wsi do wsi idzie bieda
 A przytulku któż jej nie da?
 Choć ją z dworów wyszturchali,
 Bieda sobie u nas chwali.

Bo chłop czeka ją przed progiem
 I powita Panem Bogiem,
 Ugościwszy należycie,
 Ofiaruje własne życie...

Różnie w świecie jest niekiedy,
 Ale nikt tak nie czei biedy,

Nikt się o nią nie postara,
Jak ta nasza chłopska wiara!

Leje deszcz, dmie zawierucha,
Bieda idąc w palce dmucha,
Moknie, ziębnie, lezie dalej,
Ale sobie u nas chwali.

III.

Tam na falach, wśród szumu, w noc czarna,
Twoje oko ma gwiazdą polarną,
A gdy burza głąb serca poruszy,
Twoja dusza przystania mej duszy.

Choć grzmi niebo i gromy swe miota
I łódź nieraz wśród fal się zanurzy,
Nie zlorzeczę odmetom żywota,
Nie zlorzeczę ni wichrom, ni burzy!

Nie zlorzeczę, że łódź ma rozbita
Już pod fali pogrąża się wiekiem,
Ach, bo serce kochając nie pyta,
Czy trwa szczęście, czy igra z człowiekiem!

IV.

Spoczynek! Spoczynek!
Już wieczór wśród pól
I gasi cieniami
Słoneczny dnia ból!

Niech człowiek myśl zamknie,
Jak koncha swój kwiat,
Gdy dzieło skończone,
Gdy rzucił je w świat!

Ach, długo w mozołe
Kołatał się duch,
Z mgieł dźwigał zrab gmachów
I w metal kuł puch.

Niech teraz swe skrzydła
Układa do snu.
Sza, świecie! Spoczynku
I ciszy dać mu!

Nim znowu myśl wrząca
Ukuje słów grot
I z grotem do słońca
Rozwinie swój lot!

Z cyklu „PODZIEMIA“.

RZKA PODZIEMNA.

Czy słyszysz tam w dali huk rzeki podziemnej?
Patrz! Ona w pieczarach ujęta,
Jak lwica, przebiega podziemia świat ciemny,
Łeb wznosi i poryk wydaje tajemny,
Chcąc przegryźć kamienne swe pęta.

Stalowe pijawki u wodnej gardzieli
Ssą żywioł, pulsują wentyle,
Ssą wody nieznaną, ukrytej topieli,
A wody wciąż rosną w swej skalnej gardzieli.
Ach, skąd ich tam bierze się tyle!

Pulsują wentyle i słychać syk pary,
Wre ciągle bój z wodnym żywiołem.

Przy blasku latarki patrz w głębię pieczary:
Czy widzisz, jak gryzie skaliste filary,
Jak kraży, jak czał się kołem?

Jak lwica, pierś wzdyma, ryknęła, szaleje,
Wre, bryzga pianami białymi.
Za chwilę, swobodna, chodniki zaleje,
Stuletnie krużganki, bogactwa, nadzieje
I szybem wybuchnie z podziemi!

Zatopi świat fabryk ta lwica, ta rzeka,
Rozpedzi tłum kupców dokoła
I rykiem ogłosi po polach zdaleka
Swobodę żywiołów z niewoli człowieka,
Co jarzmił posępne ich czoła.

NOWY CHODNIK.

W kamiennym chodniku pięć lampek się pali
I pięciu górników widnieje.
Śród ciszy przewierca opokę zab stali
I glucho tam obuch o twardy głaz wali,
Co chwila stal pryska, dłoń mdleje.

Wtem cisza—i światła pogasły... W chodniku
Dym zawiął, zatrzęsły się ściany,
Zatrzęsły opoki i glazy od ryku,
Od ryku wybuchów w kamiennym chodniku,
Pierś dławia duszące tumany.

Po chwili śród dymu znów lampki drżą w dali,
Znów cienie tam widać człowiecze
I znowu cierpliwie świdruje zab stali
I glucho znów obuch o twardy głaz wali,
Stal pryska, dłoń mdleje, znój ciecze.

Ty twarda opoko! O stali ty krucha!
Jak długo potrzeba kuć drogę,
By tedy przejść mogła promienna otucha
W świat grozy, gdzie mina za miną wybucha,
Gdzie losy, gdzie życie tak wrogie!

O krucha ty stali! O twarda opoko!
Ach, nieraz dłoń jeszcze omdleje,
Kuć jeszcze potrzeba daleko, głęboko,
Nim runiesz, o ludzkich praw twarda opoko,
Nim nowe cię zwałą idee.

JÓZEF JANKOWSKI.

Ur. r. 1865 w Wiśniewie (gub. Siedlecka).

Staccato (1892); »Rytmy i rymy« (1897); »Z seryi liryczne« (1900).

Z „SONETÓW MAŁYCH“.

JESIENIĄ.

I.

Po morzu liści
W złotej pożodze,
Jak ci psalmiści,
Za duchem brodzie...

I co się w drodze
Innym nie iści,
To ja, złociściej
Rojąc, znachodzę.

Cudna jesieni!
Przedśmiertna zorzol...
Nad blask promieni,
Nad wiosnę hożą
Ciebie przelożą —
Jak ja — stęsknieni.

II.

Przez obszar złoty
Cichego rżyska,
Gdzie słońce grotty
Pieszczące ciska, —

Przez te siedliska
Niemej tęsknoty,
Pod twe namioty
Idę, o blizka!...

I jak po boju
Żołnierz sterany,
W twoje ramiona
Odnoszę rany,
Błogosławiona
Cisza pokoju!...

ZE „ZWROTEK“.

Pani! herby masz, tytuły —
Twoi goście i poddani,
Jak dzień długi, mówią tobie:
Jasna pani! jasnej pani!...

Więc i ja choć do tytułów
Przekonania nie mam wiele,
Tytułować będę ciebie:
Najjaśniejszy mój aniele!

*

Perłę zgubiło dziewczę swawolne,
Więc płacze rzewnie po niej,
I szuka wszędzie, i z modrych oczu
Za lezką lezkę roni.

Dzieweczyno moja! to widzę, głowę
Straciłaś w tym kłopotcie:
Perelki jednej szukasz małejkiej,
A gubisz — perel krocie.

*

Aniola posłał Pan na ziemię,
By zbałał ocznie sam,
Czy miłość kwitnie między ludźmi
I czy jest szczęście tam.

I gdy przed Pana wrócił jasny,
Spełniwszy zleceń kres,
Bez słowa zakrył twarz skrzydłami
I spłynął w potok łez.

LEOPOLD BLUMENTAL.

(Leo Belmont).

Ur. 8 Marca 1865 r. w Warszawie.

»Rymy i rytmy«, 3 tomy (1900).

NA MARGINESIE.

Na najstraszniejszą skazano nędzę
Dumnego ducha, co w górę rwie się;
Los mnie zapisał w życiowej księdze
Na marginesie.

Gdy swym porywom chcę czynić zadość,
Coś mnie odpycha zuchwałym gestem,
Usuwa na bok i w próżnię niesie:
Tam, gdzie ból wielki, gdzie wielka radość, —
Nigdy wśród tekstu, lecz zawsze jestem —
Na marginesie.

Pomnę, raz jeden żywiłem wiarę,
Że nad młodzieńców góruję rojem,
Gdy ona, uczuć biorąc ofiarę,
Słodkich mi słówek rzuciła parę, —
Lecz się rozstałem prędko z spokojem
I przy mym zwykłym stanąłem kresie:
Bo zapisała mnie w sercu swoim —
Na marginesie.

Parnas mnie wabił, szedłem pod górę,
 O listku lauru marząc gorąco...
 A wiem, że w skalną upadnę dziurę,
 Gdzieś w zapomnienia przepaść milczącą,—
 Albo mi krytyk wysmaga skórę,
 Na ostrzu stalki w przyszłość poniesie
 I w księgę sławy wpisze mnie drwiąco
 Na marginesie.

Oto mi dola: schodzić na stronę,
 Lub nieść bezpłodnie swej pracy skrętność...
 Z drzewa nadziei listki stracone,
 Złamane serce, plany zniszczone,
 I spopielona na nic namiętność...
 Lekceważenie i obojętność,
 Prześladowanie w życiowym lesie...
 I jedna przystań—miejsce wzgardzone
 Na marginesie.

Więc będąc jeszcze woli swej panem,
 Śród takiej troski przeszedłbym oto
 Sam za margines życia z ochotą:
 Śmierć-by mi była złem pożądanem!
 Lecz samobójców grób pod parkanem...
 Na całą wieczność jużbyś, grabarzu,
 Kazał mi zostać przy zwykłym kresie!
 Musiałbym leżeć tam na cmentarzu —
 Na marginesie.

ANALIZA.

Ach, ta myśl! ach, zbójceka ta myśl
 W każdą duszy szczelinę się wgryza,—
 Choć najgłębszy ogarnia mnie szal,
 Czuje ją — ona tuż! — analiza!

Często miłość, lub boleść, lub gniew,
 Gorącemi strofami ja kreślę,—
 Przecie własny nie wzrusza mnie śpiew:
 Nawet sercem, ach, sercem ja myślę!

ZŁY PATRYOTA — FILISTER.

jak harfy Eolskie...
 Żadne żaby tak pięknie
 [nie grają, jak polskie.
 „Pan Tadeusz“.

Stałem długo, stałem jakby gap,
 Zapatrzony... w co? — w przydrożne błoto!
 Zasluchany... w co? — w skrzeczenie żab!
 Zrozpaczony... żem złym patryotą!

Nie odkryłem, aby gorszy głos
 Miały żaby niemieckie od polskich,
 A nadomiar — to filistra los! —
 Nie słyszałem żadnych harf Eolskich!

Brzydkie błoto... brzydkie żabi skrzek...
 A najbrzydziej... chyba w mojej duszy!
 Świat jest piękny w każdym pyłku swym:
 Mickiewicza miej oczy i uszy!

ROMANS BEZ ROMANSU.

(Heksametr).

Troje siedziało nas razem, powszednią rozmową zajętych.
 On się oddalił na chwilę, w pokoju zostało nas dwoje.
 Z chwili tej chciałem skorzystać i zdobyć świadectwo wy-
 [mowne,

Że ty kochać mnie możesz! — zrzęcnego użyłem fortelu:
 Nie za rękę Cię wzięłem, — to byłoby nazbyt zuchwale!
 Nie rzuciłem spojrzenia, ni znaczącego wyrazu:
 W domu jego okrutnych praw jego dotknąć nie chciałem!
 Zresztą na straży tych praw Twe czyste sumienie czuwało...
 Cóż uczynilem nareszcie? — O, chyba, że nikt nie odgadnie:
 Tylko rozmowę przerwałem, — i nagle nastąpiło milczenie.
 Wnet purpurowy rumieniec zabarwił Twą białą twarzyczkę;
 Nagłem milczeniem zmieszana, spuściłaś swe oczy ku ziemi,
 Boś nieświadomie poczuła, że w cichej a dziwnej tej chwili
 Coś przeleciało w powietrzu tuż ponad naszymi głowami:
 Amor figlarny przefrunął, i skrył się, nim mąż Twój powrócił

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

Ur. 12 lutego 1855 r. w Ludzimierzu (powiat Nowotarski), w Galicyi.

»Illa« poemat (1887); »Allegorya« (1888); »Poczye« I (1891); »Poczye« II (1894);
 »Wybór poczye« (1896); »Poczye« III (1898); »Poczye« IV (1902).

Z PRELUDYÓW.

I.

Ku mej kolysee leciał od Tatr
 O skrzydła orle otarty wiatr,
 O limby, co się patrzą w urwisko —
 Leciał i szumiał nad mą kolyską.

I w serce moje na zawsze wlał
 Tęsknot do orlej swobody szal,
 I tę zadumę limb, co się cisza
 Wielką objęte w pustce kolyszą.

II.

Po szerokim, po szerokim morzu
 Płynie okręt z kotwicą urwaną,
 Wiatr go pędzi coraz dalej, dalej,
 W przestrzeń pustą, chmurna, ołowianą.

Po szerokim, po szerokim morzu
 Nie do brzegu ty plyniesz, okręcie,

O podwodną gdzieś uderzysz skałę
I bez śladu przepadniesz w odmęcie.

III.

Stokroć jest drzewu skazanemu lepiej,
Jeśli je piorun odrazu rozzczepi,
Niż kiedy czerw mu wśliźnie się pod korę,
I zwolna drzewo schnie i ginie chore.

I ludziom lepiej, jeżeli zwycięsko
Losy ich zmoga jedną wielką klęską,
Niż jeśli codzień po kropli im bryzną
W żyły powolną, lecz pewną trucizną.

EVVIVA L'ARTE!

Evviva l'arte! Człowiek zginąć musi—
Cóż, kto pieniędzy nie ma, jest paryasem,
Nędza porywa za gardło i dusi...
Zginać, to zginać, jak pies, a tymczasem,
Choć życie nasze splunęcia nie warte:
Evviva l'arte!

Evviva l'arte! Niechaj pasie brzuchy
Nędzny filistrów naród! My artyści,
My, którym często na chleb braknie suchy,
My, do jesiennych tak podobni liści,
I tak wykrzyknem: Gdy wszystko nie warte,
Evviva l'arte!

Evviva l'arte! Duma naszym bogiem,
Sława nam słońcem, nam, królom bez ziemi!
Możemy z głodu skonać gdzieś pod progiem,
Ale jak orły z skrzydły złamanymi.
Więc naprzód! Cóż jest prócz sławy coś warte?
Evviva l'arte!

Evviva l'arte! W piersiach naszych płoną
Ogień przez Boga samego włożone:
Więc patrzym na tłum z głową podniesioną,
Laurów za złotą nie damy koronę,
I chociaż życie nasze nie nie warte:
Evviva l'arte!

NA KRÓLEWSKIM JEZIORZE.

Po Królewskim jeziorze samotny płynąłem.
Łódka, pędzona wiosłem, chyżo naprzód biegła.
Wokół lasów i urwisk pustynia rozległa,
Pode mną bezdeń wody, granity nad czołem.

Czarna, bezdenna woda, wiatrem kołysana,
Dziko szemrze i jęczy. Skalne krzesanice
Wpadają w nią i toną, rwąc w odmet żrenice,
Które odtrąca twarda, prostopadła ściana.

Dziwna, ponura czarność tej ogromnej wody,
A ponadę mną, w bezmiar wyniesiona szczytem,
Góra śniegu, pochmurnym owiana błękitem,
Pochylona, olbrzymia — Bogu z nieba schody.

W wązkim skalnym zakręcie łódź wstrzymuje: głusza...
Taka cisza, jak gdyby nie było istnienia...
Las, góry, woda, śniegi i bezbrzeż milczenia...
Czy to jezioro? Czy to moja własna dusza?

Jestem?! Czyli w otchłanie wpłynął własnej duszy?!
Jakie góry olbrzymie... Jaki las samotny...
Jaka gra chmur i słońca w wyżynie zawrotnej...
A wszystko w jakiejś wielkiej pogrążone głuszy...

Dusza ludzka zjawiona w całej pełni swojej!
Nieznana mi, tajemna — patrzę się w podziwie...

Jaka ogromna! Jaka bezdenna straszliwie!
Jak w głąb się zlewa... W niebie jak wysoko stoi

Jestże to dusza moja? ludzka? w ludzkim ciełe?
Tyle załomów, kotlin, szczytów? przestrzeń taka?!
Jestże to dusza ludzka, z tą duszą jednaka,
Która się mieści w domu, w rynku i w kościele?!

O nie! Oto zjawisko cudowne, olbrzymie!
Potworne swą wielkością, straszliwe swą siłą!
Tysiąc wieków ją z warstew tysiąca tworzyło!
To dusza ludzka? ludzka? Te turnie w chmur dymie?

Ha! Ozwijże się głosem godnym swojej mocy,
Duszo ludzka, ty dumna, ty wielka, ty górna!
Otwarta... słońcu; cicha... jak popiołów urna;
Wielka... jak świat; tajemna... jak las o północy.

Stoję przed tobą, jako przed olbrzymim tumem,
W który lękam się wstąpić — zginę tam, przypadnę...
Mózg mój wstecz się potoczył, zmysły me bezwładne...
Milcz, na Boga! Zabilabyś słów swoich szumem!

Jeden On z tobą może mówić, słuchać ciebie,
O duszo ludzka w prawdzie i w jawie widziana...
Za wielka! Otczłań w tobie, otczłań nieprzejrzana,
Mieszcząca wszystko, co jest na ziemi i w niebie.

WIDZIAŁO.

W ponurą rozpostarte dal
Północne szumi morze,
Wśród mgły ciągnących z wichrem fal
Dźwięk rogu grzmi w przestworze.

Z posępnych głusz, z odmetów mgły
Gdzie odpoczywa burza
I grom wśród chmur wiszący drży,
Widziadło się wynurza.

W samotnej łodzi, którą fal
Kołyszą metne piany,
Wypływa rycerz, w czarną stal
Od stóp do głów skowany.

Na helmie pęk ma czarnych piór,
Miecz mu pod ręką leży,
Płynie, jak chmura pośród chmur,
Jak piorun, nim uderzy.

Do ust przykłada długi róg.
Dech z piersi czerpie wzdętej
I grzmi, jak burz północnych bóg,
Na mgły i wód odmetry.

Fale zawichrza rogu dźwięk
Ponury i rozległy,
Zda się, w ogromny wichry pęk
W gardło się rogu zbiegły.

Fale się macą, przestwór drży,
Sklep nieba, zda się, runie —
On nieruchomy, płynąc, grzmi
Na rogu swym piorunie.

Wstrząsa ład cały wszecz i wzdłuż
I głębiej móż bezdenna,
I ginie, trąbiąc pośród głusz
Ponurą pieśń wojenną.

I długo jeszcze rogu dźwięk
Przez wód przelata puszcze,

I wśród mgły słyhać wichrów jęk
I morze głucho pluszcze.

NA MORZU POLARNEM.

Śnieg rozciągnięty w przestrzeń pustą, nieskończoną,
Skrzy w słońcu i tysiącnym odbłaskiem się mieni,
Jakby rozprysł się po nim pył z drógich kamieni,
W którym rozżarzonego skry metalu płoną.

Białe niedźwiedź powolnym, ciężkim idzie krokiem.
Błyszcząc jasno; cień za nim ciemny, długi sumie —
Idzie ku słońcu świetnie odstrzelonej lunie
Od gór lodowych, widnych hen pod nieba stokiem.

Tu bliżej czyliż jodły wzrosły w śnieżnej bieli,
A miast gałęzi sople zwisły im błyszczące
Z konarów?... U stóp jodeł ludzie, patrzą w słońce,
Ale tak nieruchomi są, jakby posnęli...

To nie jodły, to maszty obmarzłe korwety,
Co pruć nie mogła ściętej w lód dokoła fali;
Ci ludzie na pokładzie nie śpią, lecz skostniali
Padli tam, zda się skórą pokryte szkielety...

Pootulane w futrach osrebrzonych szronem
Sztynne posągi, twardem dłotem śmierci kute —
Snać opuścili groźną, bezchlebną kajutę,
By patrzeć, czy lód taje pod niebem zognionem?

Cisza i spokój śmierci... Od wschodu, z ukosa,
Ogromne słońce, świecąc straszliwie jaskrawo,
Na śniegi i na okręt bucha blasków lawą
I płomienistą lunę wlecze przez niebiosą.

Z EXODUS.

(Rozdział XVII).

Onego czasu
Wyruszył był Amalek z hufcami mnogimi
Wśród trąb grzmotu i mieczów chrzęstnego hałasu,
Izraelowi czynić wstępną w rafidzkiej ziemi.

A gdy wkroczył przez pola pyszny i zuchwały,
W miecące ognie zbroi, na czele tysięcy:
Ziemia drżała i drzewa korony schylały,
A na ród Izraela padł przestrach jagnięcy.

Wówczas do Jozuego rzekł Mojżesz: A oto
Wybierz męża i wynijdź w pole przeciw temu;
Przez ręce moje, ręce Pana ich wygniotą,
Bo jest Pan na niebiesiech mocny, ufaj Jemu.

Oto jutro o brzasku dnia wstąpię na wzgórze,
W ręce mojej od Boga daną łaskę dzierżąc,
I mur Amalekowej mocy na szczęt zburzę,
Bo jest Pan na niebiesiech. Więc idź, Jemu wierząc.

Tak rzekł. I szedł Jozue precz i wybrał męża,
A przez noc całą ognie świeciły z stron obu,
I chrzęst czyniły groźny ostrzone oręże,
A w górze na niebiosach była cisza grobu.

A gdy rano zabłysła zorza i na trawy
Cień rozpoczęły rzucać palm liście zwieszane,
Przy grzmocie trąb ruszyły wojowników lawy
Bić mieczem o pancerze, jak młotem o brone.

Zaś Mojżesz szedł na wzgórze, po oboim boku
Mając za towarzyszków Hura z Aaronem.
Stał i spojrzal, kędy krwiożercemu smoku
Równie walczył Jozue żelazem czerwonym.

I podniósł Mojżesz rękę, a wraz, zbywszy męstwa,
Cofnął się wstecz Amalek, dając Panu chwałę,
Jak się łódź cofa, gdy go leśna wstrzyma gęstwa,
Podobny strumieniowi, co napotka skałę.

A gdy opadła ręka Mojżesza — jak kłosy
Wiatr w tył zgina, podobny orłowi z błękitów,
Groźącemu jagniętom owcy krętowłosej:
Amalek król wstecz hufce parł Izraelitów.

Ale ręce Mojżesza opadły, więc ona
Para mężów, Aaron i Hur, kamień spory
Wziawszy, podłożył podęć i siadł, a ramiona
Oparłszy na ich barkach podźwignął do góry.

I stali po oboim Mojżeszowym boku
Hur i Aaron, a zaś u stóp ich, na dole,
Walczył Jozue, równie krwiożerczemu smoku,
Kiteł helmu na wichrów rozpuściwszy wole.

I gdy blask szedł po mieczów skrwawionych tysiącu,
I migaly na zbrojach łskliwe błyskawice:
Mojżesz, jako słup biały, stał na wzgórzu w słońcu,
Topiąc w błękitnem niebie natchnione źrenice.

I widział tam twarz Pańską, podobną czerwono
Świejącemu się słońcu, jak żar, gdy przestworza
Schną w ogniu huraganów, gdy okręty tona
I ryczącemu niebu wtóruje ryk morza.

I widział tam twarz Pańską, podobną do grzmotu
Wiszącego w obłokach i do oceanu
Groźącego burzami i podobną złotu,
Co weseli ubogie, i wodom Jordanu —

Umilowanym wodom wielkiej świętej rzeki,
Płynącej gdzieś w odległej obiecaniej ziemi,
Wśród palm sennych i cichych, chroniących od spicki,
I kwiatów woniejących woniami cudnemi.

Patrzył w twarz Pańską, skrytą, a jemu widzialną,
I drżał, jakby ogniste gromu pióropusze
Wisiały mu nad głową, a wraz tryumfalną
Czuł moc, przenikającą całą jego duszę.

I czuł, jak w duszy jego przez wzniesione ręce
Idzie dreszcz o kłach białych i strach krwawooki
I lęk, lodowych węzłów ciskający wieńce,
W Amaleka czerwone hufce od pośoki.

A nie ustaly ręce Mojżesza od trudu,
Aż do zachodu słońca, gdy nieprzyjaciół
Jozue, wódz zwycięski wybranego ludu,
Gnał przed sobą, jak powódź gna stępem bawoły.

WĘDROWCY.

Przez ogród idą pełen cudnych kwiatów,
Na piersi twarzy zadumane klonią,
Nie upajają się czarowną wonią,
Ani wieńcami stroją się szkarłatów.

Pojmują rozkosz barw i aromatów,
Nęci ich ona, lecz nie sięgną po nią;
Chwytają ciernie pokrwawioną dłońią
I liczą ślady bolesnych stygmatów.

A przed bramami stanawszy ogrodu,
Rzekną: „Otośmy, zaufani w słowie,
Droge żywota przecierpieli całą,

Wściekłego naszych żądź nie sycąc głodu —
Otoecz nas nagród obiecanych chwałą,
Panie!...“ Lecz jeśli nikt im nie odpowie?...

ORZEŁ.

Splynał wolno przez ciche powietrzne ogromy,
Usiadł na skale, złożył skrzydła ciemno-płowe,
Pierś odął, dziób podnosząc, wcisnął w barki głowę,
I siedział zadumany, wielki, nieruchomy.

Patrzył w dół, świat mu w okrag legł u stóp widomy,
Patrzył, a jego oczy w skrach błyskawicowe
Tęść całej orlej duszy miały i wymowę:
Patrzył spokojny, zimny na świata poziomy.

Tam—mógłby wulkan ziemię w nie obrócić całą,
Jemu-by jedno pióro w skrzydłach nie zadrgało —
I wiesz ty, wichroskrzydły podśloneczny ptaku,

Siedzący tam bez ruchu na tej skale twardej,
Czegoś więcej zazdrościsz, niż twych lotów szlaku?
Oto prawa do zimnej, spokojnej pogardy!

W KAPLICY SYKSTYŃSKIEJ.

Ta ściana cała ryczy, jak bawół zraniony!
Ten Chrystus tam, jak piorun, z cyklopa ramiony,
Ta trupia głowa pełna boleści i jęku,
Ten szturm kłatew, rozpaczy, wściekłości i jęku,
Farba zmieniona w kamień, pędzel w dło, siła,
Co, zda się, góry pięścią na miał-by kruszyła:
Źrenice głuche patrzą z pod skostniałych powiek —
Wulkan to chyba z siebie wyrzucił, nie człowiek.

APOLLO.

Gdzie świat mój dawny? Gdzie muzy moje?
Gdzie Nimfy i Najady?

Przez martwe gaje, nad martwe zdroje
Nocami błędę blady.

Moc, co budziła miłość i trwogę,
Fatum mi z rąk wydarło,

A bezsilnemu zagradza drogę

W krainę isć umarłą.

Szczęśliwe bogi, co moc straciwszy

Przybrały cieniów postać —

Lecz ja, ze wszystkich najniezwyklejszy,

Musiałem tutaj zostać —

I wspominając mą lutnię złotą

I łuku mego celność,

Ze znicestwienia próżną tęsknotą

Przeklinam nieśmiertelność.

WSZECHMOCNY BÓG.

Wokoło mej głowy światy. Sam z siebie je tworzę,
I sam w sobie je niszcę. Nieskończoność, wieczność
Stworzyłem. Rozkazałem — i wstała konieczność,
By okuć wszechistnienie w wieczystą obrozę.

Zechcę i drzwi nicości istnieniu otworzę,
Drżą światy, mojej woli widząc obosieczność
I czując dwóch idei nieustanną sprzeczność,
Z których żadna dotychczas zwyciężyć nie może.

Lecz gdy zechcę, zwycięży ta, co niepojęta,
Od wieków trwoży światy: idea niebytu,
I tylko sam zostanę, moc nieogarnięta.

Błade cienie, posepne, nikłe mary mytu,
Kupią się niezliczoną chmurą pod me nogi:
Depeć je w mej olbrzymiej chwale — to są bogi.

CHRYSTUS I MAGDALENA.

(Do obrazu Edelfelta „Christ et Madeleine”).

Błękitne mgły pajeczne
Owiałły drzewa śpiące,
Po siwych wodach tęcze
Włóczyło złote słońce.

Słoneczne zamyślenie
Świat owładnęło cały,
Gdy Maryi Magdalenie
Zjawił się Zmartwychwstały.

Zgięła ją cześć i trwoga,
Żalłość ścisnęła lono —
A on szedł tam do Boga,
W dal senną, nieskończoną.

W błękitne mgły przejrzyste
Szedł biały w blaskach słońca,
A ona szeptać: Chryste!...
Patrzała nań klęcząca.

Z „ZAMYŚLEŃ”.

Zdaje mi się, że z głową na piersi schyloną
Pójdzie za moją trumną pierwszy raz mnie blizka,
Nieznana mi z oblicza, nieznana z nazwiska,
Nieprzeczuwana nawet pod widzeń osłoną.

Pójdzie, sama nie wiedząc, czemu drży jej lono,
Czemu się do jej oczu paląca lza wciska,
Czemu na moją trumnę chce patrzeć tak zbliżka,
Czemu jej usta drgają, czemu skronie płoną?

Pójdzie, sama nie wiedząc, czemu po mnie płacze,
I czemu jest zazdrosna o mnie tam, w tej trumnie,
I czemu smutna, że jej nigdy nie zobacze?...

To będzie ta kobieta, którą mnie przeznaczył
Los, ale ją zapóźno przyprowadził ku mnie,
A w pierw szczęście me zdeptał, życie moje spaczył.

ZACISZA.

Są te zacisza, gdzie dusza omdlewa
W jakimś przedziwnie słodkiem upojeniu;
Gdzie plamy słońca kładą się na cieniu,
Jak złote wyspy na mórz ciemnej toni,
Gdzie czasem cicho przelatuje mewa,
Lub słowik z krzewów różanych zadzwoni.

Są te zacisza, gdzie się dwa oddechy,
Jak dwa gorące płomienie słoneczne,
Łączą ze sobą, gdzie się w gardła mleczne
Wpija pragnące usta rozpalone,
Gdzie roztapiają się w niemoc uśmiechy,
I z biodr i piersi zrywa się zasłone.

Są pocałunki, które serca drgnienia
Tamują w piersi odetchnąć niezdolnej,
Rozkosz rozkoszy odczuwania wspólnej,
Najwyższa z wszystkich, co z śmiercią graniczy
Są nieskończone zmysłów upojenia,
Bezdnie pożądań, bezkresy słodyczy.

Są półdziecinnej natechnienia pieczyoty,
Drgnienia w powietrzu ciche i płochliwe,
Jakby z za modro-srebrnych mgieł wstydlive,
Półwidne lice jawiło się Psychy,

Z przejrzystym różem tłumionej tęsknoty,
Z zdjętymi z jasných błękitów uśmiechy.

Są wyszukanej rozkoszy porywy,
Wizye gwałcące naturę, męczeństwa
Przewzbranych pragnień, niesytu szaleństwa
Wśród szalu żądz okrucieństw popędy,
Jakieś pieszczoty nieludzkiej, straszliwej,
Pożądań wściekle spienione obłądy.

Są te zacisza, gdzie słońca promienie
Trącają kwiatów tęczowe kielichy,
A z kwiatów w przestwór zamyślony, cichy,
Woń się unosi falującym wzlotem,
Niosąca, zda się, listeczków dzwonienie,
Trąconych blasku słonecznego złotem.

Są te zacisza, skąd w modre błękity
Żrenie omdlałych spojrzenia się wznoszą,
Gdzie się upaja do sytu rozkosza,
Wspomnień zachwytem, wyczerpań niemocą —
Gdzie całą słodycz wysawszy z kobiety,
Przed śmierci nie drży się wstającą nocą.

NA ANIOŁ PAŃSKI.

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

W wieczornym mroku we mgle szarej,
Idzie przez łąki i moczary,
Po trzęsawiskach i rozlogach,
Po zapomnianych dawno drogach,

Zaduma polna, osmętница...
Idzie po polach, smutek sieje,
Jako szron biały do księżycy...
Na wód topiele i rozchwieje,
Na omroczone śpiące gaje,
Cięż, zasepienie od niej wieje,
Wlócza się za nią żal, tęsknica...
Hen, na cmentarzu ciemnym staje,
Na grób dziewczyny młodej siada,
W świat się od grobu patrzy błada...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Na wodę ciche cienie schodzą,
Tumany się po wydmach wodzą,
A rzeka szemrze, płynie w mrokach,
Płynie i płynie coraz dalej...
A coś w niej wzdycha, coś zawodzi,
Coś się w niej skarży, coś tak żali...
Płynie i płynie, aż gdzieś ginie,
Traci się w górach i w obłokach,
I już nie wraca nigdy fala,
Co taka smutna stąd odchodzi...
Przepada kędyś w mójz głębinie
I już nie wraca nigdy zdala...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Szare się dymy wolno wleka
Nad ciemne dachy, kryte słoma —

Wleką się, snują gdzieś daleko,
Zawisną chwilę nieruchomo
I giną w pustem gdzieś przestworzu...
Może za rzezną płynąć falą,
Polecą kędyś aż ku morzu...
A mrok się rozpościła dałą
I coraz szerzej idzie, szerzej,
I coraz cięższy, gestszy leży.
Zatopił lasy, zalał góry,
Pochłoniął ziemię do rubieży,
Na niebie oparł się ponury...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya! pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Idzie samotna dusza polem,
Idzie ze swoim złem i bolem,
Po zbożnym łanie i po lesie,
Wszędzie zło swoje, swój ból niesie,
I swoją dolę klnie tulaczą,
Z ogromną skargą i rozpaczą
Przez zasępioną idzie niwę...
Idzie, jak widmo potępione,
Gwiżdże koło niej wiatr i tańczy —
W którą się kolwiek zwróci stronę,
Wszędzie gościniec jej wygnaćczy —
Nigdzie tu miejsca niema dla niej,
Niema spoczynku ni przystani...
Idzie przez pola umęczona,
Łamiąc nad głową swą ramiona...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...

GWIAZDY.

Syryuszu! Gwiazdy! Przed wieków milionem,
Gdy ziemia była wiosenną i młodą
I lśniła wiecznie kwitnącą pogodą
Pod niebem wiecznie w bezmiar rozłożonem:

Czy nie błdziły w uroczysku onem,
Nad oceanów nieprzejrzaną wodą,
Wówczas sny, cienie z aniołów urodą,
Będące ciszą i światłem wcielonym?

Mówcie! Czy jasne te, pradawne cienie,
Oceanową zadumane głuszą,
Po wirze przemian, co się nieskończenie

Rodzą ze siebie i okwitłe głuszą:
Nie są w nas, własne straciwszy istnienie,
Błękitem nieba zadumaną duszą?...

ARTUR OPPMANN.

(OR-OT).

Ur. 14 Sierpnia 1867 r. w Warszawie.

»Poezye« (1888); »Pieśni« (1894); »Wybór poezyi« (1900).

KRONIKA MIESZCZAŃSKA.

O Malchrze Gąsce, rajcy warszawskim, o pięknej Zofce, córce Gaskowej, i o piórkosie z Francyej, historya wielce żalosna.

Lata Pańskiego 1574.

I.

Warszawski rajca, Malcher Gaska,
Kwiat *urbis*, wzrosły najwspanialej,
Sławetny ród swój wiódł ze Śląska,
Kędy się Gąski Ganse zwali.

Jak insze Niemce, Szoty, Fryzy,
Dla Polski afekt czując szczerzy,
Staneły Gąski między Gizy,
Burbachy, Korby i Fukiery.

Na wzór i splendor temu światu
W dostojnych czynach dni im biega:

Gwiazdy senatu, skabinatu
Szły z rodu Gąsków przeznacnego.

Z dobrej kokoszy dobre jajco,
Znać ojce z synów animuszu:
Jest Malcher Gaska przednim rajcą
I mądrze gada na ratuszu...

II.

Szczyci się Gaska zaczął sławą,
Pisać w kronikach jego dzieje;
Wskroś magdeburskie przeznał prawo
I patrycyatu przywileje.

Wysoko waży pany rada
Wymowę Gąski szczerzozłotą;
O starym Rzymie Malcher gada,
Napawa serca rzymską cnotą.

Bo w chwili dumań troska bodzie
Gaskową duszę, pełną bólu.
„O, *patria mea*! O, narodzie!
O, królu! królu! gnuśny królu!

Rozpusty żądłem duch toczony
Zali podtrzyma ojców dzieła?¹⁴
Regnavit zasię w dobie onej
Król Zygmunt-August z krwi Jagiella...

III.

Sławetny Gaska, *lumen* czyste
Na gród i grodu okolice,
Ma córę Zofkę, żonę Krystę
I w rynku zaczął kamienieć.

Jakby złocona błyszczy klatka
Komnata każda i alkowa

Tam rządy Krysta sprawia gładka,
Wielkiego *cordis* białogłowa.

A ona córa najmilejsza,
Dziewka w szesnastej życia wiosnie,
Codzień jaśniejsza i piękniejsza,
By cudny kwiatek, ojcom rośnie.

Jedwabiem dzierga haft bogaty,
Do wtóru lutniej śpiewa mile
I pielegnuje wdzięczne kwiaty:
Tuliby, róże i grandile...

IV.

Na całym rynku blask się czyni,
Od pstrych materyi bolą oczy,
Kiedy z rodziną do świątyni
Pan Malcher Gaska dumnie kroczy.

Przy złotym pasie kord podzwania
W pochwiech od srebra i szkarlatu
(Karabel lyczkom prawo wzbrania,
Ale *excepto magistratu*).

Gęba czerwona, wąs sumiasty,
Szata barwista i srebrzysta!
A cóż dopiero cne niewiasty!
A ona Zofka! ona Krysta!

Jakie bandele! brokatele
Na białych łonach i ramionach!
A owe kolce! a mane!
W balasach!—w perlach!—w parangonach!...

V.

Jak właśnie *flores* na tej niwie,
Którą blask słońca grzeje złoty,

Tak ona Zofka błogo żywie
W trwałych splendorach cichej enoty.

Ze złota kossy, z róż ma lice,
Chabrowe oczy z kruczą brewką,
Tedy się pysznią cne rodzice
Oną zbyt cudną swoją dziewczką!

Ba! Zofka! słonko, Zofka ksienil
I dla piastuny, Krzychy starej;
(Tę czarownicą *plebs* być mieni,
K'czemu zaś trudno skłonić wiary!)

Bywało, dziewczka tęskni, wzdycha,
W łzach fiołki żrenie skrzą niebieskiej—
O pięknych księżach stara Krzycha
Gwarzy jej cudne opowieści...

VI.

W godzinę zmierzchu uroczysta,
Radnego *mentis* foldze k'woli,
Gada pan Malcher z Zofką, z Krystą
O Hanzeatów złotej doli.

W kominie drzewka płoną krwawie,
Żywicznych szczapek syczą wiązki—
Na adamaszkiem krytej ławie
Sedet familia Malchra Gąski.

Sute ognisko blasków siatką
Patrycyuszowe złoci sprzęty—
Nadobna para (Zofka z matką)
W muzyckie brząka instrumenty.

Schnie z rozekerem bania szklanna,
Którą po dziadach Malcher chowa...
Niechże ich strzeże Święta Panna
I laska Pana Jezusowa...

VII.

Runął szczep władców *magnificus*,
W cierniowej Zygmunt zgasł koronie —
Ze krwi trancuskiej *rex Henricus*
Na Jagiellońskim zasiadł tronie.

Jako w ślad orla żerte kruki
Na lup z powietrznej lecą sfery,
Za królem z Francyej ciągną diuki —
Markizy — konty — kawalery.

Misterną szpadkę lokciem zmierzy,
Delijka kusa i opięta:
Nazbyt foremne na rycerzy
Owe gaweńskie półdyabła!

A każdy w krygach, każdy w skokach,
A cnoty podwik zbójca prawy! —
Taki ot piórkos w lokach, fiokach
Z Krakowa zjechał do Warszawy.

VIII.

Niewstydných uciech wielmie pragnie
Gallicki dudek on czubiasty —
Jako żarłoczny wilk na jagnię,
Tak ów pogląda na niewiasty.

Praktyki widno czarodziejskie
I zgola sprośne czyni zbrodnie —
Rumieńcem płoną dziewczki miejskie,
Gdy jedno którą ślepiem bodnie.

W obliczu słońca miesiąc ginie,
Malchrowej Zofce któraż zrówna!
Tedy twarz diuka krwią zapłynie:
„Na szpadę moja! Cud! Królówna“

I już go nęci Gasków dziecko,
Jakbyś lubczyku dał mu ziela,
I pod dom chadza, i zdradziecko
Na piękną Zofkę okiem strzela!...

IX.

Młodziutkiej wiosny był poranek,
Wdychało miasto oddech szerszy,
Kiedy ów sprośny galski panek
Obaczył Zofkę po raz pierwszy.

Suną dziewice i matrony
W pierś balsam kwietnia brać kojący —
Ujmie się w boki rycerz ony,
Niewieścią cnotą wojujący.

Złota przepaska złotych włosów,
Modra sukienka złotem tkana —
By wid, płynący od niebiosów,
Szła Zofka biała i różana.

Śmieje się ziemia młodej wiosnie,
Nad miastem słońce łni ogromnie —
Na diuka Zofka pojrzy skośnie
I skryje rzesą fiołki skromne..

X.

Błąka się piórkos ów zakaty,
Raz wraz za oknem wznosi głowę —
Z poza misternej patrzą kraty
Oczęta Zofki szafirowe.

Trefiona bródka, szatki przednie,
By dzieciół, pstrzy się kukła ona —
Niewinna Zofka czegoś błednie,
Jak właśnie gwiazdka zasmucona.

Goreje żadzą piórkos dworny,
Calunki kradlby, jak miód truteń—
Kolysze Zofkę w zmierzch wieczorny
Granie padwanów, harf i luteń.

Wkunsztownych trelach pieśń zabrzmiała,
Niby w niej żal drga, tęskność niby —
Mignęła Zofki rączka biała
I spadły z okna dwa tuliby...

XI.

Famatus Malcher gada z żoną:
„Zali to Baśka? Zali dwórka?
Nie dla przybłedy kwitnie ono
Sławetnych Gąsków dumna córka!

Próżno w narzędzia brząkać strojne,
Próżno barwiczką piekszyć lice:
Mieszczkańskie dziewczki za dostojne
Na galskich diuków kochanice!

Latorośl Gąsków cnego domu,
Virtute lskniąca, jako zorza,
Nie zada Gąskom Zofka sromu,
Nie splami *cordis* ani łoża!

Malo się trwożę.. Ba! nie weale
Ową pielgrzymką nieustanną:
Dziewka, jak lelia... Ale... ale...
Pilnuj mi córy, moja panno!

XII.

W alkierzu słonko zamigota,
Zapachnie majska w nim ponęta —
Nad kołowrotkiem główka złota,
By róża slania się podcięta.

Pył osiadł krosna, lutni słodkiej
Rzeźbiona rączka nie nastroi:

Kochanie domu, kwiatek wiotki
Len biały przedzie w izbie swojej.

Ale coś nitka się nie winie,
Ale wrzecziono coś nie furka:
Ujrzała-ż diuka w zlej godzinie
Sławetnych gąsków dumna córka!

Nad kołowrotkiem główka złota
Slania się, slania, dumać rada —
Perła po perle zamigota,
Perła po perle z oczu spada...

XIII.

O, miłowania tajemnice!
O, przenajśłodsze zachwycenia!
Serce zamienia się w skarbnicę,
W anioła dziewczka się zamienia!

Lelije śnieżne i srebrzyste,
Różana Eos gdy z snu wstanie,
Mniej są promienne i mniej czyste,
Niż ono pierwsze miłowanie!

Gdyś wiódł dziewięć po tem niebie,
Tyś ją na wieki czynił branką:
Za tobą pójdzie i dla ciebie
Egzulką będzie i wygnanką.

I choćbyś wzgardę zyskał w świecie,
Choć na wyklęte szedłbyś drogi,
Ona przed tobą proch zamiecie
I ucałuje twoje nogi...

XIV.

Z jękiem godzinę władzy biesa
Wybiły miejskie półzegarza —

Bezzębna Krzycha ogień krzesa
I gniewnie mruczy i wygraża.

Ponuro płonie stos czerwony,
Klebią się z tygla gęste pary —
Splunęła Krzycha w cztery strony
I najmoźniejsze robi czary.

Na nowiu rwane kipią ziola,
Warzone z kostką nietoperza —
Dyszy pierś Krzychy wyschła, goła
I rozkudłany włos się zjeża.

Czarny kot rozwarł ślep zielony,
Chyłkiem z zapiecka się wymyka —
Odezynia Krzycha urok ony
Sprośnego z Francyej czarownika.

XV.

Nie ustrzedz dziewczki od kochanka.
To, co ma zginać, wierę, zginie:
Już diuk francuski i rajczanka
W ustronnym schodzą się dziardynie.

Kwitnące grusze w dumach stoją,
W bzach słowikowie nuć w kolej —
Pry ówten lotrzyk: „Bądź ty moja!...”
A sroma Zofka: „W trunę wolej!...”

Na liściach Dyany skrzy promienie,
Biały letniczek w gąszczach świeci —
Skamla diuk galski, jako szczenie,
Na cnotę Zofki stawiać sieci,

A jego mowie chytróść węża
Daje nadziemskiej czar słodczy —
I zwolna miłość przezwyćieża
Anielskiej Zofki srom dziewicy...

XVI.

Wichr, by éma wichrów, wyje wściekła
(Dyablów i wiedźm to są konszachty) —
Sroga noc, ziejąc grozą piekła,
Pod dach zagnęła miejskie wachty.

Błysły dwie gwiazdy, jak' gromnice
I znów je skryła chmur gromada —
Zbój to pod Gąsków kamienicę
Chodem się kocim, jak duch, skrada.

Na piętrze okno ktoś otworzy,
Zaskrzypnie krata na zawiesie
I szept mknie trwożny: „Skorzej... skorzej...”
I ciemna postać w górę pnie się...

Wychynie księżyc siwogłowy
I blaskiem cudną twarz upieści:
O, córo Gąsków! Gdzie liliowy
Twój kwiat?... O, pudor!... O, boleści!...

XVII.

W starym alkierzu lampka mała
Gdyby ze sromu gaśnie — kona;
Goreje dziewczki twarz omdlała
I gęba diuka zapieniona.

Powodnią złota rozwichrzona
Z białego łoża włos się toczy —
Rozwarte ustka... wzdęte łono...
Rwane oddechy... mętne oczy...

Srogo się piórkos rozplomienia,
Krwie warem kipią Zofki żyły —
I jedno słyhać szmer westchnienia
I jedno słyhać: „Mily... mily...”

I by osika drża oboje,
Rozkoszą skuci i wargami...
Tedy się wzdryga pióro moje,
Inkaustowemi płacząc łzami...

XVIII.

Przecż tego dachu mściwa chmura
Gromowym deszczem nie osmaga?...
W gachowych ręku Gasków córa,
Jako gamratka, leży naga!...

Blask na pościeli śnieżnobiałej
Po dwu się ciałach mdławo ślania:
Gaweński machlerz — ryś zgłodniały,
A ów kwiatusek — senna lania.

I żrą i palą ślepiea krwawe,
Jako u wilka rozognione,
I nagie stopki różowawe
I lelijowe piersi one.

I kala zbrodzień róże wonne
Jadem całunku plugawego!
I nie mu! Nie mu już nie wzbronnie!
I wszystko! wszystko! jego! jego!

XIX.

Zle się po domie kręcą duchy,
Dokola groza i ciemność —
Aliści szmer wstał z ciszy głuchej
I zwolna roście... roście... roście...

Ktoś drży... ktoś jęknął, ktoś się skrada...
Szparą błysk mignął, gdyby złoto —
O, gachu! gachu! Biada! biada!
O, Zofko! Zofko! co to? co to?

Frunie diuk z łoża ptasim lotem
I dziewczę klnący i kochanie —
I zagnała pękniętą drzwi łoskotem!
I ktoś na progu zagnała stanie!

Tedy bacz: Trupie światło świecy,
W niem twarz, co zda się, krwią ma pociec,
I diuk pod oknem sinolicy
I krzyk straszliwy: „Ociec! Ociec!...”

XX.

Z Malchera Gąski dumnej skroni
Zimnego potu ciekłą strugi,
A świeca gore w jednej dłoni,
A nóż niemiecki ściska w drugiej.

Gną się pod gachem dudki owe,
Małowna gęba zbyła pychy...
I wzniesie Gąska hardą głowę
I stapa k'łożu straszny... cichy...

Na twarzy dziewczki obląkanie
Pospołu z lękiem gra widomie —
Z ojcowych źrenic łza ukanie,
Krwawa i żrąca, jako płomień.

I nad jej łożem zgiał się białem,
Nad łonem Zofki! — skarbu! — dziecka!
I błysnie Gąska puinałem!
I krwią ocieknie stal niemiecka....

XXI.

Wrzask: Owo zgola wrzask szatana!
Od tego wrzasku stygnie dusza!...
Chocia haniebnie rozespana,
Zrywa się wachta z pod ratusza.

Kapią pochodnie smolnym służem,
Z gniazda na baszcie kraczą wrony;
Z półhakiem — z dardą — z arkabuzem
Zbrojny za zbrojnym wali z brony.

Noe — dymny płomień — kłatwy — zamęt,
Żacy — gamratki — pacholkiwie —
Jako dyabelski autorament,
Pstre się na rynku wicherzy mrowie.

Aż mignie drabom sine lico
W groźnej kagańców jaskrawości:
Trup! Trup! Pod Gasków kamienią —
Dworzanin króla jegomości!...

XXII.

Srogą patrycyat zbudzon wrzawa
W swoich się domiech wielmie trwoży,
Tu owdzie światło błysnie krwawo,
Tu owdzie okno ktoś otworzy.

Bieli się czepiec burmistrzynie,
Wójta leb w duchnie przyłgnał k'szybie:
Zali hultajstwo tumult czyni?
Zali na miasto *hostis* dybie?

Ktoś grubo drze się: „Gore! gore!“
A ktoś cieniutko: „Rata! rata!“
Baryczka wróży wojny skore,
A imię pan Strubiec koniec świata.

Zasie z pospólstwa szwiec Franciszek
Najtrafniej sekret ów odmyka:
„Owo się zjawił bazyli szek,
Jako za króla nieboszczyka!“

XXIII.

Na stare tyny Gasków gmachu
Różane brzaski kładnie ranek;
Próżno po ziarna leć z dachu
Srebrne gołębki na krużganek.

Z gotyckich okien szmer pacierzy
Ponuro płynie pod niebiosą —
Wśród żółtych gromnic łzawo leży
Ona królowna złotowłosa.

Na białym czechle garść blawatków,
Na białej trunie mirtu wieńce,
Ale z girlandy świeżych kwiatków
Już nie wyskubią ulubieńce.

Szczęły piosenki i uśmiechy
I ono słodkie miłowanie
I jedno ostał trupek cichy —
I lzy — i żal — i plakanie...

XXIV.

Z Wawelu konie zaparskały,
Migają pióra, szpady, krezy,
A przodem sady drygant biały,
A na drygancie król Walezy.

Lskni gęba nowiu złotolita
Nad starym tumem Panny Maryej —
Gaweński trefniś, jak banita,
Z onej sarmackiej gna barbaryej.

By na waletę cudny Kraków
Pod modrém niebem srebrzy mu się —
Wždy chce purpury król Polaków
Po krwawym bracie Carolusie.

I owo bluźni: „Hej, niedźwiedziel!
O nowym radźcie niedźwiedniku! —
Niech tedy k'Francyej bies cię wiedzcie,
Koronowany Sodomeczyku!...”

XXV.

Z błękitu nieba kula skrawa
Miedzą—fioletem—krwią się mieni;
Świt—rynek—cechy—senat—ława,
Pień—pregierz—butle—kat w czerwieni.

Z dobrym się kumem kum weseli,
Zalotnych podwik lśnią oczęta —
Z ratusznych ciemnie wiodą w biele
Srebrnogłowego delinkwenta.

Z pod wiechy godźbę wietrzyk miecie,
Z kościoła leci dzwonka granie —
Ostatnie Gaska na tym świecie
Od mnicha bierze całowanie.

Pisarz katowi znak podawa,
Motloch rozdziawia chciwe oczy —
I głowa ścięta!—srebrna!—krwawa! —
Od pnia się toczy!... toczy!... toczy!...

XXVI.

Nie tak świat ludzkie trapią wojny,
Jako złych losów anathema —
Zaginął Gasków ród dostojny
I po ich domie śladu niema!

Ninie nie wskrześnie żadnym cudem
Cnych potentatów złota sława! —
Jedno się błaka między ludem
Ona opowieść dumno-krwawa.

I owo duszy rymopisa
Stara trajedya widna cała:
Francuskie książę z sercem lisa
K'białej lelijce żądzą pała!

Rzymianin-ocieć pierś jej mleczna
Na koral zmienia ciosem noża!...

Daj duszom zmarłych światłość wieczna,
O, boleściwa Matko Boża!...

Objaśnienia. *Piórkos*—strojniś, fireyk; *Gixy*, *Burbachy*, *Korby*
i *Fukier*—starodawne warszawskierody mieszczańskie; *balasy*—rubiny; *pa-*
langony—dyamenty; *ksieni*, w znaczeniu księżna; *rozeker*—gatunek wina;
Zali to Baśka—Barbara Giżanka; *wierę*—zaprawdę; *dziardyn*—ogród; *pry*—
rzecze; *wolej*—raczej; *gamratka*—nierządnicą; *machlerz*—oszust; *póthak*, *arka-*
bux—broń palna; *barda*—halabarda; *brona*—brama; *duchna*—czapka nocna;
rata! rata!—na pomoc! *tyń*—mur; *exechet*—szata pośmiertna; *drygant*—rączy
ogier; *butel*—pacholek kata; *z pod wiechy*—z gospody.

DEMONY.

I.

Ja go wydrę słonecznej krainie,
Nim zabył się w świetlanym gwiazd wieńcu,
Będę ciała szarpala w dziecinie,
Będę ducha szarpala w młodzieńcu.
Pod naporem żarłocznych mych szponów
Wzniosłych marzeń potarga się przedza,
Ja go wydrę z słonecznych regionów—
Ja potężna! Ja wielka! Ja nędza!

Zdrój porywów olbrzymich wychłpeć
Trosk codziennych zwycięskim pochodem,
I do ziemi go wstydem przydepcę,
Ja go spodłę i złamię go głodem.
Mózg mu wyżrę i krew mu wypiję,
Tak jak pisklę w uścisku go zduszę —

I zabije! zabije! zabije
Jego ciało, i serce, i duszę!

II.

A gdy krwawej się oprze tej męce,
Pełen dumy, i wgardy, i siły,
Ja piekielnym swym czarem go znecę,
Wrzając lawą napelnę mu żyły.
Ciał drgających oślepią go błyski,
Mózg płomienne rozżarzą mu słowa,
Aż go porwę w zabójcze uściski,
Ja namiętność! Ja orgii królowa!

Gdy krew młoda powodzia w nim wzbierze,
Gdy się furja w nim ocknie szalona,
On w rozżarte zamieni się zwierze,
Opleciony w bachantek ramiona.
W piersi żądz mu ohydnych dam żmije,
Blotem życia splugawię i skruszę —
I zabije! zabije! zabije
Jego ciało, i serce, i duszę!

III.

On nie pójdzie na skalne krawędzie,
W blaskach słońca potężne snuć dzieła,
I anielskość swą zgwałci i będzie
Jako gwiazda, co w błoto runęła.
Gdy zatęskni za niebios ojczyzną,
Waż cynizmu zadusi wspomnienia;
Ja kipiącą go zwalczę trucizną —
Ja alkohol! Ja demon zniszczenia!

Gdy wpierw zgryzot odbiorę go hydrze,
Widm czarownych gdy zwabię obliczem,
Nie go z wściekłych mych szponów nie wydrze,

Mojej grozie nie oprze się niczem.
Myśl, że ginie, w nerw każdy mu wpije,
Rzucę w czaszkę szaleństwa katusze —
I zabije! zabije! zabije
Jego ciało, i serce, i duszę!...

TRZY BOGINIE.

I.

Dwie czyściutkie zajmują komnatki
Panna Ewa i panna Rozalia —
Nad łózkami palmy, w oknach kwiatki,
Na stoliku kart zużytych talia.
Drzemie stary kot na starym ganku,
Stare piosnki ptak staruszek śpiewa,
Zaś królują w tem starem mieszkanku
Stare panny: Rozalia i Ewa.

Przednie typy miałby z nich artysta,
Nim staruszki skryje darń mogilna:
Jedna szczupła, druga przysadzista,
Jedna smętna, druga krotofilna.
Gdy w mantyle wystroją się „modnie“,
Gdy podwiną siwe włosy w nioby,
Na ulicy ciekawi przechodnie
Podziwiają „odwieczne osoby...“

Wszystko niszczy bystra czasu fala,
Nie oszczędza najmilszego kwiatka —
Panna Ewa i panna Rozalia
Dawno przeszły Jezusowe latka.
W ciemnych grobach śpią szarmanckie chwaty,
Co duserów prawili im tyle...
Wtedy obie były jako kwiaty,
Dzisiaj obie są jako badyle.

II.

Przyjaciółką nierozłącznej pary
Jest garbata panna Domicela —
Na wotywę w trzy codzień do fary,
W trzy na sumę chodzą co niedziela.
Z miną wdzięczną i dziewiczo skromną
Siadły w ławie, co ołtarza bliska,
Każda księgę rozkłada ogromną,
Okulary każda na nos wciska.

Gdy zamilkną organy w świątyni,
Gdy ostatnie cichną księdza słowa,
Trójka panien mały spacer czyni,
Nim nadejdzie pora obiadowa.
Drepcą z pompą, ubrane od święta,
Jak przekupki językami miela...
„Punkt o czwartej! Niech pani pamięta!
Będzie placek, panno Domicelo!...”

Domicela o godzinie czwartej
Na panieński spieszy podwieczorek;
Nim zakipi kawka, wróży w karty,
Lub nowinek wysypuje worek.
Panna Ewa urząd ma kawiarki —
W filiżanki leje nektar słodki;
Niknie kawa, znikają sucharki;
I kursują staromiejskie plotki...”

III.

Choć na zbytki fundusz nie pozwala,
Trzy boginie biedy nie zaznały:
Mają w banku Ewa i Rozalia
Po rodzicach mająteczek mały.
Domicela robi sztuczne kwiatki
(Takich kwiatków poszukaj ze świecą!),
Czasem suknię skroi dla sąsiadki,
Czasem z haftu spadnie jej co nieco...

Gdy Warszawę srebrny zmrok zalewa,
„Domcia“ drepce spędzić rekreacyą:
Na Zapiecku Rozalia i Ewa
Z apetyczną czekają kolacyą.
Do kabaly skłonność mają wielką,
Po kolacyi stawiają pasyanse,
Lub przy lampie z zieloną umbrellą
Staroświeckie czytają romanse.

Dawno z marzeń rozstawszy się czarem,
Od trosk wolne i światowej pychy,
W starej farze i w mieszkaniu starem
Trzy staruszki wiodą żywot cichy.
Czy świat srebrzy zima, jedza siwa,
Czy z pod śniegu pierwszy kwiat wyrasta,
Jednakowo dzień po dniu upływa
Starym pannom ze Starego Miasta...

IV.

Gdy noc letnia blaski śle wspaniale,
Gdy w dal srebrną pierzchną dzienne gwary,
Z ganku panien na podwórko małe
Mknie śpiew czuły z tonami gitary.
Pośród murów odzywa się echem
Stara piosnka pełna melancholii...
Dwie staruszki słuchają z uśmiechem,
Uśmiech w lzy się zamienia powoli.

I wspomina Ewa i Rozalia
Pierwszych wzruszeń, pierwszych marzeń latka...
Wszystko niszczy bystra czasu fala,
Nie oszczędza najmilszego kwiatka.
I wspomina Ewa i Rozalia
Groby, które wiosna zazielenia...
Wszystko niszczy bystra czasu fala,
Tylko smętne zostawia wspomnienia.

„Domcia“ z kąta sięga w dal oczyma,
Wielki ból się w piersiach jej rozszłochał...
Ona jedna żadnych wspomnień nie ma,
Bo jej tylko nigdy nikt nie kochał.
W monotonnej, szarej przedzy życia
Nie błysnęła żadna myśl jaśniejsza —
Najbiedniejsza ona od powicia,
Do mogiły ona najbiedniejsza!...

FARA.

Wiara gada z mem sercem w cichości kościoła,
Jak z dzieckiem gwarzy matka wieczorową dołą:
„Ocknij się — i wstań duchem!“ każdy kamień woła,
„Ocknij się i wstań duchem! owo bacz: Bóg z tobą!“

Z łukowego sklepienia wionął dech przeszłości
I poruszył skrzydłami chorągwie chwasty,
I drgnęły w sarkofagach butwiejące kości,
I jęknęły: „O Maryo!“ marmurowe Piasty!

Tęczowe światła idą z szyb ujętych w olów
I na cichych grobowców kładną się marmurze,
Smętny anioł tęsknoty — poeta aniołów —
Rozsypał kwiaty wspomnień: serc mistyczne róże!

Złota wizja mej duszy w prawdę się zamienia,
I wskrzesza to, co zmarło, jak w czarownej baśni:
Bóg ożywił postacie z farby i z kamienia,
Do śpiących rzekłszy: „Powstań!“ jak rzekł niegdyś: „Zasnij!“

Lęknią od złota rycerze, Panny Maryi służki,
I delij senatorskich krwawiej szarlaty,
A owdzie słodka buzia dobrej patrycyuszki,
A owdzie butny rajca: Rzymianin wasaty!

Z kazalnicy, jak prorok, złotousty Skarga
Błyskawicą olśniewa i przeraża gromem:
„Tedy mówię, dłoń Pana mojego sercem targa,
Bom jest, jako ów strażnik nad ginącym domem!“

Woskowych świec płomienie cicho się kołyszają,
Na licach dziwnie chmurnych migając przelotem,
Owo, zda się, komety pod sklepieniem wiszą,
Ukrywając pioruny w łonie krwawo-złotem!

A cudowny Pan Jezus, ów z kacerskiej dłoni,
W dalekiej Norymberdze przez Baryczkę wzięty,
Przypomnił dzień Golgoty i dumając o niej,
Ciche z oczu przesmětnych ronić jął dyamenty.

Skrzydła anioł tęsknoty roztoczył nade mną
I otom poczuł w sobie natchnienie od Boga
I stało mi się widno, jak wprzód było ciemno,
I stanęła mi w słońcu ziemską ludów droga.

Bo, choć noc sypać mroki poczęła na ziemię,
Jak strzały przedni łucznik wypuszcza z cięgiwy,
Ów na krzyżu rozpięty, w cierniowym dyademe,
Jaśniał Chrystus: cudowny — wielki — miłościwy!

BEREZINA.

Na ogromnej, ponurej, zmartwiałej przestrzeni
Śnieżna białosć z czerwienią zachodu się żeni,
Na piersi lodem: pada, oslepią źrenice,
Z duszy struchlałej robi okropną martwicę.
Przejmuje śmierci dreszczem kostniejące ciało.
Gdzie spojrzeć: białe! białe! przeraźliwie białe!
Gdzie spojrzeć: śnieżna, zimna, bezbrzeżna skorupa,
Jak straszne prześcieradło olbrzymiego trupa!

Śmierć! Kraży, jak nietoperz! czolga się, jak żmija!
 Jak ryś spada na pastwę, jak piorun zabija!
 Wilczemi stopy chodzi lekko i zdradliwie!
 Jak wściekły lew szaleje! I nie tak na niwie
 Pod ostrych kos tysiącem wali się łań zboża,
 Jak tnie, mrozi, trątuje śmierć: żniwiarka Boża!
 Widzę ja! szczerzy zęby, wieje płachtą białą!
 Skinie: wał trupów pada, jakby jedno ciało!

Któż przywołał to widmo? Na zaklęcie czyje
 Kureczy się tyle piersi, tyle rąk się wije?
 Tyle oczu zachodzi bielmem i warg tyle
 Sinieje? Gdzież ten mocarz? gdzież ów, który w pyłe,
 W śniegu i krwi pograżył młodych istnień krocie?
 Milion duchów w żalobie, milion serc w tęsknocie?
 Gdzie on? gdzie ów bóg wojny? orzeł walk tysiacy?
 Napoleon?

Jak pochodnie pogrzebne, płomień łśni czerwony,
 Na stos idą sztandary, co burzyły trony!
 Na stos idą chorągwie, za sobą wiodące
 Rycerzy, zapatrzonych w cesarza — i w słońce!
 Na znakach bohaterskich zawieszono krzyże
 Ogień, jak smok, setnymi językami liże!
 W proch obraca krwią wielką przesiąknięte szmaty —
 W dali bitwa: na cześć im, jak grom, grzmiały harmaty —

Sztandary Napoliońskie! Przez łądy i morza
 Szły, a z nimi szła wodza promienista zorza!
 Ślala się droga trupów za śladem tych godel
 Od palm i skwarnych piasków do śniegów i jodeł!
 Nad Tybrem, nad Adygą, nad Renem, w wawozi
 Somosierry! w płomieniach, we sławie i grozie
 Szumiały, jak nadziemskie, niezwalczone ptaki,
 Sztandary Napoliońskie!

On patrzy! twarz, jak marmur, zimna, nieruchoma,
 Lecz jest w niej myśl: dla ducha jasna i widoma!

Czuje, co się tam dzieje pod czaszką geniusza!
 Wiem: jak tygrys na smyczy, miota mu się dusza.
 Rozpacza! własne ciało kasałby on! tytan!
 Lecz milczy! jak lew, w straszne samotrzaski schwytan,
 Choć mu się pierś królewska od szaleństwa wzdyma,
 Cichy jest: tylko jednej hańby nie przetrzyma!

Za nim sztab! marszałkowie: rot ginących wodze!
 On słońce! oni łnili jak gwiazdy w poździe!
 W płomieni złotych wstęgach, w pióropuszech dymów
 Gnietli drgająca ziemię stopami olbrzymów!
 Z nicości, przez błysk szabel i płomienny olów,
 Wylecieli za orlem, jak stado sokołów
 I zasiedli — genialne parobki i chłopcy —
 Na mieczem zbudowanych tronach Europy!

Cesarz milczy — i usta ich ścichły, zamarły —
 Choć olbrzymy, lecz oni przy nim — tylko karły!
 Już tam w niejedno serce straszne słowo wpada,
 Niby sztylet zatruty, krwawe słowo: zdrada!
 Serce burzy się, pieni pogarda i wstętem:
 Napróżno! nie im walczyć z tem słowem przekletem!
 Raz odtrącone — wróci i po trzykroć wróci,
 Aż na myśl — serce — ducha swoją sieć zarzuci!

I tylko jedna postać rycerska i dumna
 Będzie stać, jak kamienna, a żywa kolumna!
 I tylko jedna postać wytrwa aż do zgonu:
 Przy huku piorunowym ginącego tronu!
 Z szablą świszczącą, w burce zwisającej z ramion,
 Polecą po śmierć jasną za gwiazdą swych znamion!
 A potem — duchem czystym — na błękitów progu
 Stanie, by swój ostatni raport złożyć Bogu!

Ot tam szarża! Hej! lecą ogniści straceńce
 Po kulę w serce, jakby po kochanki wieńce.
 Wiedzą, że już nie wróca do chat swoich... wiedzą,
 Że już nie pójda z plugiem nad rodzinną miedzą,

I więcej: czują dobrze: coś blysło, coś zgasło!
 Ale ot: „Do ataku! marsz!“ wódz wydał hasło!
 Koń i jeździec w dwa orły cudem się przetwarza
 I gnają na harmaty, krzycząc: „Za cesarza!“

Na mostach szal! Jak straszne, niewidziane węże,
 Splekli się ludzie, konie, wozy i oreże!
 Wrzask, kłatwy, łoskot armat, w wodę wpadających,
 Rżenie rumaków, strzały, jęki konających!
 Modlitwy, polecenia ostatnie do domu!
 Komenda... trzask straszniejszy od krwawego gromu:
 Most pęka, już się łamie... śmierci ręce mdleją —
 O, przekłęta! zawodna! okrutna nadziejo!

Na śnieżnych polach wilki żerują i wrony!...
 Kruk w żywym jeszcze ciele szuka krwi czerwonej
 I wydziobiuje oko, rozpacznie patrzące:
 W dali gaśnie czerwone, zadumane słońce!
 Kryje się, jakby patrzeć nie mogło, nie chciało
 Na ludzi i żywiołów walkę rozszalałą.
 Woli zgasnąć, już zaszło, już za lasem kona
 I na równinę śmierci zapada zasłona!

A on siedzi ponury, jak noc! w jego łonie
 Setne burze i setne szaleją agonie!
 Mileży — i oto przed nim zwolna się wylania
 Skalisty ostrów... Wizya... on oczy zasłania,
 Ale widzi... z fal morza zwolna się wynurza
 Święta Helena...

STANISŁAW HŁASKO.

Ur. 20 czerwca 1868 r. w majątności Hrubin (gub. Witebska).

»Poezye« (1900).

Z WIZYI GÓRSKICH.

Ze szczytu patrzę przed się i za siebie.
 Ogromne morze gór pod mną leży;
 Granitów fale tkwią w beziernem niebie
 I nikną gdzieś na bladej ziem rubieży.

I czuję w dzikim wirchów oceanie
 Spokój straszliwy — ciszę zimnych głazów —
 A w tym spokoju — ostatnie konanie
 Dawnego życia i przeszłych obrazów.

Ziemia w ludzącym stanęła bezruchu
 I roztopiła się we mgieł ogromie —
 I wszelki dźwięk zaginał w moim słuchu —
 Czuję milezenie w każdym skał atomie.

Bo wszechświat cały wzięła w posiadanie
 Śmierć — ta niezłomna istnienia konieczność,
 A w potarganych wirchów oceanie
 Myśl pozostała jedna tylko — wieczność.

STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

Ur. r. 1869 w Krakowie.

»Kazimierz Wielki« (1901), »Bolesław Śmiały« (1901).

Z POEMATU „KAZIMIERZ WIELKI“.

II.

W szkarłatach mię spowito, w złotej trumnie
i pochowano na Wawelskiej górze.
A tam sarkofag stawiono w marmurze,
gdzie z berłem i w koronie spałem dumnie;
zaś wszystkie stany w żałobnej posturze,
niejako płaczki, zwracały się ku mnie,
nade mną, nad ostatnim z rodu wznosząc lament.
Wielkość — ludowi przekazywał mój testament.

III.

I śniłem...

V.

Zaszedłem w jakieś równiny przedwieczne
bez kresu, łąki stepowe, kwieciste;
niebo nade mną rozwiło swe mleczne
drogi i gwiazdy paliło złociste;
gwiazdy poza mną szły na drogi wsteczne,

olbrzymie koła zakreśląc kolistę;
a ja łąk stepem bezkresnym w Milczenie
idę i ducha wiodę w Zapomnienie.

VI.

Już poraz gwiazdy przede mną zgasły,
nad łąką mglistą zawisła opona
chmur płowych, które nieruchome stały.
Obreczne światła, zanim które skona,
tęczowo jeszcze na gestwie mgieł drżały,
gasnac; — już dal je chłonie nieskończona.
Już kresy wieczne, dla dusz pastewniki,
pojące wonią ziół — już i strumyki,

VII.

których srebrzysta woda, stało-mleczna,
wija się, splotne tysiącnymi skręty,
w stronę, gdzie dążę, kędy Rzeka-wieczna
Zapomnień — kędy duch mój zgaśnie zjety,
aż go Wyrocznia odrodzi słoneczna,
gdy będzie z trudów żywych wypoczęty —

XXI.

„Wracaj!“ — a stałem już w łąkach Erebu,
„Powracaj!“ — a wkoło mnie kwietne pola,
„Wracaj!“ — bo oto dzień twego pogrzebu
i twojej śmierci drugiej i twa Dola
dla ciebie wybrana; ty twojemu niebu
wrócon! Królestwo twoje! twoja Wola!
„Powracaj!“ — i już znika dla mnie rzeka,
„Wracaj!“ — — już znikła i łąka daleka.

XXIII.

W jakichś ugerach, rozoranych polach
błąkam się znowu i wlokę spieszący

i wciąż ten słyszę głos — „powracaj!” w polach,
w poświstach wicherów nade mną grający;
ide a trudem nogi wiezgną, w bólach
gnę się, upadam a spieszę; — gorący
dech i opary duszne ziemi...
Powietrza! — Tchu!... Jakby ciasnemi

XXIV.

jestem ujęty ściany — uwięziony;
wiegna mi ręce w ruchu zeszytwniały,
z przed oczu znikły te odległe skłony
przestrzenne; — czuję się zamknięty w skałę;
w kość czołną wżarty wrab ciężkiej korony
a w rękę berło jakoweś spróchniałe
i czuję, że je kościec, nie dłoń trzyma
i że się kruszy kość, gdy silniej ima.

XXV.

Powietrza! Tchu! — już głos zamiera we mnie;
już Echo głuche spada na twarz własną,
jeszcze gorące dechem, — w straszne ciemnie
oczy się patrzą, w pustkę czarną, ciasną; —
choć kośćmi jamę rozprzeć! — nadaremnie:
tuż nad mem ciałem kamienie tarasną
zaporą zamkły grobowe sklepienia.
Tchu! Tchu! bo spłone szaleństwem płomienia.

XXVI.

Wtem usłyszałem jakby do grobowca
stukanie — — —
i jakby się obsuwał złom granitu;
uczulem, że się lyska wierzeh pokrowca
złotemi niemi od jakiegoś świtu;
znów woń kadzidel palonych z jałowca
i jakiś strop z gwiazdami i z błękitu — —
— W kościele byłem trup; więcem się wzdrygnął
i naraz kamień tunby ktoś podźwignął.

XXVII.

Tu, gdzie leżałem ja, w grobu pomroczy,
pochodni luna zajrzała gorąca
i naprost oczu moich czyjeś oczy
i twarz, w wylomie muru płomieniaca;
w zorzach się ludzi cichych kilku tłoczy;
żarem się runi twarz moja jaśniaca; —
próchno, zbutwiałe stroje, szata zgnila
nagła purpura ognia się paliła.

XXVIII.

I to raz zajrzy ktoś, to się odchyli;
raz buchnie światło pędsze, znów przygaśnie
i głowa czyjaś inna; — patrzą czyli
jestem, — bo imię moje szepcą właśnie;
kilku, — bo żywo słowami gwarzyli;
znów kamień waży taranem hałaśnie.
Spadł; — oni oto naraz znikli, dyszą...
— Ujrzeli, jakom jest grobem i ciszą.

XXIX.

Doczesności się moje już skończyły?
Więc jużem w proch się starł i skruszył;
to jeno strzepy z szat, co złote były?
Jedwab spopielił się, w pył się rozprószył.
A czemu są wielkości, co się śniły?
z których-em państwu wil Los, świetność tuszył?
Loch grobu czarny, zgnilizna, te luny!
Szły po mnie dreszczem podziemne pioruny.

XXX.

Ogromny łoskot słyszałem ostatni
z pod sklepów ciemnych głębokiej czełuści,
długotrwały, — ginał w piwnie klatni
a jeszcze tylko wichrem tęskno szuści...
cichnie. — Już ludzie ci, jak moi szatni,
— a niech im nagłość chwili Bóg odpuści —

jeli się zdzierać ręką szat purpury
i złotogłowi szarpać złote sznury.

XXXIII.

Stała tych ludzi półkolem gromadka;
jedni tarany dzierżą, kute młoty —
jakaś zblakana, bezpańska czeladka; —
inni papierów pliki, kreślą noty,
sprawdzają, biorą gromnie żar na świadka;
to ku koronie łysną; na pozłoty
współbiedrza... wszędy ciekawi i skrzetni,
aż ustali: — już tylko na mnie patrzeć, smętni.

XLI.

Jakież ubiorki ich czarne, żałobne,
i dłonie obu rąk drżą załamane.
Czyli wysute już śpichrze zasobne;
w skarbnicach skrzynie denarów wybrane; —
jedne im oczy te łzami ozdobne,
jak perły czyste i niepokalane;
o lzy te święte, wzruszeniem płynące,
na lachman króla-płaszcz i kości schnące.

LXII.

Teraz-że pojrzę bliżej w ich oblicza,
jak ich postawy uroczyste, skromne;
że światłość na ich czołach posłannicza,
że dumy-szczerbec i jeszcze niezłomne;
że w serca szpona się wpila zbrodnicza
zawodów, męczeństw, że klęski pogromne
wielką nad nimi zaciążyły chmurą

XLIII.

Potem te kości moje ktoś wybierał;
podawał tym, co na kościele stali; —
lecz jakiś dziwny żal z ócz im pozierał,

tacy się czuli strwożeni, nieśmiali;
jakby mniemając, że drugi raz umierał,
gdy mię w sosnową trumienkę chowali.
— Aż gdy mi i koronę zdjęto z czoła,
pojąłem: — —

XLIX.

Już kości leżą znów w sosnowej trumnie,
ze świeżych pni ciosanej, z boru;
już chłonę zapach, już czar powiał ku mnie
żywicy lepem i świerków koloru
jakaś majaka w oczach staje; szumnie
gałęzie zwieszne gwarzą, — jak wieczoru,
owego... Boże! czyliż go przypominę...
gdy, — wszakci było tu — Szczęście ogromne.

LVII.

Do marmurowych ścian czarnych kaplicy,
gdzie złotem snopów grodziła się krata,
przenieśli trumnę we światłach gromnicy;
czuli, że mój nad nimi duch ulata,
że są, jak mali zranieni orlicy,
i gdy ich tak Nieszczęście wielkie brata,
poklekli, pacierz za mnie mówiąc krótki,
i wszystkie swoje w nim zawarli smutki.

LXX.

Widzę ich potem, jak do krat się cisną,
któremi byłem odgradzon, w gościnie;
jak ciałem w nie się wpoją, jak zawisną
u zimnych bronzów rękami; — — i płynie
na mnie dech twórczy z nich; zakłęciem wskrzesną
się kości, prochy ruszą... wstaje ninie!
Duchem podnoszę się z trumnego stosu
nad łuny gorejących świec.

LXIII.

Ponosi mnie wicher w sklebionej zamieci,
 już chmur się zagony piętrzące odwałą,
 już piorun z nich wypadł i czeluść rozświeci,
 powietrzne dziwadła piorunem się palą;
 jak liściem mną burza przegania i miece
 a głos mój się niesie daleki Echami:
 „Do mnie, Hej do mnie! na wiekowe wiece!
 Ja król nad wami! Ja Duch znowu z wami!“

LXXVI.

Pod wielką wieżą, gdzie zegary dzwonią
 dawne, prastare, jęklive godziny,
 usiadłem i oparłem głowę w dłoniach;
 czekam, aż wreszcie ten dzień Zorze spłonią,
 w którym się wszystkie może zbiorą syny

 aż je przywiedzie hasło na równiny
 podmiejskie, — aże zalegną na błoniach.

LXXXII.

Nareszcie przyszedł południem upalny,
 słonecznych skwarów ów dzień. — Ludem rojno.
 Sejm, jak żórawni, odprawiali walny,
 gromadni, jak przed wielką jaką wojną,
 na ten mój pogrzeb zszedłszy, tłum prosiłalny,
 co mię zbiegł darzyć łez objatą hojną.
 Nad miastem padło posepne milczenie.
 Snuły się ludy żałobne, jak cienie,

LXXXIII.

ciche — jak owe cienie elizejskie,
 już modlitwami nawet nie szemrzące,
 jeno pół-usty szeptając swe wiejskie
 choraly; — duchem wzniesione, marzące.
 Już może władztwo widzę czarodziejskie:

czujni — już teraz tylko berłem trące...
 a ockną się na duchu przetworzeni.

Oto już łuna stok zamku rumieni.

1. Idą posepni
 a grają im dzwony
 ze wszystkich kościołów,
 a grają im dzwony
 żałobne.
2. Idą posepni
 a niosą korony
 ozdobne,
 misterne a dla nich
 ciężące, jak olów,
 korony zeczerniałe,
 pogrobne.
3. A grają im dzwony
 ze wszystkich kościołów
 a szumią, łopocą
 szarfami przyczółów
 chorągwie, proporce
 pogrzebne.
4. A grają im dzwony
 ze wszystkich kościołów
 ogromne, tętniące,
 podniebne.
5. A śpiewy nad nimi,
 jak skrzydła Aniołów,
 kołyszą się górne,
 wróźebne.
6. A idą posepni
 ze wszystkich kościołów
 z cechami, wieńcami,

co kwietne, pachnące,
w tysiące były liczone.

7. I chłopcy sukmanne
i pany strojone
w ponsowe żupany, delije.
8. I dziewczki przekrasne,
panięta przejasne,
jaśniejsze niż białe lilije.
9. A idą żałobni,
a idą posepni
przez długie ulice podgrodne;
a idą żałobni,
a idą posepni,
choć niebo błękitem pogodne.
10. Wiatr chmury przegania,
to skrywa, odsłania
orszaki pochodne, stokrotne;
11. A cienie się wija,
to jaśnia, to kryja,
to w biegu znikają przelotne.
12. A oni posepni
a grają im dzwony
ze wszystkich kościołów zawodne
.
13. Czyli łąki nietknięte tak gwarzą,
Czyli kwiaty wycięte się skarżą,—
Czyli łąki i łąny się klonią,
Czyli wiatru przygięte pogonia.
14. Czyli to lasów stoki się chwieją,
Czy tak wieńce jodłowe wonieją...

Czy to lasy sosnowe się klonią,
Czyli wiatru przygięte pogonia.

15. Za orszakiem,—czy to łąki szarzeją...
za orszakiem, czy to łąny już gwarzą,
za orszakiem, czy to bory się chwieją,
za orszakiem, czy to lasy już idą...
czyli pszczelne roje tak brzęczą
za orszakiem—czyli ziemie tak jęczą.
16. A idą żałobne
posepne, pogrzebne
i łąki pachnące
i lasy podniebne,
wnuczeta moje pogrobnne.
17. A grają im dzwony
ze wszystkich kościołów
ogromne, tętniące,
wróżebne.

.

LXXXIV.

Już stokiem wzgórza gromnie żar ofiarny
wije się rzeką światel, co migocą;
włókł się olbrzymi wóz, całunem czarny
wśród masztów, których chusty się szamocą;
wicher żaloszny zawiewał cmentarny,
jakby w godzinę duchów przed północą.
— Tam proch królewski mój ze czcią wieziony.
W taką to chwilę ja, widmem zjawiony,

LXXXV.

Stałem się Duch, modlitew wskrzeszon cudem,
a strzep mych szat powionął nad ich głowy,

gdym ja w koronie widmo gażał z ludem;

XCH.

Naród mój tak się we swą przeszłość weśnił;
 Schodził we wszystkie grobowe piwnice,
 z trupami się, umarłymi rówieśnił,
 badał im w trzewach skonu tajemnice;
 że sam w tych ciągłych łzach i płaczach pleśnił,
 brózdami czoło poorał i lice
 i starzał,—w coraz dalsze patrząc groby;
 wzrok tężył w mroczne podcienia żaloby.

XCV.

A tacy byli skorzy, tak się rwali,
 tak ich ten grób, trumny wesela;
 że jakby innych radości nie znali,
 tylko te, gdy cmentarze światłem ściela;
 w najświetniejsze się stroje przybierali;
 miodem się, mlekiem, chlebem z trumną dziela.
 Smutni zawsze,—naraż prędsi, gospodarni,
 żywi!—tak piękni byli! a cmentarni.

XCVI.

I nazywali królami tych marnych,
 którzy się w własnym lubowali jęku;
 co twarze przysłoniwszy w kirach czarnych,
 stawali przed narodem z harfą w rękę;
 serca na stołach palili ofiarnych,
 durząc się dymem przy harf rzewnym brzęku;
 a chodząc w kołach z lauru drzew uszczekniętych,
 przyrównywali się do polskich świętych.

XCVII.

Wnętrznosci rozkrawali męczennika,
 wróżyli z trzew o jutra przyszłej dobie,

badali loty ptaków, bieg ponika,
 gwarzyli, że się Dziecię zjawi w żłobie;
 widzieli Go w postaci ogrodnika
 że wstał, choć zbrojna straż przy Jego grobie.
 — I żadne wróżby ich się nie spełniały
 a we wróżbitów patrzył naród cały.

CIII.

— rzuciłem w mowę młot, że piersią bryznął...

Z POEMATU „BOLESŁAW ŚMIAŁY“.

I.

Siedziałem — gdy to okropne zjawisko,
 przed którym wszyscy przysłonili oczy,
 wchodziło,—biskup,—ludu zbiegowisko;
 ciżba wylekła ich ku drzewom się tłoczy,—
 ja patrze,— bo już miałem to przezwisko
 Śmiały, — gdy cała ta procesya kroczy...
 Lecz po cóż niosą chorągiew Anioła...
 jakby na walkę Piekła i Kościola?...

II.

Pochylały się chorągwie z łomotem
 u wrót, nim wstały na izbie przede mną
 a chyląc się, mierzały we mnie grotom
 krzyżów,—iż trwożę uczulem tajemną,
 gdy się Archanioł rozwijał ze złotem,
 w perłach, z tą twarzą malowaną ciemną,
 a skrzydła w ponsach i mieczysko kręte,
 weń łyskawice gromowe zakłete.

III.

I zaciemniała się zwolna komora;
wnosiły mrok i noc te chusty Boże,
po siwych ścianach pobielanych dwora
szły cienie jakichś postaci potworze:
lud na kolana rzuciła pokora,
a w tym ponurym pomroków wieczorze
zorze świec twarze rozświecały mnisze, —
nad niemi dymne smugi śpiew kołysz.

IV.

Nikt nie śmiał oczu podnieść, wszyscy w lęku,
i ten korowód mnichów, co przykłęka
z zapalonemi gromnicami w rękę,
i dzwony, śpiewem głuszone bez dźwięku,
i lud, któremu w żalu serce pęka;
a wszyscy kłatwie rzekli: niech się stanie—
i potępiali moje królowanie.

VIII.

Co miały znaczyć łamane gromnice,
nie wiem — lecz straszne było to rzucanie;
i wstręt mnie do nich brał i błyskawice
gniewu, że ledwie znalazł hamowanie,
by nie cisnąć w biskupa twarz mej rękawice
żelaznej — za to księżę wyklinanie; — —
poszli — ostalem sam w tronowej sali;
wnątrż piersi mściwa złość wre, gorze, pali.

IX.

Ostalem sam i patrze,—sala mroczna
i te leżące na deskach okruchy
wosku i duszność kadzidel powłoczna
w smugach,—że jakieś wijące się duchy;—
ja sam, że tak mię opuścili do czna
wszyscy. — Za dworem świszczą zawieruchy,—

brząkają w łuski rybie u okiennice,
miecą gałęzi drzew na płatwy ścienice.

* * *

XXI.

Na skale Kościół-katedra biskupia;
kamień do różnych przyciosany garbów
biały; — — a w światłach nocy twarz się trupia
patrzała z okien wąskich i wyszczerbów;
jak gdy się włos i ubiór zeskorupia
prastary, jakby Sezam kłętych skarbów:
Wid-truchło,—tak jawiła się twarz sroga
w kamieniach, które miały rysy Boga...

XXV.

Mszę sprawiał, gdy rozwarłem drzwi kościoła;
lud kłęczy, — wszyscy modłami zajęci,
na ołtarz patrzą, do Bożego stoła
przystępujący; oni nas nie widzą zgola,
tylko z ołtarza patrzą na mnie święci.
I właśnie biskup podnosił oplatek
maleńki...

XXVIII.

ale nie kreślił znaku,—stał w milczeniu,
z oczyma w jakąś straszną dal poza mną,
jakbym w tem jego nie istniał widzeniu,
przepaść otwierał straszliwą, rozłamną
pośrodku nas obydwu,—w rozdzieleniu
tem głębiąc moją duszę, jako kłamną,...
— że już leciałem na oślep przed siebie,
we krwawym wszystko nurzając pogrzebie.

XXIX.

Zabiłem.

XXXVI.

Znienawidziłem kwiecie i dźwięk pieśni;
 wygnałem śpiewców, wypaliłem darnie
 a Echa do mnie biegły wciąż boleśniej
 szarpać mą duszę i nowe męczarnie
 rosły i potężniały,—czulem pleśni
 w sercu, że serce się do dźwięku garnie;
 żyłem w rozłamie roztrwożonej duszy,
 nasłuchujący tych Ech w wielkiej głuszy.

XXXIX.

Wszędy w mych oczach to widmo skrwawione,
 gdzie pojrzę:—lecz już z kawalców zrosnięte,
 z ręką na klątwę wieczną zamierzone,
 straszliwe, jako Świętość okrzyknięte. — —
 Jakaś północnych rozdarłem zasłone
 tajemnic,... że już wstają trupy ścięte,
 w mem państwie straszne szerząc trupie rzędy,
 żem jest wyklęty król przez Boże-Sądy.

XL.

Miałem opuszczać kraj, z poczem i zbrojno;
 zebrać pomoonych i wrócić co rychło;
 zapalić wszystkie ziemie nową wojną!
 Możeby w ogniach o zbrodni przycichło!
 We krwi wykapać się kapielą hojną.
 Być królem znowu

LXII.

Przez gąszcz ścigają mię zwierzęta-ludzie...
 Uciekam, poza sobą śmiechy słyszę, —
 to cichną,—zbieram się w największym trudzie
 biedz dalej,—ledwo chwast się gdzie kołysze,
 wiatr zmilkł,—zwalilo mnie na drzew wykroty
 a ja już z trwogą nasłuchany w ciszę,

LXIII.

A już wieść chyża, żem przez psy rozwleczon;
 zaginał w boru ostępach szalony;
 żem był oszalał, przez wróże urzeczon,
 rozpalon jedną tą żądzą korony;
 żem był przez moich koniuchów zasieczon
 z litości,—jako jadłem zarażony;
 żem ja w obłędzie, upojony winem,
 w oczach dworaków znęcał się nad synem.

LXXXV.

Opowiadali to za moich czasów,
 że gdzieś w Karpatach król Chrobry zaśnięty
 w grotach, u wstępu do podziemnych lasów,
 jego rycerstwo i on jak zaklęty,—
 przy koniach, zbrojni;—że do tych tarasów
 dostąpić nie śmie nikt, bo, czartem wzięty,
 może skamienieć; więc, że lud się boi
 i że skrzydlaty ktoś we wrotach stoi.

LXXXVI.

Upodobałem tę powieść szeptaną
 na wieczornicach, o mroku, tajemną,
 z nabożną wiarą w jej moc powołaną,
 która rozdziera prawd zasłone ciemną. —
 Gdy się ode mnie króla odwracano
 i teraz, gdym już wiedział, co nade mną,—
 Tam! do nich! do tych grot mego pradziada!
 tam wejść i krzyknąć: wstań! korona pada!!

LXXXVII.

Ja, który byłem żywym prawd wcieleniem
 o tych rycerzach, niezwrotny, konieczny;

com zatrzęsł królów całym pokoleniem,
com stał w mej Sławy blaskach, jak słoneczny;
dziś słucham baśni,... dziwnem zamyśleniem
oplółł mą duszę czar,—staje się wieczny
i myśl i zapęd mój dzisiejszej chwili
wieczyste, — — że się duch do lotu sili.

XC.

Byłem na górach, wdychałem szeroko
do pełnych piersi powietrze to halne;
tu zapomniałem był, że krwi posoką
obryzgał ołtarz tam i sługi mszalne;
tutaj widnokrąg daleką roztoka
wierchów,—te na nich wichry borealne,—
leczył,— — tu nawet śmierć mego syna...
Już jakby przepadł był głos, co przeklina.

XCI.

Więc przebiegałem wszczeg skalne wierzchnice,
a za mną ostry wiatr ten skalny, dująć;
groty przetrzasłem górskie, grot piwnice,
różne domysły z onej klechdy snując,
na wszystkie Tatrow wdarłem się turnice,
rycerzy onych śpiących upatrując. —
Jako jest długi w łańcuchu skał szaniec,
nigdzie i nigdzie od krańca po kraniec.

XCIV.

Ból przeinaczał kształty wkrag widziane
i czynił żywe dziwo śpiące w duszy;
stawiał wśród złomów zjawiska wolane
w martwych kamieniach tej pustynnej głuszy;
że się zdawało nieraz: skała ruszy,
mająca twarze, jak ludzie pospane.
Naraz ujrzałem wojsko, jak w błękitach,
słońcem czerwonym oblane po szczytach.

XCV.

Konni, w rynsztunkach ciężkich, jak w skorupach,
jak był daleki widok skalnych złomów,
w tych zorzach wszyscy, jak na zwałisk kupach,
na górach, niby ruinach zamków, domów...
Olbrzymy,—całe nie duchy wklęte w trupach;
dziw, co dał powód do baśni i pomów;
jakby po skałach w słonecznej czerwieni
żywa płynęła krew siecią strumieni.

XCVI.

W ciężarach tarcz i zbroje mchów zielonych,
dzierżący miecze szczerbione i rdzawe —
przed się godzili w ruchach zamierzonych,
goniacy złudną w wichrach lotną Sławę,
że kiedym patrzył zdumiały po onych
rycerzach,—jako lży im ciekły krwawe
z lic w złotem słońcu tem, co ciska zorze,
uczulem jako gnają gdzieś w przestworze...

XCVII.

Już nie widzący granic dla swych pędów,
że już ich oczy sięgły w przepaść ducha,
kiedy dojrzały własnych dzieł - obłędów,
nierozzerwany ciąg widząc łańcucha,
którym przykuci do siodła i rzędów
jeźdźce,—rozpędni, gdy już duch nie słucha
ręki,—że ręka pół-ruchu zmartwiała...
Tak ich na wieczny sen pojęła skała.

XCIX.

I oczym wodził po tych widowiskach,
a myśl za nimi puszczone szalała,
jak, zawieszone w pęd, stały w urwiskach,
że zda się zdolna do wyskoku skała,
aż zrozumiałem... jaka w tych zjawiskach

wielka myśl oczom się postaciowała:
ci są rycerze śpiący, co w pół-ruchu,
w polocie jeszcze cielskiem, spali w duchu.

C.

Śpiący rycerze, to ci, co bezczynni,
ci, co gnuśnieją za domem, czy doma;
ci, co jakimś już dziełami słynni,
już syci Slawy i już ich oskoma
nie unosi,—ci po wszystkie czasy winni,
leniwe duchy, których śmiałość chroma,
których przekleły losy, dawszy wieńce,
i którzy są we wiechach-wieżach jeńce.

CI.

Uciekać!

CVIII.

Szedł zmierzch, zapadła nas Noc w tym pół-szczycie
wiszących,—coraz się widzę samotny, —
a oni dla mnie ścielą się w błękie,
jak widma: padół pod nimi zawrotny,
nieruchomi, jak glazy, jakby w nich już życie...
— Czar!—może jaki nas spętał sromotny:
czuję już, że i mój koń wrasta w ziemię
i że mi senność klei oczy — gnije mię.

CIX.

Przecież się zrywam, potrząsam i żywo
dobyć mieczyśka, zamierzony ręką,
tej chwili w lęku zastęgle ogniwo
czuje, przyłbica spada na twarz szczęką
żelazną,—żem więziony niemocą straszliwą,
jak głaz, — a tem okrutną męką,
że tak w pół-ruchu, miecz poly-wyjęty,
chwycony w kleszcze i w larwę zakłęty.

CX.

I już wschodzące Słońce po tej nocy
ujrzało mnie kamieniem, głazem, skałą
— — a jeszcze mi ostała myśl w niemocy...
— i widzę jak promienie ku mnie słało... —
że prawdę gwarzą ludowi prorocy,
to z przeznaczenia mię losów spotkało,
ten zapęd mój w posążnym glazie zmrożon
i archanielski Sąd nade mną grożon:

CXI.

„Ty będziesz wieczność całą w tym zapędzie
zawieszon, z mieczem gotowym do cięcia,
ty Śmiały, coś mordował Boskie sędzie,
gdy cię kościelne druzgoty kłęcia;
Sądu i miecza wstrzymane oredzie,
aż cię powoła róg do wniebowzięcia:
na Sąd twój biskup dla cię zmógł ementarze,
Jemuż Sąd Boga przeżegnać cię każe“.

MACIEJ SZUKIEWICZ.

Rodem z Galicyi.

Ur. r. 1870 w Sztokholmie.

«Poezye» (1901).

RANKIEM W MORSKIEM OKU.

I.

Jeszcze noc... lecz za chwilę dzień odemknie oczy,
Zmoruszone snem powieki skrzydłem wichru przetrze,
Słonecznym pocałunkiem rozgrzeje powietrze
I nad szarym granitem przepych barw roztoczy.

Jeszcze noc... lecz na nieba spłowiejać przezroczy
Jedna za druga gwiazdy mra już coraz bledsze,
Mgły do skał przytulone frunęły na wietrze
I dreszcz oczekiwania przemknął wzdłuż uboczy.

Wtem jutrznia złotoroga grzbiety gór ubodła.
Krwawia się wirchy, granie, przełęcz i siodła.
W złoty szyszak się zmienił czarny kaptur Mnicha
Wpatzonego w toń wodną, co mimo brzask ranny
Długo jeszcze w perłowej omroczy śpi cicha
Naksztalt jednej, olbrzymiej szyby zwierciadlanej.

II.

Zaperliły się fale. Lekki dym oparów
Stopniał w słonecznym ogniu — w górze, hen! daleko
Kaskada, rozbryzgana w srebrnosine mleko,
Żywym opalem czarny osłoniła parów.

Coraz to głębsze cienie spływają z wiszarów
I po kryształnej toni płamami się wleką,
Drży powietrze przegrzane zawczesną dnia spieką
I błękitem nasiąkłe zmienia dziec w kraj czarów.

Niezamącony spokój... Rzekłbyś — nad ogromem
Przemienionym w bajeczne, mistyczne zacisze,
Nieskończoność na skrzydle zwiśla nieruchomem
I do sere wsacza słodkie zapomnień haszysze.
I oto już się nie jest prochem i atomem,
Lecz duchem nieśmiertelnym... Płynę w blask i ciszę.

TENEBRAE LACHRIMANTES.

Gdy zmierzch zapadnie, widuję w pomroce
Jakiś bezwonny, bezsłoneczny sad.
Drzewa w nim dziwnie smutne i sieroce
I dziwnie smutny każdy krzew i kwiat.

Jaka tam straszna pustka dróg i drózek
I czczość powiedłych bez zerwania róż!
Ktoś przechodzący spojrzeniem je urzekł
I uschły wszystkie bezpowrotnie już.

Dzisiaj nikogo nie widać w tym sadzie,
Z każdego kąta melancholia tchnie,
Mrok coraz gęstszy na ścieżkach się kładzie
I tak mijają lata, nocy, dnie...

ODRODZENIE.

Zjawiły mi się dzisiaj me przeżyte lata —
Szły jak korowód cieniów pograżonych we śnie.
Splamiona i podarta była na nich szata.
Smutne patrzyły na mnie długo i boleśnie.

U kolan Twoich cicho pokładły się potem,
U słodkich kolan Twoich. Tyś je brała w ręce,
A one w rękach Twoich mieniły się złotem
I odziewały w piórka i skrzydła ptaszęce

I w górę uleciały. Promienne ich lotki
Powiązały się razem w opalowe sznury
I, przerzucając pomost tęczy i słodki,
Niebios z ziemią sprzęgły przez mgły i przez chmury.

Po tej skrzydlanej tęczy, zapatrzeni w siebie,
Szliśmy oboje płacząc... Świat zniknął nam z oczu,
Tylko gwiazdy i słońce płonęły na niebie
I dwie dusze błękitne w błękitnem przezroczu.

I nie był to sen tylko...

POKŁON.

Gdzieś daleko wieczorna dogorywa zorza.
Jak ona cicho kona!... Ostatnie jej tchnienie,
Jakby niedosłyszalne już błogosławienie
Kładzie się na schylone źdźbła i wiechy zboża.

Najmniejszych nigdzie szmerów ni głosów dokoła...
Beznierna, głucha cisza... Tylko wśród bezdroża
Idzie wielkością swoją zdumiona Moc Boża
I gnie w pokłon dla Siebie harde, ludzkie czoła.

ENDYMION.

W rzosowiska pod skroń mu się kładą,
Smukle chwieją się nad nim dziewanny,—
On niedbały ni barw ich, ni woni
Śni samotnie swój sen bezustanny.

Płoną świty różowe poranka
I złocista dopala się zorza,—
On z jednako wciąż bladym obliczem
Z kwiecistego nie może wstać łoża.

Nieraz kregiem lecące podmuchy
Przez swawolę laskocą go we śnie,—
On jednako bez ruchu wciąż leży
I uśmiecha się przez sen boleśnie.

Z zatajonym wciąż czeka oddechem,
Aż noc blaski miesięczne roztoczy
I na usta upadnie spragnione,
Na spragnione upadnie mu oczy.

Wtedy ręce zaplata kurczowo,
Wizję światła na senną pierś garnie,
Sklep niebieski mu stropem alkowy,
Ślubnem łożem pachnące wkrąg darnie.

W tym napoły omdlałym uścisku
Dziwne, dziwne wstrząsają nim dreszcze—
Jakieś słońce widuje olbrzymie,
Purpurowe zlaknionej krwi deszcze,

Jakieś szaly w splonionych róż wieńcu,
Nieznane, śmiertelne pieszczoty
I w przeczuciu rozkosznych upojeń
Klnie swym więzom snu i martwoty.

I choć wieczne mu życie udziałem,
O pożodze krwi marzy wciąż we śnie, —
Leży blade na wrzosach i kwiatach
I uśmiecha się przez sen boleśnie.

FATUM.

Zbudził mię i iść kazał... Nie wiem, kto on taki —
Czasem, choć go mym oczom gęsta mgła zacienia,
Myśle, że on ogarnia gwiazd kolistę szlaki
Ogromnem swoim skrzydłem z wichru i z płomienia
I że tylko on jeden dokąd zechce lata,
Dzierżąc w żelaznej dłoni zrab całego świata.

Zbudził mię i iść kazał... Jeszcze mi pod rzesą
Resztki snu się czaiły. Jako na wiatr zdane
Drzewa strwożonym liściem kołyszą i trzęsą,
Tak się trząsałem i oczy otwierałem szklane
I nie śmiałem go pytać, dlaczego i po co
Zbudził mię i napelnił trwogą i niemocą?

A on mię wiódł i stawiał na leśnej rubieży
Śród borów nieprzejranych. Skały wkrąg i drzewa,
Na omszałych wykrotach wilgotny mrok leży
I żaden świeższy podmuch puszcz tych nie przewiewa
I żaden promień słońca nie wpada złościście
Przez rozpięte w dach czarny czarne, smutne liście.

„Oto ścieżki dni waszych! Krwawo tu i mroczno —
„Lecz jest w głuchym ostepie czarowna polana,
„Kędy ci, co ją znajdują, wytchną i wypoczną.
„Lecz jest góra blaskami słońca bramowana,
„A na niej dla piastunów tęsknoty i żalu
„Cudowny z tęcz i złota gród świętego Grału“.

„Oto, com wam zgotował! lecz jeśli zobaczę,
„Że z gęstwiny na światło wychylił się który,
„Wtedy Gryfy, posłuszne mej woli siepacze,
„Cisnę na was, a łap ich żelazne pazury
„Kości wasze rozwłoka i na wiatr rozsieją!“

Tak mnie zbudził i kazał iść i iść tą knieją.

WŁADYSŁAW ORKAN

(Pseudonim).

Ur. około r. 1870 w Galicyi.

Z TEJ SMUTNEJ ZIEMI...

Na łąki, pola i ugory skalne
Białością spływa cisza południowa;
Ciepłe od skrzydeł roznosi powiewy,
Po drzewach wiesza ramiona upalne
I w cieniu jodeł skroń gorącą chowa.
Znieruchomiał jałowiec i krzewy,
Ucichły stare, szeleszczące osty,
Trawy bez szeptów rosną — zda się: czują
Tę białą ciszę idącą po ziemi...
Jeno pajęczki muszki owdzie snują
Szara nie życia — i wiszące mosty
Na wiatr z mozolnie powiklanej przedzy
Kładąc, nie wiedząc, że jutro czy przedzej
Deszcz je zatopi może razem z niemi.

Na łąki, pola i tloki skaliste
Płynie za ciszą spokój nieprzerwany,
Jakieś od mogił milczenie wieczyste,
Żalność błękitna, żal w niej zakochany
I dziwnie rzewne jakieś zadumanie.

Idą po ziemi i na każdym łanie
Siadają spocząć, jak spoczywa starość
Na grobach dawnych... Gdzie spojrzeć przed siebie,
Nie — jeno martwa i milcząca szarość,
Nie — jeno pustka wielka, nieskończona,
Z oczodolami utkwionymi w niebie.
Nie nie zamaci głuszy. Czasem wrona
Zakracze, kiedy nad tą ziemią leci
W kraj, gdzie i ptactwu dłużej słońce świeci.

Na łąki, pola i puste zagony
Płyną za białą południową ciszą
Umarle pieśni... Ludzkie ich nie słyszą,
Nie wiedzą o nich... a przedziwne tony
Grają po trawach, szeleszczą po zbożu,
Jak pieśń szeptliwy dziecka przy łóżu
Umierającej matki... Gdzie doleć,
Tam lży, po liściach spadając, zaświeca,
I lekkie w ziemi skryją się westchnienia.
Skon południowej ciszy... Zimne drżenia
Przechodzą polem... Kolyszą się liście
Traw, i włosiste pochyła się zboże,
Jakby odczuło skądś dalekie przyjście
I włosy chciało ślać pod stopy Boże...

Wśród łąnów sennych i sennych ugorów,
Wśród tej bezmiernej pustki i bezkresnej —
Jakby dalekich zaświatów zjawisko,
Naksztalt mgły wiotkiej, zwiewnej, beczcielesnej,
W otęczy sino-błękitnych kolorów
Przepływającej ponad ziemią nisko —
Widnieje w słońcu przezroczyste biała
Postać Chrystusa... Ramionami swemi
Piersi przyciska, jakby z mogił wstała
I niezakrzepłe miała w sercu rany.
Jak nędzarz świata, który na tej ziemi
Nie ma i kąta, gdzieby głowę skłonił —

Tak Syn człowieczy schodzi na kurhany,
 Na groby, które pył wieku osłonił,
 Na tę krainę leż i wiecznych cieni,
 Krainę smutną brzoź, jodeł i sosen,
 Gdzie głód się rodzi i owies zieleni,
 A ludzie dawno zapomnieli wiosen.
 Schodzi na pustki, ugory i niże,
 Z wielką białością południowej ciszy,
 Z wiecznym spokojem dusz, niosących krzyże,
 Z umarłą pieśnią, której nikt nie słyszy.

I po tej ziemi idzie przez pustkowia
 Martwe w dal jakąś nieskończenie wielką,
 Za którą leży mrok... Na złotej głowie
 Łza Matki jego zastygła kropelką
 I błyszczy w słońcu, jak na tęczy rosa.
 Włosy wiatr mąci... Od każdego włosa
 Smugi się złote na ramionach kładą;
 Bładoróżowe z nich padają zorze
 Na twarz bolesną, wychudłą i bladą
 I rozświetlają, jak słońce, gdy złoci
 Białe, na liściach rozwieszone płótno.
 Oczy anielskie, z których błyszczy morze
 Leż i jezioro nadludzkiej dobroci —
 Patrzą w bezkresną dal bezniermie smutno...

Rzędem jałowce zasepione siedzą
 I ośniedziałe zboże się kołysze,
 Gdy Syn człowieczy, znędzniały i bosi,
 Wśród głuchej pustki idzie wąską miedzą.
 Wstają ku Niemu wiatrów towarzysze:
 Łzawa Niedola, rozpuściwszy włosy,
 Jak siny obłok przez powietrze leci;
 Wychudła Nędza wlecze się po tłoku
 I z nią prośbą wyciąga swą szyję;
 Ból się w jałowcach poza cienie kryje,
 Lecz jęk zalata hen i ogień świeci,

Jak fosforyczne próchno, w jego oku.
 A ciemna Rozpacz z wiatrem się szamoce
 I ręce łamie nad głową i wyje,
 Jak zawierucha pól w zaduszne noce.

Za odchodzącym w dal wołają: „Chryste!“
 I wyciągają w przestrzeń swe ramiona,
 Tam—gdzie mgławice kręcą się wieczyste,
 Gdzie się poczyną Pustka nieskończona!...

LUCYAN RYDEL.

Ur. 17 maja 1870 r. w Krakowie.

»Poezye« (1902).

WIECZERZA PAŃSKA.

Był wieczór Paschy. W milczeniu głębokiem
Siedli napoju pożywać i jadła —
Wieczernik szarym napelniał się mrokiem.

Półjasność zmierzchu, mglista i wybladła,
Na stół, białymi zasłany rańtuchy,
I na ich twarze łagodne się kładła.

I cisza była; a w tej ciszy głuchej
Przez kratę okna powiew coraz rzadszy
Gnął z pól zielonych wiosniane podmuchy.

Wpółśród rybitwów tych ubogich siadłszy,
Chleb w obie ręce wziął i kielich wina
I zadumany w twarze uczniów patrzy.

A w tych źrenicach Człowieczego Syna
Mistycznych brzasków grała światłość złota
I myśl ogromna jakaś i jedyna...

Z ich oczu serca patrzała prostota,
Pierwsi pić mieli z kielicha Miłości,
Pierwsi pożywać mieli Chleb Żywota,

Iż byli jako ptaki leśne — prości.

CHRYSTE, O CHRYSTE!

Z barłogu mego, z czarnych nędz otchłani,
Do Ciebie wołam z krwawym serca płaczem:
Jak ci żeglarze wichrami chłostani
I jak pielgrzymi w zbłąkaniu tulaczem,
Z głębi mej duszy w przestwory gwiaździste
Do Ciebie wołam krwawym serca płaczem:
Chryste, o Chryste!

I choć przesytem zmęczone aż do dna,
Serce ku Tobie drży i Ciebie pragnie,
Jak ta spragniona rosy lilia wodna,
Co lodygami grzęznąć w mętnej bagnie,
Twarz tęskną zwraca na zorze ogniste —
Serce ku Tobie drży i Ciebie pragnie,
Chryste, o Chryste!

Krom Ciebie, niebo i ziemia mi zbrzydły,
Ty jeden koisz smutki dusz sieroce;
Więc, jak ptak błędny z podartemi skrzydły,
Do nóg Twych padłszy, duch mój się trzepoce
I wznosi na Cię oczy bolem szkliste.
Ty jeden koisz smutki dusz sieroce,
Chryste, o Chryste!

Usta do stóp Twych przebitych przyłożę,
Słodki Twych oczu spokój mię ogarnie —
Znekany jestem: — w nadebmurne przestworze
Rwałem się myślą i spadałem marnie,

Ścigałem ziemskich złud ogniki mgliste...

Słodki twych oczu spokój mnie ogarnie,

Chryste, o Chryste!

Chwytam się Ciebie rękoma drżącemi,

Nie daj mi zginąć w ciemnościach bezbrzeżnych!

Prochem jest ziemia, a jam prochem ziemi,

Lecz mnie nie strząsaj z bieli szat swych śnieżnych —

Stwórz we wnętrznościach moich serce czyste,

Nie dej mi zginąć w ciemnościach bezbrzeżnych,

Chryste, o Chryste!

Jam kwiat wędnący na życia lodydze,

Weź mnie do Siebie, bom już pójść stąd gotów:

Dość mi obłędów, które wkoło widzę,

Dość mi już własnych upadków i wzlotów...

Weź mię na ciszy łono wiekuiste,

Weź mię do siebie, bom już iść stąd gotów,

Chryste, o Chryste!

W NOC MIESIĘCZNĄ.

W błękitną, cichą noc miesięczną

Ktoś na skrzypcach gra,

Melodya płynie falą wdzięczną,

W powietrzu jasnym drga.

I brzozy stoją zasluchane

W harmonię słodkich brzmień...

Księżyc na białą dworu ścianę

Rzuca gałązek cień.

Coraz namiętniej, rzewniej, więcej

Rozbrzmiewa skrzypiec ton,

Jakby żaloszny płacz dziewczęcy

Z dalekich leciał stron.

I brzozy w księżycowym srebrze

Rozwiałły siwy włos,

Słyszac, jak żali się i żebrze

Lkających skrzypiec głos...

PRZYSTAŃ.

Jest przystań jedna spokojna i cicha,

Owiana mgłami, nakryta pomroką,

Kędy w ciemnościach żaden wiatr nie wzdycha,

Gdzie gnuśne wody, rozlane szeroko,

Nie śmia uderzać o skaliste złomy,

Co ponad martwą piętrzą się zatoka.

Na skalach siedzi Sfinks — i nieruchomy

Umarłą przystań trzyma w swojej straży

I szklistej toni bezkresne ogromy.

Woda odbija siność jego twarzy

I wielkie ciągle otwarte powieki,

W których się jakaś tajemnica waży.

Siedzi, źrenice w przestwór wbił daleki,

Jak gdyby temi krwawemi oczyma

Widział w ciemnościach mijające wieki.

Umarłą przystań w straży swojej trzyma,

Do której wiecznie płyną czarne łodzie,

Chociaż ich żagli żaden wiatr nie wzdyma.

Bez szmeru suną, bez plusku po wodzie,

Chwieją się tylko w jednostajnej mierze

I bieg ich ledwie ślizkie nurty bodzie.

Blade anioły w łodziach są przy sterze

A na pokładzie stoją smętne duchy,

Bielmem oczu trupich patrząc na wybrzeże,

Na ten ład ciemny, skalisty i suchy,
I na twarz Sfinksa ołowiano siną,
Który się ciszy przysłuchuje głuchej.

Tak pochylone nad czarną głębiną,
Z rękoma kornie na krzyż złożonemi,
Duchów gromady coraz nowe płyną.

I zawijają pielgrzymowie niemi
Do tej zatoki nieznanego świata,
Gdzie ani dzwony pogrzebowe z ziemi,
Ni jęk żaloby ludzkiej nie dolata.

CENTAUR I KOBIETA.

Gwiazdy bledną. Powiewnym oparem nakryta
Równina w dal się ciągnie gładka, nieskończona
Aż gdzieś, kędy — jak rzeka ognisto czerwona —
Pod zielonawem niebem krwawa prega świta.

Cisza. Nagle po rosie zagrzmiwały kopyta,
Głośny jęk się rozlega i bez echa kona,
Grzbiet koński we mgłę miga i białe ramiona
I płowa struga włosów na wietrze rozwita.

Ponad tą jasną głową i tem śnieżnem ciałem,
Kolo którego śniade ramię się oplata,
Chyli się inna głowa ciemna i brodata:

To centaur, co kobietę w objęciu zuchwałem
Naga, mdlejącą niesie rozchukany mwałem —
...Nikną w mgłach... tętent cichnie...

lecą na kraj świata...

SYRENY.

Morze, zielone morze w niezmiernej przestrzeni,
A nad niem księżyc mleczny
w błękitnej przezroczystości;
Świetlisty nurt za nurtem z daleka się toczy
Śnieżny piana, iskrzący błyskami promieni...

Od czarnych skał ku niebu
wionął śpiew syreni —
Leżą na głazach, w księżyc wbiwszy łzawe oczy,
Na pierś dziewczęcą woda spada im z warkoczy,
Od bioder łuska rybą tęczowo się mieni.

Śpiewają. I pieśń leci, omdlewa i gniew się
Dziwna, smętna, cudowna, podobna ich ciałom:
Na dnie mórz urodzona w koralowym lesie...

— Nagle jedna wskazała poza skalny załom:
Żagiel, w dali,
na mętym, srebrnym widnokresie —
Śpiewają... Żagiel płynie... płynie wprost —
ku skałom!

Z CYKLU „ŻONIE MOJEJ“.

I.

Już się do snu kładzie,
Zamyka okienko,
Siadź-że ty, słowiku, w sadzie
I wyciągaj cienko.

Srebrny miesiąc świeci
Na tej białej ścianie,
Niechaj przez sen ją doleci
To twoje śpiewanie.

Z kwitnącej jabłoni
Leć na kwietną wiśnię,
Głos twój niech jej o mnie dzwoni,
Może się jej przyśnić.

Leć na kwietną wiśnię
A z wiśni na gruszę,
Śpiewaj, póki świt nie błyśnie,
Że mi wzięła duszę.

II.

Poszła ze mną za dom do ogródka,
Usiedliśmy na ławce pod ścianą.
Była trwożna i taka cichutka,
Kiedym patrzył w jej twarz ukochaną.

Lipa kwitła przed nami w ogródku
I pachniała drobnem kwiecikiem złotem...
Gdym za rękę brał ją pomalutku,
Serce we mnie waliło jak młotem.

„Chciałabyś mnie?“

— „Myśle, żebym chciała!...“

„Wierz mi, Jadwiś, że nam dobrze będzie.“

— „Wierzę, panie!...“ A lipa słuchała
I słuchały nas kwiatki na grzędzie.

I nie kwiatki i nie lipa sama,
Całe niebo słuchało nas z góry,
I błękitna rozwarła się brama
I Bóg słuchał i anielskie chóry.

III.

Moje ty słoneczko, moje ty kochane,
Już o tobie myślę, wprzód nim rano wstane,

Już o tobie myślę, ledwo się obudzę,
Żeś jeszcze nie moje, żeś jest jeszcze cudze.

Niejedna niedziela jeszcze minąć musi,
Zanim ciebie wezmę z domu od matysi,
Nim ci druchny przypną wianeczek u czoła,
Zanim nas posadzą po dwóch stronach stoła,
Nim tatuś nam w ręce włoży pół-bochenka,
Nim tobie u progu zaśpiewa druchenka,
Nim na pożegnanie zaśpiewają chórem
A drużbowie wdzieją czapki z pawiem piórem.

Oj Maryacka wieża wygra godzin wiele,
Zanim z tobą klękę w Maryackim kościele,
I te żniwa przejdą i wieniec kłosiany,
Zanim nam zagrają Maryackie organy,
Nieraz się na niebie odmieni miesiąc, a
Zanim my dojdziemy do ślubnych obrączek,
I niejedne zorze zagaśną różowe,
Zanim tobie włożą czepeczek na głowę.

Jakże ja doczekam, jakże ja dostoję,
Żebyś ty, słoneczko, było całkiem moje.
Serce we mnie pragnie, dusza moja czeka,
Na słoneczko moje pozieram z daleka,
Z daleka pozieram, od kochania gine,
Jechałbym do ślubu choćby za godzinę,
Leciałbym do ślubu choć boso przez ciernie,
Bo kocham nad wszystko, a wiecznie i wiernie!

IV.

Zagrajcież jej, grajkowie,
Bo już wyszła z komory —

Wyszła z wieńcem na głowie
Ta jedyna, kochana;

Błyszczą na niej ubiory,
Błyszczą na niej katana
W srebrne listki utkana.

Zagrajcież jej, grajkowie,
Bo już wyszła z komory.

Jak królewska korona
Z kwiatów złotych pleciona,
Tak wieniec na jej głowie
A z wieńca na ramiona
Biją wstążek kolory.

Zagrajcież jej, grajkowie,
Bo już wyszła z komory.

Niech mi teraz kto powie,
Czy jest w całym Krakowie,
Czy jest na całej ziemi
Rozkoszniejsza uroda
I z oczyma słodsze mi?

Zagrajcież jej, grajkowie,
Bo idzie panna młoda!

WSTAŃ, PIEŚNI!

Wstań, pieśni, wstań z drgających strun
I dzwoń i dźwięcz;
Przez blask wieczorny złotych lun,
Przez tryumfalne łuki tęcz
Płyn w lazurową nieba toń
I dźwięcz i dzwoń.

Pod tobą w dole, w dole gdzieś,
Wśród lip i brzóz,

W zielonych sadach cicha wieś,
I świegot ptasi w gąszczach lóz
I dymy, które wiatru dech
Gna z niskich strzech.

Pod tobą lany chlebných zbóż
I wstęgi rzek,
I szafirowe tafle mórz,
I skalnych szczytów srebrny śnieg,
Pod tobą w chmurach śpiący grzmot
I orłów lot...

O płyn przez gwiazd promienny pył
W otchłanie sfer,
W zawrotny wir ognistych brył,
W szkarłatny odmet krwawych skier,
W blask opalowy—leć i toń
I dźwięcz i dzwoń!

LUDWIK BRUNER.

(JAN STEN).

Ur. 3 Marca 1871 r. w Warszawie.

»Poezye« (1899).

MORZE.

1. Południe.

W przejasną dal,
Gdzie niema nic, prócz miękkich fal,
Fal cichych, sennych fal,

Płynie mój duch,
Jak lotny puch,
Po srebrnej wód głębinie.

Utkwiwszy oczy w niebieskich chmur
Z piór białych tkany szlak,
Duch mój, marząc, się kołysze,
Jak wsłuchany w letnią ciszę

Topoli drżący liść.
I śni, że oto może iść
Za czarny złom uśpionych fal,
W błękitną, kryształową dal...

2. Zachód.

Schylone nad zachodem słońce gorejące
Rzuciło krwawe blaski—i nagle, czerwone
Jak miedź, spłonęły obszary wód.

Szary mrok, co na fale kładł się tryumfalnie,
W dal nieskończoną pierzchnął i za czarną
Tam horyzontu ukrył się oponą.

Luną pożarną

Słońce zatliło słoną pianę fal
I rozsypałe chmury na zenicie.

Całe przestworze,

Bezdenne głębie nieba i wód

W krwawe sztandary się otuliły,

W zorze płomienne...

I duch mój, wzięwszy skrzydła purpurowe,
Już się do lotu zrywa tam, gdzie nowe
Światło, gdzie żywa tryumfów pochodnia,
Gdzie w złotych iskrach złote słońce błyszczy,
Jak głównia zwycięstw, gaśnąca wśród zgłiszczy.

KIEDY SIĘ Z TOBĄ ŻEGNAM...

Kiedy się z tobą żegnam i odchodzę
Z tą głuchą pustką, co nam w sercach drzemie,
Zda mi się nieraz, że tu, na mej drodze
Potrafił szczęście. Jak mu jest na imię,

Nie wiem, i w jakie kształty się skryształili.
I tęsknię za nim i odchodzę dalej.
Tylko mi usta jakiś ogień pali,

Jak gdyby wyznań nierzucone słowa
Chciały na wargach rozpaczliwie szlochać,

Jak gdyby nagle zbudziła się nowa
Okrutna żądza: ocknać się i kochać.

POWĄZKI.

Jesienny, brudny, szary zmierzch. Już kona
Ostatnia światłość dzienna. Napojona
Mrokami nocy wstaje z mogił lona
Istot umarłych rozpacz nieskończona.

I straszna pustka przez te groby idzie
W śmierci szydce grozie i ohydzie,
W nagich pieszczeli cynicznym bezwstydzie —
Do mego serca przez te groby idzie.

Jaką nam luną winno gorąć życie,
W jakich upojeń nurzać się błękiecie,
Aby rozświetlić tę noc, która skrycie

Do nas przypelza i już niedaleka
Kopie swą otchłań!... Ale nam ucieka
Życie, jak sen, choć tylko śmierć nas czeka.

ZDZISŁAW DĘBICKI.

Ur. r. 1871 w Warszawie.

»Ekstaza«, zbiór poezji (1898); »Noce bezsenne« (1900).

Z cyklu „WIZYJE“.

W srebrno-błękitną idę dal
Ponad brzegami sennych mórz,
Ukołysany graniem fal
I zasluchany w duszę własną,
W której przeżytych echa burz,
Jak harf strzaskanych tony — gasną...

Idę samotny. Nie na bój,
Nie w nowych switań słaby brzask,
Jeno gdzie gna mnie smutek mój —
W dal niezmierzona, w dal bez końca,
Gdzie jest mistycznych ułud blask
I przestrzeń, pieśnią cichą drżąca...

W marzeń, w ukojeń idę kraj,
Przekławszy płomień ślepych żąd
I krzyk waleczących ludzkich zgraj
O pieniądź, co je oszalenia...

Ide — z tęsknoty wielkiej mrąc
Za białym kwiatem zapomnienia...

*

Przez jakieś morze wielkie, sine,
Śród huczącego grzmienia fal,
W błękitną, jasną, cichą dal
Na wątlej marzeń łodzi płyne...

Rytmiczne wiosel pluski słyszę,
I łódź mknie szybciej, niżli ptak,
A srebrnej drogi jasny szlak
Zapada za nią w sen i w ciszę...

Od wiatru żagiel się brzemienny
Wydyma silniej, silniej wciąż,
I łódź prześlizga się, jak wąż,
Po grzbietach fali śnieżnopiennej...

I na bezmiernej, wodnej toni,
Co się bez granic ciągnie — tam —
Jestem tak bardzo, bardzo sam,
I tylko smutek mój mnie goni...

I czy się słońce wzbija złote,
Czy niebo czarne jest od chmur —
Szelestem budzi mnie swych piór
I w piersi nową tchnie tęsknotę...

O, duszo moja! Próżno marzysz
I próżno w jasną przyszłość mkniesz —
Smutek dopędzi cię.. Wszak wiesz —
To nieodłączny twój towarzysz...

NAD MORZEM.

O, niezmierzony wód obszarze,
Rozkolysany szumną falą!
Twoje się piany białe palą
W zachodu krwawych łun pożarze
I rubinowe skry z nich krzesze
Wicher, co grzywy twoje czesze...

O, niezmierzony wód odměcie!
Nad twoim brzegiem smutny stoje,
I w bezmiar idą oczy moje,
A ucho słyszy w mew lamencie
Przekleństwo losu, co mną ciska
I na przepastne gna urwiska...

I taki głuchy żal mnie chwyta,
Żem bez rodziny jest i domu
I nie mam słowa rzec nikomu, —
Że moich marzeń łódź rozbita
I że zapomnieć tej nie mogę,
Co mi, jak gwiazda, przeszła drogę...

I wiodę z sobą sam rozmowę,
A ty, ogromne, jasne morze,
Piany od słońca purpurowe,
W których zachodnie grają zorze,
Pod stopy rzucasz mi w rozgwarze,
Kiedy samotny, cichy, marzę...

I zdaje mi się, że rozumię
Twoją olbrzymia dusza moją,
Że się na jeden ton dostroją,
W jednej zatopią się zadumie,
Jeżeli oddam się twej fali,
Co się tak w słońcu krwawo pali...

ZE „SKARG“.

W życiu jednego mam dziś druha:
 Tesknotę, która mnie ogarnia —
 Słodka to duszy mej męczarnia,
 Choć w wielki czasem żal wybucha...

Świat mię nie nęci swoim szaleń, —
 Ostygła w żyłach mych krew wrząca
 I nic spokoju mi nie zmaca,
 Bo dawno ludzię się przestałem...

Myśl tylko czasem — niby we śnie,
 Na cichych skrzydłach mknąc tęsknoty,
 Wracę do chwili szczęścia złotej,
 Choć wiem, że ona już nie wskrześnie...

*

Tobie się skarżę w cichej pieśni —
 Więcej nikomu nie powiem...
 Kiedyś... gdy dusza sen swój prześni,
 Znowu się z ludzkiem mieszać mowiem...

Dzisiaj się tobie jednej żalę,
 Że mi jest życie obojętne,
 Że biernie kładę się na fale
 Ciche, leniwe, beznamietne...

Że do nieznanych brzegów płynę
 I szukam próżno ukojenia,
 A snując myśli pajęczynę,
 Kłnę bezcelowość wszechistnienia...

*

Samotność witam dziś w zachwycie, —
 Królowę biednych dusz i smętnych,
 W której uściskach beznamietnych
 Wracę mi spokój, zdrowie, życie...

Unikam ludzkich głosów wrzawy
 I w jej objęcia idę senny
 I topię smutek mój bezdenny
 W jakiejś rozkoszy cichej, łzawej...

Niewysłowione mną owłada
 Pod jej szeptami rozemdlenie,
 W piersi mej gasną żądź płomienie
 I dusza skonać-by już rada...

A kiedy wrócę znów do ludzi
 Z dumań samotnych moich tumu,
 Głuchą pogardę mam dla tłumu,
 Co w stadnym życiu się nie nudzi...

SCEPTYCYZM.

Sceptycyzm chodzi między ludzi
 I ziarna smutku sieje,
 Zwątpienie gorzkie w sercach budzi,
 Zabija w nich nadzieję.

Ramiona ubrał w czarną togę,
 Na nogach ma sandały...
 Wyszedłszy z Grecyi w długą drogę,
 Świat zwolna obszedł cały.

Kiedy do mojej przybył chaty,
 Do duszy wdarł się młodej —
 Zrywałem w życiu jeszcze kwiaty
 I z nich sączyłem miody...

W godzinę duchów, późną porą,
 Wszedł do mnie o północy
 I ledwie wyrzekł słów kilkoro —
 Już byłem w jego mocy...

Owionął mnie wnet smutek szary,
Duszę zmroziły chłody,
Ujrzałem piolun na dnie czary,
Gdzie dotąd były miody...

I zapytałem się, dla czego
I pocom jest na świecie?
W rozpaczę odtąd dni me biega,
Zwątpienie pierś mi gniece...

A starzec poszedł sobie dalej,
Ubrany w czarną togę...
Gdzie stanie, ołtarz jakiś zwali
I znowu idzie w drogę...

I tak obchodzi całą ziemię
I szczęście ludzkie burzy,
Nie spocznie nigdy, nie zadrzemie
I — nigdy się nie znuży...

NOX VADIT.

I.

Przez mazowiecką równię senną
Noc idzie srebrna, rzeźka, cicha,
W dal idzie jasną i promienną,
Balsamem śpiących łąk oddycha...

Świerszczów jej dźwięczna gra kapela,
Z traw na nią derkacz głośno woła,
A kwitnącego morze ziela
Chyli się przed nią dookoła...

Wiatr-giermek szatę niesie zwiewną,
Z przedziwa mgły wieczornej tkana,

Za swoją panią i królowną,
W cichy śpiew łąki zasłuchaną...

Przez mazowiecką równię senną
Noc idzie z giermkim swoim cicha,
W dal idzie jasną i promienną,
Balsamem śpiących łąk oddycha...

II.

Idzie noc srebrna, zadumana,
Osnuta siecią mgieł pajęczą —
A przed nią boru czarna ściana,
Zamykająca świat obreczę...

A przed nią stare szumią drzewa,
Sosny srebrnieją od księżyca,
Ciepły już z dala wiatr zawiewa,
Pachnie jałowiec i żywica...

Noc wchodzi srebrna w bór wiekowy,
Wkoło się jodły, modłac, chwieją,
Sosny zielone chylą głowy,
Czar tajemniczy idzie knieją...

Wśród drzew się mości droga złota
I noc przechodzi cicha po niej,
A za nią idzie w mgłach tęsknota
I świerszczów chór w oddali dzwoni...

III.

Noc idzie srebrna, rzeźka, cicha,
Przez mazowiecką równię senną;
Balsamem śpiących łąk oddycha,
W dal idzie jasną i promienną...

I niesie z sobą ukojenie,
I niesie z sobą zdroj pociechy

Przez mazowieckich pól przestrzenie,
Pod mazowieckie smutne strzechy...

Idzie noc srebrna, smętolica,
Na ukochaną patrzy ziemię,
Co przystrojona w blask księżyca
Po bólach dnia w śnie cichym drzemie...

Świerszczów jej dźwięczna gra kapela,
Z traw na nią derkacz głośno woła,
A kwitnącego morze ziela
Chyli się przed nią dookoła...

PRZEZ MGŁY JESIENNE.

Słyszysz? Jesienny deszcz o szyby dzwoni...
Dusza zapada w jakieś półomdlenie — —
Przed nią szarzeją nagich pól przestrzenie,
Mgła się podnosi z cichych jezior toni...

Po uroczyskach błędzą smutne cienie,
Wiatr zwiędłe liście po alejach goni,
Deszcz monotennie o szyby wciąż dzwoni,
Z piersi się ciche dobywa westchnienie.

Pamiętasz? Pokój... Lampa... Stół szeroki...
Deszcz monotennie o szyby wciąż dzwoni,
A my nad księgą — skroń blisko przy skroni,
A w sercach jasność i spokój głęboki...

BEZ BOGA.

Bez Boga duch się wlecze mój
Przeznaczeń swoich szlakiem,
Po ziemi ciągnie skrzydła swe,
Choć niegdyś bujał ptakiem...

Zwichnęła jego lotów moc
Nieznana mu potęga,
Co w nienawistne jarzmo swe
Swobodne duchy wprzega...

Zwichnęła jego lotów moc
Bolesna tajemnica:
Że szczęście krócej stokroć trwa,
Niżeli błyskawica...

Bez Boga duch się wlecze mój
Po smutnych szlakach ziemi
I znikomości ziemskiej proch
Skrzydłami zmiata swemi...

GUARDA E PASSA!

Guarda e passa! Patrz wokół
I obojętnie mijaj tłum,
A wchodząc w duszy własnej tum,
Do góry podnoś dumne czoło...

Guarda e passa! Wicher zmiecie,
Rozkruszy wszystko ziemskie w pył,
Wystudzi ogień twoich żył,
Rozproszy marzeń twoich kwiecie..

Guarda e passa! Wszystkie liany,
Co cię krepują z światem, rwij!
Z krynie poznania rozkosz pij,
W wszechbytu pieśni zasłuchany...

Guarda e passa! Śmierci technienie
Wszystko, co żyje, strąca w grób —
Jedynie z wiedzą wzniosły ślub
Da myślom moim ukojenie...

SZUMI NADE MNĄ ZWIEDŁY LIŚĆ...

Szumi nade mną zwiedły liść,
U stóp źródłana szemrze woda —
Czy w tę, czy w ową stronę iść,
Zachodu, pracy i sił szkoda...

Czy w tę, czy w ową stronę iść,
Zawsze się zajdzie na ten kraniec,
Z którego w otchłań trzeba zniżyć
I oddać życie, jak skazaniec...

Darmo się w walce z losem gryźć,
Darmo rozprezać swe ramiona —
Najnedźniejszego kwiatu kiść
I najpiękniejsza róża skona...

Czy w tę, czy w ową stronę iść,
Zachodu, pracy i sił szkoda — —
Szumi nade mną zwiedły liść,
U stóp źródłana szemrze woda...

PÓJDE.

Pójdę, gdzie lipy teraz kwitną złote,
Tuląc zielenią białe dworu ściany,
Gdzie miesiąc moją osrebrzy tęsknotę,
A cisza zgoi niezgojone rany...

Pójdę, gdzie las mi zaszumie nad głową,
Zapachną smółki i młoda żywica,
Gdzie się rozwieje w mgłę świtu różową
Moja żaloba i moja tęsknica...

Pójdę, gdzieś swojej zostawił pół-duszy,
Nim w świat poszedłem, tulacz i wędrowiec,
Pójdę do kniei domowej, gdzie w głuszcy
Znam sosnę każdą i każdy jałowiec...

Gdzieś kiedyś, w boru wsłuchany pacierze,
Na mchach siadywał, z głową o pień wspartą,
Pójdę, a może tam znowu uwierzę,
Że jeszcze walczyć, kochać i żyć warto...

CZARNE RÓŻE.

Czarne zakwitły róże w moim sadzie...
Na moje pola i na moje lany,
Kędy dzień chodził w słońcu rozśpiewany,
Noc pomrok kładzie...

Czarne zakwitły róże w moim sadzie...
Przesyt i Nuda wzięły mię w ramiona
I dzień mój kona
I noc się kładzie

Na moje pola i na moje łany,
Gdziem chodził szczęściem słonecznem pijany.

Czarne zakwitły róże w moim sadzie,
Chore, zwieszają ku ziemi kielichy,
A z nich wygląda Śmierci spokój cichy,
A z nich wygląda Rozpacz, co w grób kładzie...

Czarne zakwitły róże w moim sadzie...

POWRÓT.

Tyle nie byłem lat
W tej ciszy, w tej ustroni...

Szeroki zbiegłem świat,
Ładami idąc przez bezdroża,
Wichrem przez bezdnie gnany morza,
A dziś mi w uszach dzwoni
Wieczorna cisza tej ustroni —
Kolebka pierwszych moich snów...

Wróciłem więc i jestem znów...
Tak samo świerszcz na łące dzwoni,
Tak samo kwiaty pachną wkoło,
Tylko — smutniejsze moje czoło,
Tylko — już niema moich snów...

Wróciłem więc i jestem znów
W tej ciszy, w tej ustroni,
Tak samo prósz mi na głowę
Różowy kwiat jabłoni,
Tak samo w uszach dzwoni
Ta cisza, której mowę
Z dziecinnych pomnę lat...

Szeroki zbiegłem świat — —
Wróciłem dziś i jestem znów
W tej ciszy, w tej ustroni —
Tylko już niema moich snów,
Tylko mi w rękach uwiadł kwiat
Najcudowniejszej woni —
Tylko — straciłem wiarę w życie
I płynę na rozbiecie — —

Szeroki zbiegłem świat...

WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI.

(Selim).

Ur. w r. 1871 we wsi Święcica (pow. Sandomierski).

»Z marzeń i z życia« (1898); »Poezyi nowy zeszyt« (1901).

PRZYCHODZI CZASEM TAKI DZIEŃ...

Przychodzi czasem taki dzień,
Przychodzi, bracia moi,
Że ten uparty smutku cień,
Co przy mnie wiecznie stoi,
Olbrzymich skrzydeł swoich noc
Nad głową mą rozpostrze
I, łamiąc wszelką ducha moc,
Zatapia w sercu ostrze.

I, ach! przychodzi taki czas,
Przychodzi, siostry moje,
Że, jak labędzie białe, wraz
Pierzchają marzeń roje.
Zostaje straszny życia grób
I nędz codziennych brzemie —
Bezdena rozpacz do swych stóp
Powala mnie na ziemię.

Ale zabłyśnie taki dzień,
Zabłyśnie, bracia moi,

Że duch pod czarem świeżych technień
W nową się moc uzbroi,
Co dzisiaj we mnie pada już
I w pyłe się szamota,
Ze skrzydeł swych otrząśnie kurz,
Gdy błyśnie jutrznia złota.

I, ach! nadejdzie taki czas,
Nadejdzie, siostry moje,
Że, jako burza, ściechną w nas
Te straszne ducha boje.
Co dziś wytwarza w sercach zgrzyt,
W harmonii przejdzie technienie,
Niech tylko znów perłowy świt
Ozłocą dnia promienie!...

LUDWIK SZCZEPAŃSKI.

Ur. 5 marca 1872 r. w Krakowie.

»Srebrne noce« (1897); »Hymny« (1898).

ROSA MYSTICA.

...Rosa mystica
Domus aurea
Porta coeli.....

Na aksamitu czarnych zwojach
Wykwita cudna biała róża:
Z chmur rozścielonych się wynurza
Świetlany blady pąk.

I zwolna słodko się rozwija,
Rozchyła pełne białe łono --
W przestrzeń, blaskami upojoną,
Miesięczny wzniosł się krag.

* * *

Na aksamitu czarnych zwojach
Śni róża biała i promienna.
Rozkwitem odurzona, senna
Pochyla lśniący pąk -- --

W oblasków omdlewając pełni,
Oteczę się osrebrza mgliście

I osypuje blade liście
Na chmur kobierzec w krag.

* * *

Na aksamitu czarnych zwojach
Bładością upojenia pała,
I mrze, i kona róża biała
W ekstazie słodkich mąk -- --

Zgasła, rozwiała się w zamroczu --
Jeno na czarnej chmur rubieży
Opadłych liści biel się śnieży
Smugami srebrnych wstąg.

ZNUŻENIE.

Ach, gdzieś wśród łąk
bladej zieleni
W krag
kryształowa noc się promieni!

W przestworzu drży
ocean biały.
Mgły
jasne łóże moje owiały.

W mglistych szarf
miękkiej oponie
Harf
srebrny akord zmilka i tonie...

I życia scen
szereg rozwiany
W sen
Pod kopułą białą nirwany!

Ach, w tej mgle
deszcz się rozdzwonil perlowych lez!
Śnie,
tonę w bieli, już nadszedł kres —

ARTYSTA DO KOBIETY.

Harfą mi jesteś! Pod mojem zaklęciem
Rozbrzmiewasz hymnu złotostrunnem brzmieniem,
I jesteś cała harmonii wcieleniem
I pieśni żywem źródłem i poczęciem.

Moc mam nad tobą! Mejs ręki dotknięciem
Z pięknej cię czynię nieśmiertelnie piękną,
Że oto duchy szlachetne ukłęką
W kornym zachwycie przed twem wniebowzięciem.

I wiedz: Czyś mi demonem, czy aniołem,
Kwiatem lotosu, czy cysterną szału,
Gdzie pragnień mnie i tęsknot ciągnie siła —

O pani ma i niewolnico społem! —
Ja cię na ołtarz wznoszę ideału
I spalam własne serce, abys żyła!

O PÓLNOCY.

Słyszycie, bije dzwon północy...
Ciemność jak morza szumi toni!
Cóż, może jutro już w niemocy
Opuścić przyjdzie zbrojną dłoń!...
Duch, co wstępował na szczyt owy,
Gdzie płomienisty gorze kierz,
Jutro nie dźwignę może głowy
I runę w proch i zgłiszczów perz!

Tak. Może przyjdzie ów lęk siny,
Groza zawrotnych, chmurnych dróg...
Któż wie, czy patrząc w tajni głębin,
Nie zadrży, miotan wichrem trwóg?
Pielgrzymie! w drodze twej tulaczey,
Gdy żar spopieli sił twych rdzeń,
Piolunu syty i rozpaczy,
Zstapisz w stykowych borów cień...

Ale dziś jednak jeszcze stoje
W rozblasku dumy, próżen pęt,
Orlich rozłaczam skrzydeł dwoje,
Na wichrów je podaję pęd!
Stargałem więzy mocą własną,
We mnie jest prawo! Moc swą znam!
Mrą bogi, słońca w mroku gasną,
Król-duch, swą gwiazdę nosię sam!

Gdy w mrok zniechęceń dzień się schyli,
Blask chwały mojej przelśni mgłę:
Ja wolny żyłem! W zwatpień chwili
Zaprawdę już nie było mnie!
Gdym ponad ziemskim wzlatiał pyłem,
Gdy w sercu bił mi żaru zdroj,
Wtedy ja tylko, wtedy żyłem! —
To chwała moja, żywot mój!

Niechaj niewolnych rzesza biada,
Wszechmocnej widząc śmierci tron —
Żywota źródłem jest zagłada,
Co żywie, temu idzie skon!
W on dzień, gdy padnę, rab znekany,
Gdy mnie zaora cierpień plug,
Pomnijcie: Znałem szczyt świetlany,
Żyłem. Spłaciłem słońcu dług.

NATALIA NIECZUJA-DZIERŻKÓWNA.

(JERZY ORWICZ).

Ur. r. 1873 w Kotużanach (gub. Podolska). //

„Poezye” (1902).

PARKO!... PRZECINASZ NIĆ.

Parko!... Przecinasz nić?...
Zaczekaj... Wstrzymaj dłoń!...
Chcę chwilę jeszcze śnić,
Nim martwą złożę skroń!...

Przeszłości moja!—wróć!...
Jeden mi oddaj dzień!...
Młodości hymn mi nuć,
Mych złudzeń powróć cień!...

Zegarze czasu!—Stój!
Dni moich wstrzymaj bieg,
Tu walka, życie, bój,—
A tam? Tam—ciemny brzeg!...

Gwiazdko!... zabyśnij mi!...
Gwiazdko z dziecięcych lat!...

Niech serce znowu śni,
Że cały zmieści świat.

Niech jeszcze ujrę raz
Mej zorzy jasny świt...
Niech jeszcze ujrę raz
Mych marzeń wzniosły szczyt!...

Ziemio!... Kochałem cię!...
Jam o twem szczęściu śnił...
Lecz mrok otacza mię...
Lecz piersi zbrakło sił...

Rozlej płomienny blask
Mej duszy, lampo mdła...
Czy zachód to? Czy brzask?...
Czy kresu wróżba zła?...

Przedziwny widzę kraj!...
Czym ja w krainie złud?...
Świat nowy—jasny—raj!...
A może stał się cud?...

W tym świecie moich mar
Drga życie—blask—i ruch,
Miłości wieje czar,
Jedności łączą duch...

Na ludzkość splywa moc
Z otwartych wiedzy bram...
I mroczna pierzeła noc...
I prawda nie zna tam...

Lodowa prysła cieśń...
Wśród lasów, dolin, gór,—
Miłości śpiewa pieśń
Złączonych głosów chór.

Zaliż to wszystko sen?...
 Ach!... Więc nie budźcie mnie!
 Nim dzień nadejdzie ten,
 Niech o nim naprzód śnię!...

Zaliż to kres już mój?...
 Jak błogo mi tak śnić!...
 Ziemiol!... Jam w grobie twój!

.....

Parko!... Przecinaj nić!...

JERZY ŻUŁAWSKI.

Ur. 12 Lipca 1874 r. w ziemi Sandeckiej.

»Poezye«, 2 tomy (wydanie nowe r. 1901).

NIE WARTO...

Nie warto marzyć! Snów już i marzeń beczynnych
 W twardego życia walce zamarła epoka;
 Ludzkość, syta już bają i kwileń dzieciennych,
 Innego żąda śpiewu, innego proroka!

Nie warto marzyć! Dzisiaj liryczną już pieśnią
 Nie wzruszysz serca, w duszy nie wzniesiesz płomienia:
 Umilkli trubadurzy, — starą rdzawą pieśnią
 Strzaskawszy lutnie, martwe urwali pół-pienia...

Nie warto... Jeśli czasem nieśmiała piosenka
 Przypomni nutę starą, zdziwieni słuchacze
 Nie pojmą dźwięku, szydząc nad piewą boleją...

Nie warto... Wiem to dobrze—a jednak gdy ręka
 Uderzy w struny, lutnia mi kwili i płacze,
 Miłości piosnki stare dla ciebie się sieją!...

KĘDY-Ś, KRAJU?

Kędy-ś, kraju rodzinny? Tulacz i sierota
Różne ziemie objeżdżam i miasta i wioski,
Ale nigdzie nie mogę pozbyć z serca troski:
Wszędy idzie w ślad za mną, jak widmo—tesknota!

Piękne miasta widziałem pełne sztuk i złota,
Alp widziałem lodowce i firmament włoski,
Morza brzeg i w mirtowych gajach białe kioski,
Kędy mieszka wesele, rozkosz i pustota;

W drodze nieraz z namiętnych ssalem ust przynęte,
Zapomnienia szukałem w towarzysów gwarze,
Kończąc śmiechem udanym pieśni w łzach poczęte,—

Ale sercu nie ulżyć. Dzisiaj tylko marzę,
By powrócić na łany mojej ziemi święte—
I tam żyć i umierać, gdzie ojców ołtarze!

* * *

Nie ma nadziei, kto w spekanej łodzi
Bez żagli, steru, na oślep po fali
Pędzi z wiatrami! Nie go nie ocali,
A patrzeć musi, jak koniec nadchodzi.

Nie ma nadziei, a przecież nie skacze
W burzliwą otchłań, lecz deski się chwyta,
Choć wie, że żadna gwiazda nie zaświta,
I wie, że nigdzie nikt po nim nie płacze.

DUMKA.

Przez kamienie, przez wawozy
Płynie strumyk w dal,
A nad brzegiem srebrne łozy
Grają tęskną pieśń do wtóru
Chorałowi fal;
W każdej nucie tego chóru
Smutek jakiś — żal!

W ciemnym lesie szumią drzewa,
Szumi cały bór —
A wiatr pędzi i przelewa
Pieśni one na doliny,
Hen z wierzchołków gór...
Strumyk, łozy i drzewiny:
Jeden wielki chór!

A z mej duszy z pieśni smutna
Płynie tysiąc skarg
Na dłoń losów złą, okrutną,
Która wszystkie serca glosy
Z białych zdjęte warg,
Jakby zjęte z łanu kłosy,
W świata rzuca targ!

PRZECZ MNIE TY, PANIE, SKAZAŁ...

Przecz mnie Ty, Panie, skazał na to życie?
Przecz mi dał duszę wielką a nieplodną,
Bezsilnie dziką i wciąż wrażeń głodną,
Ciemności pełną, a śniącą o świecie?...

Przecz mi Ty gwiazdy pokazał na niebie
I stracił w otchłań, kędy światła gasną,

I tęsknić kazał za gwiazd marą jasną,
I wiecznie padać, wznosząc się do Ciebie?...

W PROSEKTORYUM.

Sala wielka i chłodna. Okna lśnią wysoko
Śmigle, wąskie, ostrymi sklepione łukami,—
Szyby w olów oprawne. Jasne słońca oko,
Błądząc długo pomiędzy winem i bluszczami,
Padło wreszcie do środka. Złote, drżące płyty
Rzuca wkoło niepewne; cofnąć by się chciało,
Wrócić znowu pomiędzy drzewa, zieleni, kwiaty
Bo tak strasznie tu wewnątrz, że słońce zadrżało.

Wszędzie stoly i trupy. Zimne, nagie ciała,
Usta strasznie rozwarłe i rozwarłe oczy:
Słońce piersi dotyka—piersz twarda, jak skała,
Pojrzy w oko—i krzepnie jak w lodu przezroczy,
Włosa szuka—lecz w czaszce gładko wygolonej
Siebie tylko zoczyło,—złękło się zwierciadła,
Więc co prędzej w obłoków skryło się zasłony
I poseпноść znów większa w chłodną salę wpadła.

Ale trupy nie same. Pośród ciał i kości
Mnóstwo młodych, żyjących, gdyby kruków stada,
Zwłoki zewsząd otacza. Bez cienia litości
Zgraja noże błyszczące w nagie ciała wkłada,
Dziewic łona otwiera, starcom czaszki łupie,—
Serca, mózgi bezczelnie na zewnątrz dobywa.
Uczuć, myśli siedliska dziś w bezładnej kupie
Gnijąc leżą na ziemi i pył je okrywa.

Ciała w grobach złożone, spokojne i blade,
Urok śmierci otacza; pełne majestatu
Zakrywają przed widzem śmiertelną szkaradę,—
Budząc cześć i zadumę, wierzyć każą światu,

Że za grobem jest jakaś tajemna kraina:
Te zaś w prochu zhańbione i ciała i kości
Przestрах tylko wzbudzają i człowiek wspomina
Mimowoli o czarnej i wiecznej nicości...

Pocóż lotem bić w gwiazdy, na co życia wiry,
Na co piękność i szczęście i rozum i sława,
I co z pieśni, co z dźwięku rozżalonej liry,
Po co szaleć i cierpieć, na co praca krwawa,
Na co myśli, co ssają krew, gdyby wampiry:
Jeśli końcem istnienia zgnilizna plugawa,
Jeśli śmierć nas przemieni w marną garstkę błota,
Jeśli wieczność — niestety — tylko bajka złota?

POKUSA.

I.

Nadszedł tedy dzień zwątpień, pokus i rozpaczy.
W dniu tym słońca nie było; cały świat był szary
A w powietrzu wisiały zgniłych wód opary,—
Więc pytałem: czyż nigdy nie będzie inaczej?

Jakże ciemny ten żywot, ten żywot tulaczy!
Mało światła i znikąd w lepszą przyszłość wiary:
Kropla szczęścia nie słodzi bólu pełnej czary,—
A do tego tak rzadko wpaść w tę czary raczy!

Nigdzie, nigdzie oparcia, wszystko drży pod nogą!
Myśli w głowie się biją, jak w klatce ptaszęta,
Na świat chciałyby Boży, a wlecieć nie mogą.

Biedne myśli! i po co rwać żelazne pęta?
Pusty szkielet świat kryje pod jedwabną togą,—
Czemuż nęci was, myśli, trupia twarz zeschnięta?

II.

Warto było dla skrzydeł nie oszczędzać znoju,
I myśla mi szturmować w gwiaździste rejony,
Kiedyś śnił, że rozchmurzyć mogę świat zamglony
I że szczęście wyblysnąć może z tego boju!

Dzisiaj tonę w zwątpieniu, w myśli czarnych roju:
W pierwszym dniu bitwy jestem już ciężko raniony,
W pierwszym dniu pracy jestem już ciężko znużony,
W samym życia początku już pragnę pokoju...

Więc przychodzi czasami jakaś trupia mara,
Mówi: „Czego się lękasz? Stargaj bytu nieci!
Tam cię czeka *Nic* wielkie i zapomnień czara,

Tam cię otchlań i bezzmiar i chaos pochwyci,
Jak ogarnia świec płomyk wątego komara!“
— Jad się saczy do piersi, myśl i duszę syci...

III.

Nie! Precz mi, maro trupia! precz z swoją namową!
Wieczny pokój i wieczny zanik ducha w grobie?
Nie chcę, nie chcę! O, raczej tu w burzliwej dobie
Krwawić czoło o losów ścianę granitową!

Precz mi, maro! Do życia, do życia na nowo!
Duch mój zatrzęsł się w strasznej zwątpienia chorobie,
Ale zdrów jest już znowu, już odpoczął sobie
I chce znowu grzmot słyszeć i surmę bojową!

Może z mojej też walki kiedy kto skorzysta?
Co mi o to, że sam ja nie wezmę zapłaty?
Jęk mój może powtórzy przyszłość dzisiaj mglista,

Może rzuci go w ludzi, jak ziarno na rolę,
W chwili, kiedy ciężarna nowe zrodzi światy
I w rozkoszne przemieni dni pomarłych bole...

NIE WIERZ!

Nie wierz nigdy, o nie wierz, choćby ci mówiono,
Że miłość, szczęście, wiara, to są dźwięki marne,—
Nie wierz, że życie smutne tylko jest i czarne,
Że cierpieniem jedynie technie człowiecze łono!

Nie wierz, że w zgłiszczach gasną płomienie ofiarne
A na ołtarz wystygły dżdże z wichrami wioną,
Że uprosić nie można nic dłonią wzniesioną,
Że zło światu króluje, ślepe i bezkarne!

Nie wierz, choćby sto razy mówili bluźnierce,
Nie wierz, choćby twe własne tak mówiło serce,
Choćby gorzyc łez z oczu płynących mówiła,

Choćby pierś twa spalona strasznym ducha głodem
A stargana rozpaczą, przebita zawodem...
Ty nie wierz — choćby nawet to i prawda była!

ŻYCIE.

O! nie jesteś ty dobre, ani złe nie jesteś,
O! nie jesteś ty straszne, ani też ponętne,—
Jeno puste ogromnie i czeze jesteś, życie!
Trzykroć szczęśliwi, kto umiał wlać ci treść — i toń twą
Myślą swoją zapłodnił! Temu rodić będziesz
Bogów z piersi swej zimnej; ten w twym szumie głuchym
Harf usłyszysz anielskich przenajczystsze pienia;
Przed tym, jako przed królem, będziesz chodząc, życie,
W krwawej gromów purpurze, w rozświtów błękitach,
W złocie zórz wieczorowych, w snów miesięcznych bieli!...
Słabych jednak pożerasz — i szumisz... i szumisz...
O! nie jesteś ty dobre, ani złe nie jesteś,—
Jeno puste ogromnie i czeze jesteś, życie!...

PINCHOS BEN JAHIR.

Dażył prorok od strony, gdzie słońce zachodzi,
Do krainy Gilead za rozkazem Boga,
By rzec grzesznym, iż kara czeka u ich proga
obwieszczać pokutę i starcom i młodzi...

Wpoprzek strugi Jordanu wypadła mu droga.
Patrzy prorok: w zwelnionej rozlana powodzi
Rzeka huczy, a nigdzie kładki ani łodzi,—
A czyż fałom się oprze starca drżąca noga?

Rzeczę tedy, nad mętny nurt podnosząc dłonie:
— Abym suchą mógł stopą przebyć twoje tonie,
W Imię Boga, którego wolę w sobie noszę,

Ustap, rzeko, i cofnij wody swego łoża!—
Rzeka na to:—Mnie tedy pełnęła wola Boża
Nieco wcześniej niż ciebie—więc się rozzuj, proszę.

WŁADYSŁAW STERLING.

Ur. 31 Grudnia 1876 r.

»Poezye« (1900).

JABŁOŃ.

Stoi w moim ogrodzie jabłoń rosochata.
Co rok mróz ją porywa w swe białe ramiona,
A potem z pieścizotami splywa Maj, a ona
Gra wonią i różowe kwiaty w włosy wplata.

Aż raz skapana w deszczu wichura skrzydlata
Strzaskala jej pień czarny. Myślałem, że skona.
Lecz nie padła — i cała ku ziemi schylona,
Tak skraśniała owocem, jak żadnego lata.

A ja się na to drzewo jasnym wzrokiem patrzę,
Bo znam dusze, dla których rozkosz od cierpienia—
I majowe uśmiechy są od szronów rzadsze,—

Co, jak pień, zdruzgotane i krwawe, jak wyłom,
Uragają potęgą płodu i mogiłom
I łzom i huraganom i paszczy zniszczenia.

ZACHÓD SŁOŃCA.

Niby raniony w skrzydło ptak zlocistopióry,
Powoli spada słońce—i fala promieni,
Snopem piór zakrwawionych tryskając, czerwieni
Jaśniejące błękitem obłoków kontury.

Tuż pod niem ziemia—pyłek wśród tworów natury.
Martwem okiem spojrzało na morze zieleni,
Owinęło się płaszczem szarzejących cieni
I zakryło płonąca twarz woalem chmury...

O słońce! ile dreszczem przejmującej grozy
Dla mnie w twym pożegnaniu i agonii zgrzycie,
W gorejącej koronie twej apoteozy,

W modlitwie, którą szepcesz spieczonemi usty,
W twej niemocy... I śmiech aż porywa mnie pusty,
Gdy pomyślę o ranku i jutrzennym świetle!...

WŁADYSŁAW ZALEWSKI.

Ur. 6 Listopada 1877 r. w Kaliszu.

»Ciche pieśni« (1899); »Skrzydła wichrowe« (1902).

BÓG WICHRU.

W olowanej przestrzeni na rdzawym chmur stoku
Siadł bóg ogromny wichru— możny, nieruchomy —
Orły zakul w łańcuchy i przywarł do boku,
Wichru bóg ten, co świata owładnął ogromy...

Ziemie legły mu korne—aż, jak grom uderzy,
Nagle złotych trąb granie wśród zgiełku i trwogi,
Jak gdyby Pan w tysiące uderzył móżdziejy!
To bóg wichru się zbudził—stał i dmie w rogi!...

A czerwone źrenice palą mu się krwawo —
I ogromnemi skrzydły strasznie załopota — —
Chwila jeszcze—a z płuc mu w krwi dymie z kurzawa

Ostatni dech wyleci, co chmur zaprze wrota!...
Tak mi się nieraz marzy w moich dum pożodze
Ten wichru bóg, ten sędzia w krwi łunach, jak w todzie!...

DWIE TRUMNY.

Jest gdzieś w podziemiach głucha, jest kirowa nawa,
Kędy mdle, niskie światła rzucają kaganki
Zawieszone u stropu, jak gwiazdy, — gdzie mgława,
Szczera Pustka krętymi tuła się krużganki...

Chłód i trupia stęchlizna tchną z onych ementarzy...
I rzędy majaczej zakonnice — kolumny,
Z gromnicami stojące, jak duchy, na straży — —
Na posadzce kamiennej dwie czernią się trumny...

Przykryte długim kirem, zdobnym w srebrne lamy
Widnieją dwie te trumny ze krwawemi plamy —
Te trumny, w których leżą ma Miłość i Wiara...

Dwie trumny te!... Nad niemi zaś trzymają wartę,
Jak śmierci ta wychudła, straszna, zimna mara —
Te skrzydła me wichrowe, krwawe, rozpostarte!...

CICHE, MAJOWE RANO.

Ciche, majowe rano. W to rano tak cudnie
Dyszające jasną ciszą błękitów otchłanna
Idzie sznur białych dziewcząt na modlitwę ranną —
Idzie przez łąki moje, leżące odludnie...

I słyhać dzwonów granie na mszę pośród błoni
Upojną tchnących wonią — i widać te w dali,
Jak puszyste obłoki, dziewczęta — z konwalii
Co mają białe wianki uwite u skroni...

A słońce to majowe na każdej sukience .
Wiesza blaski słoneczne, ciche, rozzłoczone...
Idzie sznur białych dziewcząt... A ja duszą chłone

Sny owe, widma białe, co idą otchłanną
Błękitów jasną ciszą, wzięwszy się za ręce — —
Idzie sznur białych dziewcząt na modlitwę ranną...

LEOPOLD STAFF.

Ur. 14 Listopada 1878 r. we Lwowie.

»Sny o potędze« (1901).

KOWAL.

Całą bezkształtną masę kruszców drogocennych,
Które zaległy piersi mej głąb nieodgadłą,
Jak wulkan, z mych otchłani wyrzucam bezdennych
I ciskam ją na twarde stalowe kowadło.

Grzmotem młota w nią walę w radosnej otusze,
Bo wykonać mi trzeba dzieło wielkie, pilne,
Bo z tych kruszców dla siebie serce wykuć muszę,
Serce hartowne, meżne, serce dumne, silne.

Lecz gdy ulegniesz, serce, pod młota żelazem,
Gdy pękiesz, przeciw ciosom stali nieodporne:
W pył cię rozbiją dłoni mej gromy potworne!

Bo lepiej giń zmiażdżone cyklopowym razem,
Niżbyś żyć miało własną słabością przekłętą,
Rysą chorej niemocy skażone, pękniętą.

ŚNIEG.

I.

Puszystą, nieskalaną bielą,
Jakby dziewiczych łóż pościelą,
Śnieg przykrył pola głuche, senne,
Aż hen, po bór błękitno-szary.
Pod kwieciami zimy śpią obszary
W zadumę bladej ciszy plenne.

Oczy me błądza po bezbrzeżnej,
Melancholijnej pustce śnieżnej
I wstaje we mnie dni mych rano
Z popielisk zimnych martwej głuszy,
Gdym na labędzich skrzydłach duszy
Miał lilii śnieżność nieskalaną.

Niesiony w przeszłość wspomnień falą,
Poje się duszy śnieżną dalą,
Sennie rozplywam się w niej cały...
...Śnie, że ma dusza swą tajemną
Biel rozścieliła tu przede mną
W ścieg nieskończony, śnieżny, biały.

II.

W dali milczącej, modro-sinej,
Gdzie się pół śniegiem skłon jednocy,
Przez czystą, mleczną biel równiny
Postać tulacza ciemna kroczy.

W żebraczy lachman kryjąc ciało,
Idzie wśród pustki sennej, bladej,
I w nieskalaność śniegu białą
Wtłacza stóp swoich brudne ślady.

I zda mi się, że widmo bólu,
Idąc, zostawia ślad bolesny

Na mojej duszy śnieżnym polu...
I trwożnie patrzę w step bezkresny.

PUHAR MOJEGO SERCA.

O, jak ostrożnie niosę ciche serce moje,
O, z jak niezmierną trwogą niosę je przez życie!
Omijam drogę, którą torują przeboje,
Omijam strome ścieżki, gdzie grozi rozbicie!
Bo z takim trudem dałem mu ciszę ukojną,
Z takim trudem zdobyłem dla niego ostoję,
Przystań dla umęczonych milczącą, spokojną...
O, jak ostrożnie niosę ciche serce moje!

O, jak ostrożnie niosę mój puchar z kryształu,
O, jak z nim trwożnie stąkam wśród drogi mej cichej,
Zdała od uczt, gdzie pośród płomiennego szalu
Biesiadnicy trącają w wezbrane kielichy!
Gorycz ryse pęknięcia wyżarła w nim wieczną
A z takim trudem, długo, cierpliwie, pomalu
Napelniałem go winem lez, mą krwią serdeczną...
O, jak ostrożnie niosę mój puchar z kryształu!

MOCARZ.

W kryształowej komnacie, na tygrysiach skórach
Leżę odziany w przepych miękkich, wschodnich tkanin,
Ja, balwochwalca życia, potęgi — poganin —
Król rozkochany w słońcu, kwiatach i marmurach.

Podnoszę do ust czarę w ametyście rżniętą,
Piję na cześć mej mocy, na jej wieczne trwanie!

Jeden mój ruch niedbały, a świat nowy wstanie!
Wezbrane życie święci we mnie wieczne święto!

Niema na świecie rzeczy pragnionej przeze mnie.
Mam wszystko... Pono są gdzieś ludzie, co tajemnie
Trawią się żarem tęsknot... Hej, zwołać ich, raby!

Szczęśliwym stać się musi każdy nędzarz słaby!
Dam im złoto, klejnoty, kosztowne kobierce
I serce moje, wielkie, dobre moje serce!

SŁOTA.

Deszczem mży brudna, nudna ślota,
Miarowo pluszcze i chlupota
W rytm nieustanny, monotonny,
Jakby żebrała jęk przedzgonny.
Wszystko oblepia mokra chmura,
Szara, wilgotna mgła ponura...
Sennym chlupotem mży szaruga
Leniwa, ociężała, długa...

Nad wodą szarą, mętą, brudną,
Rozlaną w bezbrzeż hen bezludną,
Na dżdżu potworek siedzi mały,
Topielezyk wodą napeczniały.
Głowa pośliznęła, duża, biała,
Sennie na piersi mu opada,
Jego bezmyślne, tepe oczy
Błędzą po chmurnych wód roztoczy.
I osowiały wielką tonią,
Uderza w wodę płaską dłonią
I pluszcze, chlapie w wodę mętą,
A deszcz melodyą mży natrętną.
Padają zwolna krople duże
W siwe rozmokłych błot kałuże,

Sączą się po zezerniałym murze...
O rynny tłuką nieskończenie
I rozlewają wkrąg znużenie
I obojętne odrętwienie...

Bez końca sennie i miarowo
Deszcz pluszcze ponad moją głowę,
Kapie, chlupota gdzieś koło mnie...
Marzę coś sennie, nieprzytomnie...
Na brzegu wody nieskończonej,
Nudą szarugi odrętwionej,
Myśl moja pada, mdleje, drzemie...
Krople dżdżu lecą na me ciemnie
Bez końca, sennie i miarowo...
Topielec usiadł nad moją głowę,
Podnosi lebek swój leniwy,
W oczach mu ognik gra złośliwy.
Trucizną zgnilych wód nadęty,
Patrzy obłędnie uśmiechnięty
I ku bezmyślnej swej igraszce,
Po obolałej mojej czaszce
Uderza żółkłą, płaską dłonią
W takt kropel deszczu, które dzwonią,
Lecąc miarowo w wodę mętną,
Melodyą nudną i natrętą.

CITTÀ DOLENTE.

Widziałem gród boleści ciemny i ponury:
Żalobą czarnej nocy mroki nad nim płaczą.
W twardy pierścień go skuli szare zimne mury,
Oblane wód umarłych bezbrzeżną rozpaczą.

Wszedłem weń z tchem zapartym grozą przerażenia.
Przedem mną straszne pole dzikiego pogromu:

Przygniatająca cisza, bezdusność zniszczenia,
Zgruchotane granity i zwaliska złomu.

Wśród głazów leżą jakieś olbrzymie tytany.
Rwą się, wiją w męczarni... stał im pęta ręce,
W piersiach ich kipi głucho szal zemstą wezbrany...
O zuchwałych porywach śnią niewolni jeńce.

I zbuntowani wznoszą w niebo butne skronie!
Nie chcą uleść i wściekłość w ich oczach się żarzy!
Prężą barki, ramiona, krwawią o stal dłonie!
Żądzą odwetu krzyczą gniew ich ślepy, wraży!

Od ciał ich, tarzających się z dziką wściekłością
Podrzutami wybuchu, dudnią glazy twarde!
Lecz przeznaczenie ciemną powala ich złością,
Ostatni cios zadając w piersi butą harde!

Wyczerpani, bezwładni leżą; ciężko dyszą,
Błyskają krwawym wzrokiem i ściskają pięście...
Noc przywala zwalczonych zrozpaczenia ciszą
A sowiemi oczyma szydzi z nich nieszczęście...

Czasem patrzę w ten męki gród, śpiący w pomrocy,
Długo, nieporuszenie i wtedy tajemnie
Ściskam pięść i mam wtedy obłąkane oczy,
Bo ten gród buntowników jarzmionych... jest we mnie.

DZWONY.

Chowałem dzwony w piersi mej, ponure, groźne, głuche
[dzwony,
Drzemiące niby w mrocznej mgłę dzwonnicy cichej, opuszczonej.

Czuwałem trwoźnie nad ich snem, bo byłem w sercu pełen lęku,
 By się nie zbudził śpiący śpiż z huraganowem echem jęku;
 Czuwałem trwoźnie nad ich snem tłoczącym, ciężkim, jakby
 [olów,

Kochałem bowiem senny czar opustoszałych już kościołów.

O duszo! Czemuś w ową noc, gdy w gruz runęły twe świątnice,
 Rozpacza swych zgorzkniałych ust plunęła w zmierzchłych
 [nieb ciemnice?

Oślepy blade oczy gwiazd od jądów twej piolunnej śliny
 I przerażenia ślepy strach widnokrąg ziemi zaległ siny.
 O, w ową straszną, krwawą noc, dzwony się obudziły senne,
 Gromowej nawałnicy szturm lejąc w otchłanie sfer bezdenne.

Z bezdni, gdzie głuchy leżał mrok, pomruk wydzwignął się
 [ponury,

Wyrosło tysiąc nagich rąk, chwyciły silnie dzwonów sznury
 I rozkiełznany dziki szal prostuje, kurczy rąk nawałę,
 Co rwą i szarpia, jakby w strzep rozrywać chciały światy całe!
 Szarpących rąk szatański szal rozdziera pierś broczącą w męce!
 O, nieznurzone w wieków wiek tysiączne nagie, silne ręce.

Rozkołysane w grozy jęk, w ryk rozszalałe huczą dzwony!
 Złowieszczy lament dzikich trwóg! Obłęd rozpaczy rozjuszzonej!
 Dławiący w głuszy czyha strach! Ogniste wały z chmur pioruny
 W miedziane szczyty wzniosłych wież! Pomrok załaly krwawe
 [luny!

Bluźnierczej skargi bunt i gniew! Duszonych starców ciężkie
 [skony!

Rozkołysane w grozy jęk, w ryk rozszalałe huczą dzwony!

Rozkołysane w grozy jęk, w ryk rozszalałe dzwony huczą!
 A każdy huk śpiżowych płuc bucha brzemienno krwawą tuczą!
 Morze dymiącej, spiekłej krwi rozlewa wkrąg odmęty błotne,
 Które sięgają już mych ust, jak węże ślizkie i wilgotne!

Huk każdy ciosem wali w skroń, zbolala skroń rozmiadza,
 [stłucza!
 Rozkołysane w grozy jęk, w ryk rozszalałe dzwony huczą!

O dzwony, dzwony, dzwonów huk! Każdy powietrza nikły
 [atom

Zmienił się w wściekły, głośny dzwon i skargi swoje wieści
 [światom!

Każdy powietrza atom grzmi, burz rozpetanych szal rozlewa
 I wrzaskiem tysiąckrotnych ech ryki potworne znów

[odbrzmiewa!
 Z każdego dzwonu wali grom! Krew bucha z każdej dzwonu
 [czary!

Huk! Nieskończoność dzwonów! Jęk! Wkrąg bezkres dzwonów!
 [Huk w bezmiary!

Wszechświat się cały dzwonem stał, a jam jest sercem tego
 [dzwonu.

Olbrzymi dzwon brzeg oparł swój o widnokregi niebosklonu.
 Tracony w ruch, rozchwiany w pęd, rozmachem miota się i ciska
 Buja nad chmury, spada w dół, szalona, straszna ma kołyska
 Ja, serce dzwonu, pełen trwóg w spazmie przerażeń oszalałem
 I w stulejczyzny twardy śpiż uderzam okrwawionem ciałem!

Błyskawicowym lotem gnam. Pęd dech zapiera, świszcze, smaga!
 Pruje powietrze, jakby grom, uderza w dzwon pierś moja naga...
 Głuszące ryki! Ostry ból! Rozbite ciał śpiż rozdziera!

Powrotnym lotem, jak wichr, gnam. Pęd świszcze, smaga, dech
 [zapiera!

Pruje powietrze, jakby grom, uderzam w dzwon zbolala
 [skronia...

Głuszące ryki, ostry ból! Rany krwi spiekłej krople ronią.

Zbolałe ciało broczy krwią. Padają czarne krwi korale
 W skłębionych huków ciemny wir, w spiętrzone dzikich szalów
 [fale,

W pomroku straszny niecą blask, jakby miotane dla igraszek,
Świeciły krwawe oczy w mgle ze starczych wylupione czaszek.
I pędze, gnam i biję w dzwon struchlały wśród tych ślepych

[wzroków

I dzwoni tysiąc nagich rąk i niema dla nich pęt, ni oków!

Rozkołysane w grozy jęk, w ryk rozszalałe huczą dzwony!
Złowieszczy lament dzikich trwóg! Obłęd rozpaczy rozjuszonej!
Dławiący w głuszy czyha strach! Ogniste wały z chmur pioruny
W miedziane szczyty wzniosłych wież! Pomrok zalały krwawe

[luny!

Bluźnierczej skargi bunt i gniew! Duszonych starców ciężkie
[skony!

Rozkołysane w grozy jęk, w ryk rozszalałe huczą dzwony!

GUSTAW DANIŁOWSKI.

Ur. około 1872 r. w Kazimierzu nad Wisłą.

»Na wyspie« (1901); »Poezye« (1902),

TOPOLA.

Przy cmentarzu nad rzeką, jak warta,
Stróżująca zapadłym mogiłom,
Piorunami topola rozdarta
Przeciwstawia niszczącym burz siłom
Moc trwania.

A gdy szara godzina uderzy,
Za cmentarny przechyla się parów,
Nad grobami uśpionych rycerzy,
I zadaje szelestem konarów
Pytania.

Wówczas każdy grób wzdyga się darnia
I z loskotem się głębiej zawala,
Bo je pyta swą całą męczarnia
I tym gromem, co wciąż się zapala
W pniu czarnym.

*

Milczy cmentarz pośepny i głuchy;
Jeden wicher w nim ciszę zamaca,

Co topoli rozdartej pień suchy
Swym szalonym podmuchem potrąca
I zgina.

I z wściekłością gałęzie obrywa,
I unosi daleko na pole;
A topola tak jęczy, jak żywa,
I boleścią wiekową swą dole
Przeklina.

Pod nią rzeka spieniona i mętna
W mgły oparach się wije, jak w dymie,
Słychać westchnień ogromnych jej tętna
I klębiące się w piersiach olbrzymie
Jej wiry.

A nad wszystkim się zwiesza żałośnie
Noc i, niby samotna dziewczyna,
Co tka szychem całuny na krośnie,
W mroczne niebo pozłotę gwiazd wpina,
Jak w kiry.

Z poematu „NA WYSPIE”.

STATEK.

...W miejscu, gdzie morze wżarło się w skał ramę,
Przy samym brzegu zobaczyli płamę
Jasną, jak róży zawinięty płatek
Na tle zielonej, przywiedlej murawy.
Ktoś szepnął: „mewy“, a ktoś krzyknął: „statek!“
I tłum w dół spłynął, niby potok lawy.

Tak — to był statek mały, rodzaj barki.
Znać było z kształtów wdzięcznych, że go wzniesli
Tacy pieśniarze i takie pieśniarki.

Co w duszy mają doskonalsze miary,
Niżli gruntwaga i cał w ręku cieśli.

Wgłębiony w środku nakszałt wielkiej czary,
Zgrabny i mocny budynek szkieletu,
Zbity misternie, jak forma sonetu,
Jak sonet związany był i niezbyt ciężki.

Przód — ścięty ostro, jak w wierszu rym męski;
Po bokach rzędem, w przerwach jednej mety
Sterczały równe, niby strofki, wiosła.
Postawa masztów prosta i wyniosła
Strzelala w niebo, jak myśli poety.
Po masztach węzłem zwieszały się liny,
A każda lina, jak zwrotka tercyny,
Była spleciona potrójnem wędzidłem.
Żagle w spokojnym, miarowym rozwiewie,
Jak śpiewne rytmy, kołysząc swem skrzydłem,
Bujały barwę—pieśń, zakletą w drzewie.
Jak tytuł pieśni, na maszcie u góry
Igrała w słońcu bandera z purpury.

WÓDZ MÓWI.

„Chwili przełomu—mówił—myśmy dzieci;
Lecz także grzechów ojców spadkobierce:
Żądza użycia, nabytek stuleci,
W głąb duszy wrosła, płami nasze serce!“

„Z gruntu krzywdami przesiąklej wysepki
Od urodzenia piliśmy bezwiednie
Jad samolubstwa, a w puchach kolebki
Grzechy śmiertelne były nam powszednie“.

„Lecz dziś, zatłona iskra w sumień próchnie
Wzniesła w nas ogień święty, bo ofiarne;
Trza ją rozdmuchać, niech pożarem buchnie,
Ogarnie dusze, przetrawi w nich męty,
I serca nasze od trucizny czarne
Na przezroczyste przetopi dyamenty!”

„Więc za mną, w górę! Niechaj dusza czerstwa
W jednem powietrzu z suchot się wyzwoli,
Niech się do wyżyn dźwignie bohaterstwa,
Lotów zawrotnych niechaj dozna szalu
I posłannictwo swe spełniając godnie,
Zejdzie w promiennej światła aureoli
Na padół płaczu—gwiazdą ideału
Zapalać ludzi, jak żywe pochodnie!”

„Patrzcie w tę przepaść, gdzie dym mgły się wierci,
Gdzie czysty potok w tęczowych lez pyle
Tłucze pierś srebrną o kamienie twarde,
Bo, może, kiedyś i nam z widmem śmierci
Przyjdzie się szarpać w ciemnicy mogile,
Więc przywykajmy mieć dla niej pogardę!”

„Patrzcie na orła, co swych skrzydeł końcem
Przemaga falę powietrza upartą
I leci w niebo witać się ze słońcem
Żrenicą jasną, dumną, bo otwartą!
Nam, jak ten orzeł, żyć i walczyć trzeba:
Całym rozmachem wewnętrznej potęgi
Łamać przeszkody i wyniosłym duchem
Porwać za sobą świat w słoneczne kregi,
A serca ludzkie otwierać dla nieba!”

NUREK.

Ból, niby nurek, pograża się w ciemnie
Tajników duszy, dłonią bezlitośną
Szuka tam skarbów i nieraz daremnie:
Zdobywa ledwie skargi muszlę głośną.

Lecz znów się rzuca w najgłębsze odmęty
I póty szarpie dno duszy wytrwale,
Aż gdy go na wierzech lez wyniosą fale,
Ma w krwawych dłoniach perły i dyamenty.

SMUTNA GODZINA.

Ziemia, odarta ze zbóż malowidła,
Tętnem skowronków już nie gra powietrze,
W ciszy wiatr tylko rozciąga swe skrzydła
A gdy się z drugim w pustych polach zetrze,
Przed majestatem słońca, co lśni krwawo,
Jak pióropuszem—pyszni się kurzawa.

Smutna godzina, choć i pełna czarów:
Lilie i róże— w niebieskiem namiocie,
Las, niby wojsko stubarwnych sztandarów,
W rdzawych pancerzach, w purpurze i złocie
Stoi spokojny w posepnej zadumie,
Jak świetna armia, która ginąć umie.

Splot rzeki martwy, niby smuga rtęci,
Zdaje się krzepnąć w żółtawem łożysku,
I tylko czasem w jakimś nagłym błysku
Ocknie się fala, jak zmarszczka pamięci,
Przypomni wylew, czas wiosny uniesień—
I o brzeg trąci szeptem: wieczór, jesień!...

Wieczór i jesień! i smutno podwójnie!
 Żniwa minęły, a nie widać plonów,
 Pełzają rude plamy wśród zagonów,
 Co kwitły w Maju porankach tak bujnie;
 I ciężko myśleć, co dadzą zasiewy,
 Czy kłos ziarnisty, czy też tylko plewy?...

Z rozbitem sercem, z roztesknioną duszą
 Błądę w żalosnych obszarach bez końca,
 Gdzie w przepaść płyną krwią rydwany słońca,
 Gdzie lasy w wichrach złote kopie kruszą,
 Gdzie w rzekach martwych wzdycha fala rzewna:
 — Wszystko wątpliwe, śmierć jedna jest pewna!

MARYLA WOLSKA.

Ur. 1874 r. we Lwowie.

MAJOWE NABOŻEŃSTWO.

Świec jarzących tyle,
 I rozwiniętych kwiatów snopy zżęte,
 I ziół pachnących wilgotne badyle,
 W blask, przed Jej stopy położono święte...

Maj!

Najranniejsze, co na wiosnę
 Lśnią po łąkach kwiaty białe,
 Najpiękniejsze a nietrwale,
 Pod Twą pieczę
 Przyniesione;

Nienazwane, niewyśnione,
 Jako puchy z traw strząśnione,
 Te najcichsze a żalosne
 Sny człowiecze,
 Wszystko mówi dziś do Ciebie:
 Głosy ludzkie, kwietne, wietrzne,
 Te doczesne i przedwieczne,
 Wszystko się u stóp Twych kaja:
 Paki w sadach, ziarna w glebie,

Wszystko garnie się do Ciebie,
Ty gwiazdzista Pani Maja!

Ciemno w kaplicy, jeno ołtarz płonie.

Falą runi zielonej,
Od pół tu płyną wplaw
Najpierwsze, rzeźwe wonie
Ozimych zbóż i traw,
Od łąk, gdzie u przypłoci
Drżą w kwiatach białe tarnie
I jaskrów smug się złoci...
A z wonią ziół się garnie
Wiosenny czar i dziw,
Sunący przez zagony
Zoranych grud i niw,
Zaklęcia swe powtarza
I dąży kornie ledz
W czeremchach u ołtarza,
W migocie złotych świec.

Mrok wieczorny nad ziemią zapada.

O takim zmierzchu koniuchowie zwykli,
Gdy dzień powiekę stuli jasnorzęsą,
Kręcić fujarki zielone, wierzbowe,
I w świat, za oczy, gdzieś z nadrzecznych wikli
Pieśń ślać odwieczną wiosny i tęsknicy,
Jako ci szarzy po gajach słowicy,
Gdy z wątlej piersi śpiew na rosę trzęsą.
Taką godziną pełni srebrnik płaski,
Tarcza miesięczna, jako duch wybladła,
W mgle, nad wilgotne podnosi się piaski,
Nad łącznych smugów wypływa mokradła
I cichem światłem swej żrenicy bladej
Wysrebrza pola i łąki i sady...
O takim zmierzchu coś się budzi w duszy
I coś się zrywa... Wołanie ogromne,

Błagalne, jęczy i skarży się w głuszy...
I jakieś łkania ściszone ptaszące,
I jakieś mary z żalu nieprzytomne
Wstają i każda w mrok wyciąga ręce,
Mówiąc: „O szczęście dzisiaj się upomnę,
O szczęście moje okupione łzami!
Niech oto nie mrę jako zagon w suszy,
O Pani można, módl się Ty za nami“.

O takim zmierzchu, gdy o co prosimy,
To w opar kwietny zamienione słowa,
Jak przedwieczne podnoszą się dymy
I dążą w górę prosto, jak Ablowa
Ofiara czysta...

Na świecie Maj...

Pośród ciemnej trawy
Bieleją ścieżki, jak płótno na blichu,
A gwiazdy nocne jarzą się po cichu,
Srebrne, ogromne i na pełni bledsze,
Czeremszyn zapach płynie skądś gorzkawy
I woni falą powietrze
Nasyca;
Pod wierzb szeregiem jasny krag księżycą
Dwoi się w strudze, a z odległych staj,
Gdzieś z rżysk dalekich fujarki pastusze
Ślą tony mokre, słodkie i nabrzniące
Westchnień oddechem... Maj na świecie! Maj!

Na dachach dymów smukle pióropusze,
Jutru słoneczną wróżące pogodę,
Niby anioły stoją w świetle białe
I, jak anioły, patrzą na zagrodę...

W kaplicy ciemno: jeno ołtarz płonie.

Jako te leśne u Twych stóp konwalie
Z sercem dźwięczącym a srebrną odzieżą,

Tak mi się myśli w Twoim blasku śnieża,
A skoro inne we mnie dojrzysz, spal je!
Spal je na popiół i obróć je w pyły,
Jak ogień polny dzikie niszczy zielska!
Pokój mi ześlij i użycz mi siły,
Pani Anielska!

Ja w Ciebie wierzę i wiem, że Ci dano —
W tę chwilę świętą, krótką, w tę wiosnianą
Godzinę łaski—na ziół chłodnej woni
Pojmować niemą dusz chorych wymowę
I niewidzialnem położeniem dłoni.
W te zmierzchy ciche, ciepłe, fioletowe,
Uciszać skrzydeł krwawych szum i burzę
Myśli zawładnąć!

Że o takiej porze

Piersi litosnej masz rozwarte wrota,
A nikt Cię pono nie wzywał daremno,
Mistyczna Różo

I Bramo złota!

Daj pieśniom moim moc lotu skrzydłata,
A duszy mojej czysty, górny ton,
Ciszę mi jasną i pogodę daj,
I czasy zbożne, i słoneczne lato,
Jesień owocną i plon!

Na świecie Maj.

Świec jarzących tyle,

I rozwiniętych kwiatów snopy żżęte,
I ziół wilgotnych pachnące badyle,
U Jej ołtarza..

Maj...

ŚNIŁO MI SIĘ...

Śniło mi się, co nigdy wyśnić się nie może,
Przyszło do mnie snu cieniem, co prawdą nie było:
Szczęście mi się wiosenne pod jesień przysniło,
Jak ostatni, słoneczny promień na ugorze!

Śniło mi się, że młodzi jesteśmy oboje,
Że Maj stoi nad nami w białych drzew rozkwicie,
Że wciąż jeszcze cię kocham na śmierć i na życie —
Śniły mi się na ustach chłodne usta twoje...

Kwiat opadał z czeremszyn, śliw, jabłoni, wiśni,
Padął cicho — i śnieżnym osnuwał nas puchem.
Śniło mi się, żeś znowu czystym, wolnym duchem,
Śniło mi się, co nigdy w życiu się nie wyśni...

Jak ów mrący, ostatni promień na ugorze,
Zgasło wszystko... Naokół dzienna jasność biała;
Śmierć mnie przez sen chłodnemi usty całowała...
Śniło mi się, co nigdy wyśnić się nie może...

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI.

Ur. 1878 r. w Opocznie.

„Poezye” (1902).

PRZEBUDZENIE.

Przychodzą do mnie jakieś echa
I krzeszą iskry złote w sercu...
Na snów, na jasnych snów kobiercu
Dusza do słońca się uśmiecha...
Ukolysana, rozteskniona
Błękitna słodycz opromienia,
Bo czuje, że się tła w niej, płoną
Nowe zachwyty i pragnienia —
A zimna była już, jak lód,
Już odszedł od niej pragnień głód...

Przychodzą do mnie jakieś echa...
Snują się przy mnie jakieś mary,
Śni mi się słomą kryta strzecha,
Drzemiąca w cichej wiosce starej,
Śni mi się duże, letnie słońce,
Omdlale kwiaty, senne drzewa,
Po ziemi ognie chodzą lśniące...
Tak cicho... stary sad nie śpiewa
I drzew nie chwieją się korony —
Usnął... w płomieniach... rozmarzony...

Przychodzą do mnie jakieś echa
I krzeszą iskry złote w sercu...
Na snów, na jasnych snów kobiercu
Dusza do słońca się uśmiecha...
I, zatapiając oczy w sobie,
Czuję, że dziwny żal ją smęci,
Bo wiosnę swą przepała w grobie
Melancholijnej niepamięci,
Bo zimna była już, jak lód,
Bo odszedł od niej pragnień głód...

PLEIN-AIR.

Leżę na stogu siana upojony ciszą.
Błękit mię obezwładnił, ogarnęła senność,
Oczy-m osłonił dłońią i w nieba bezdenność
Patrzę, kędy się srebrne obłoki kołyszą.

Marzę... W sercu, jak w księdze, myśli zgłoski piszą
Coraz inne—rozwiwną barw, obrazów zmienność...
Poi mię łak aromat i słońca promienność,
Wzrok we mgły się obleka, piersi zwolna dyszą...

Tak gorąco, tak cicho... Gdy w dal niebieskawą
Spojrzę, dostrzegam, zda się, fal powietrznych drżenie.
Wiatr drzemie gdzieś w przestworzu, nie szeleści trawą.

Nie gra na harfie z liści jego skrzydeł technienie.
Senno, cicho... uroczono... Zateśknienie-ż za wrzawą
Życia, czując na sobie wieczności spojrzenie?

WIZYJE.

I.

Mojej Matki zapłakane oczy
 Patrzą na mnie z beznadziejną trwogą.
 Słyszę głos jej, co we krwi broczy:
 „Ja już nie mam na świecie nikogo“...

Przez otchłanie, przez góry i morza
 Idzie za mną, jak echo tułacz.
 Hen, na życia mojego bezdroża—
 Idzie za mną, jak echo, i płacze...

Zdaje mi się czasami w noc ciemną,
 Że jest przy mnie, smutna, zapłakana,
 Że pochyła się cicho nade mną
 I już usnąć nie mogę do rana.

Jak szaleniec, w mrok wyciągam dłonie
 I odpycham jej wizję od siebie,
 Tę twarz bladą w cierniowej koronie
 Od gwiazd lśniącej, jak rój gwiazd na niebie.

II.

Co noc ktoś cicho nade mną lka
 I woła mnie po imieniu,
 Na twarzy czuję stalowy blask
 Oczu, błyszczących gdzieś w cieniu...

W bólu i trwodze serce me drży,
 Jak ptak śmiertelnie zraniony,
 Duszę, zasnutą w wieczysty mrok,
 Oświeca płomień czerwony.

Jak waż oślizgły winie się wstręt
 I syczy w każdym wspomnieniu;
 Co noc ktoś cicho nade mną lka
 I woła mnie po imieniu.

ZMIERZCH.

W smutku odpływa słońce senne
 Za granatowe, wielkie morza...
 Przez pola puste, szare, smętne
 Idzie mnich czarny z krzyżem w dłoni,
 Idzie i światła z ziemi zbiera.
 Przez pola puste, szare, smętne
 Idzie wieczoru ciemna zorza.

W smutku odpływa słońce senne
 Za granatowe, wielkie morza...
 Po starych sadach śmierć się włóczy,
 We mgłach deszcz płacze... deszcz się skarży
 I monotonne psalmy śpiewa...
 Po starych sadach śmierć się włóczy,
 Znęca wędrowców na rozdroża.

W smutku odpływa słońce senne
 Za granatowe wielkie morza...
 Przez pola puste, szare, smętne,
 Idzie mnich czarny z krzyżem w dłoni,
 Idzie i światła zbiera z ziemi.
 Przez pola puste, szare, smętne
 Idzie wieczoru ciemna zorza.

W smutku odpływa słońce senne
 Za granatowe wielkie morza...
 ...W zaklętym zamku śpi królowna,
 Śni o rycerzu w jasnej zbroi —
 W zaklętym zamku śpi królowna,
 W komnatach świeci światłość Boża...

A tam odpływa słońce senne
 Za wielkie granatowe morza...

BRONISŁAWA OSTROWSKA.

(Edma Mierz.)

Ur. około 1882 r.

»Opalec.

Z GOŚCIŃCÓW DUSZY.

I.

Na złote fale kłosów i na polne kwiaty,
Na modre niezabudki i na jaskier dziki,
Na miodne konieczyny, lubiny i gryki,
Na lnów z lazuru nieba oderwane płaty,
Na cichych miedz zbożowych szmaragdowe kraty,
Gdzie nucą gwarą piosnkę świerszcze i koniki —
Idzie mój duch, jak błędne moczarów ogniki,
Oblakany, choć jasny — smętny, choć skrzydlaty...
Na te łąki, owiane zapachami mięty,
Na te pola, stojące w różanej jutrzence,
Na kryształowej strugi wysrebrzane skręty,
Na ciche szumy borów, na pieśni ptaszące —
Idzie duch mój, słodyczą wielką owionięty,
Z ukochaniem do świata wyciągając ręce...

II.

Jest jedno wrzosowisko w naszym starym borze,
Gdzie rosna smukłe kity złocistej dziewanny,

Gdzie płynie pszczoł i świerszczy pobrzek bezustanny,
Tworząc słodkiej harmonii rozśpiewane morze...

Dokola macierzanka zarosła bezdroże,
I wrzosa, rozplakane rosą w świt poranny,
I rozkwieczone kępy pachnącej marzanny,
Wpatrzonej srebrnem okiem w jutrztenkowe zorze...
Na owo morze kwiecica, na darń aksamitną,
Na kępy rozchodników, smólek i stokroci,
Idzie mój duch słoneczną drogą i błękitną —
I w blasku słońca skrzydła poszarzałe złoci,
I w barwnem morzu kwiatów, co dokola kwitną,
Naprawdę chce odnaleźć jeden kwiat — paproci...

III.

W krag zacisznej polanki, szumi bór podszyty
I leżą starych dębów wypróchniałe kłody,
I przewiewają dziwne i mogilne chłody
Poprzez mechów i paproci świetne malachity...
Dokola szumią świerków niebotyczne szczyty,
A w ich cieniu się tuli drzewny orszak młody,
Jak pod słomianą strzechę pochyłe zagrody
Tulą się malw wysmukłe i tęczowe kity...
Na te ostępy smętne, na polankę ona,
Skąd w słońce krasek modrych zrywa się gromada,
Idzie duch mój samotny stopą umęczoną
I na zwalonej sośnie zadumany siada,
A bór modli się nad nim szumnych drzew korona,
Aż ukolysze wszystko cichość nocy błada...

IV.

Znam staw, gdzie w oczeretach świeci wody szklowie,
A na pobrzeżu rosna kępy ostrokrzewi,
Gdzie chwieją się warkocze posepnych modrzewi
I w mętnej głębi rzucają czerniałe igliwie...
Z wód powstają opary o rozwianej grzywie
I błądzą, jak zbłąkany w roztoczach sznur mewy,

Aż włos ich mgławcy wodę rozchwieje, rozśpiewi,
 Że zadrży toń, jak harfa brzęcząca senliwie...
 Wśród tych modrzewi smętnych, na staw pawiooki
 Idzie duch mój zmęczony, żalosny i chory,
 Idzie, jak tych oparów skłębione obłoki,
 I pijąc łun wygasłych ehowe kolory,
 Zagląda w martwej wody przepaściste mroki,
 Skąd wychylają twarze otchłanne upiory...

V.

Czasem duch mój usiada na przyzbie przed chatą
 I patrzy na gołębi posrebrzane rzesze,
 Co siedzą na słomianej, pochylonej strzesze
 Zadumaną i cichą gromadą skrzydlatą...
 Świat się owija blasku słonecznego szatą,
 A dech wietrzany słońcu złote włosy czesze
 I nowe skry złociste na przestworach krzesze,
 A w niebie dyszy upał i goreje lato...
 Duch mój siedzi na przyzbie w owym słońca zlocie, —
 Ale kiedy gołębia zerwie się gromada,
 I trzepocząc skrzydłami w niewstrzymanym locie,
 Na płonących bezmiarach w blasku niknie błada, —
 On się zrywa i skrzydła wypręży w tęsknocie,
 I jak gołąb kaleka — w pył i kurz opada...

VI.

Ginącą w dalekości topolową drogą,
 Co cienie kolumn drzewnych rzuca na zagony,
 Idzie w srebrnawym zmierzchu mój duch umęczony,
 Wlokąc skrzydła, co w słońce unieść go nie mogą...
 Wierzchołki smutnych topól drżą mistyczną trwogą
 A naprzeciw wychodzi od bezmiarów strony
 Cisza z wyciągniętymi przed siebie ramiony,
 A wiatr kładzie się falą pod chłodną jej nogą.
 Zmierzch rozlewa się błady w błękitnej bezbrzeży
 I utula rozchwiane po łąkach lilije, —
 I gdzieś na „Anioł Pański“ biją dzwony z wieży...

A duch mój lżawe oczy smutnie w skrzydła kryje
 I zda mu się, gdy w ciszy dźwięk na bezmiar bieży,
 Że to godzinę w niebie zegar wieków bije...

VII.

W ostępach naszych borów są grzazkie mokradła,
 Gdzie w trzinach płaczą czajki gromadką żalosną,
 Gdzie tłumy poczemniałych oczeretów rosna
 I rudzieją błot mętnych umarłe zwierciadła...
 Tam, do upiornego podobny widziadła,
 Przyszedł duch mój, oślepy i zmęczony wiosną,
 I stanął zachmurzony pod zeschniętą sosną,
 Co od grozy przerażeń wieczystych — pobladła!..
 I zobaczył, że jakiś zbłąkany ptak szary
 Spadł, bezsilny zmęczeniem, na mokradła owe...
 I trzepotał skrzydłami i rwał się w bezmiary,
 Wpatrzony mrawcem okiem w górną słońca stronę!..
 Zwolna go pochłonęły bagienne moczary...
 I zadrżał duch mój, kryjąc oczy przerażone...

VIII.

Do jednej cichej, wiejskiej kaplicy ustronnej,
 Gdzie w ołtarzu Marya w złocistej sukience
 Skrzyżowała na piersi swoje ciemne ręce,
 Zasluchana w hymn ciszy wiecznie jednotonny...
 Gdzie na ołtarzu stoi bez i jaśmin wonny,
 I smugi złotych kurzów klebią się w jutrzence,
 Gdzie przez okna wpływają rozgwały ptaszące,
 A blask oplata stopy słoneczne Madonny —
 Przyszedł duch mój, stargany wichurami świata
 I opętany wiecznem zwątpieniem tułaczem,
 I stanął przed tą jasną, którą blask oplata...
 Stanął widmem skrwawionem, ciemnem i żebraczem,
 I tuliła go ciszą blasków Maryi szata,
 Aż zapłakał, jak dziecko, cichym, dobrym płaczem...

MNISZKA.

Młoda mniszka w klasztorzym rozkwieconym sadzie
 Pod ciepłą falę słońca odsłoniła głowę
 I kwitnących powojów pęki purpurowe,
 Niby kielichy ognia, w krucze włosy kładzie.

Pręży młode ramiona w słonecznej spiekocie,
 Odrzucając szerokie rękawy habitu,
 I stoi pod gorącą kopułą błękitu,
 Jak dziwny ptak, na słońcu skamieniały w locie.

Przez uchylone szyby gotyckich witraży
 Spływają z głębi chóru głosy siostr pokorne,
 Zmieszane z wonią kwiatów, co schną u ołtarzy...

A w sadzie, w bujnym gąszczu splecionych powoj,
 Zwieszających kielichy za mury klasztorne,
 Pod spiekotą słoneczną młoda mniszka stoi.



SPIS RZECZY.

	Str.		Str.
Przedmowa do wyd. I-go.	1	Przed sądem	90
„ „ „ II-go.	7	List	92
Brzozowski Karol.		Elektra	95
Na przesilenie wiosenne	17	Urywek	98
Pietkiewicz Antoni.		Przy oknie siedzę... .	98
Z poematu „Srocza“ .	19	Wezwanie	99
Faleński Felician (Felicjan).		Na fujarce	100
Terminus	37	Obiełł nam... .	102
Z harmonij jesiennych .	39	A jak poszedł król na wojnę... .	103
Zacharjasiewicz Jan.		Ranek w Wenecji . . .	104
Niepogoda	40	Willa Wołkońskich . .	104
Łuszczewska Jadw. (Deolyma).		Do wierzy w Prato... .	105
Z poem. „Jan Sobieski“ .	41	Widzenie morza . . .	106
Kraushar Aleksander.		Z poematu „Pan Balcer w Brazylii“	107
Dziewczę	80	Belza Władysław.	
Prorocstwo	81	Droga do nieba . . .	110
Secesja	81	Pieśń o koszuli . . .	117
Kościelski Józef.		Ochorowicz Julian.	
Może... .	83	Naprzód!	119
Pieśń wieczorna pielgrzy- ma	84	Gliński Kazimierz.	
Złudzenie	85	Pieśń szczęścia. . . .	122
Konopnicka Marya.		Ze wspomnień greckich .	124
Duch mój, ptak Boży... .	86	Nie tak!—nie tam! . .	125
Z mojej biblii	87	Bajki	126
Selavus Saltans	88	Do braci pieśniarzy . .	128

	Str.	Kasprowicz Jan.	Str.
Gomulicki Wiktor.		Bądź pozdrowiona! . . .	179
Na Kanonji.	132	Z cyklu „Z padotu walki“	
Czary.	134	Chłopska doła . . .	180
Francuzica	135	Z chałupy	182
Odpoczywa	139	Z więzienia	183
Nazbyt lubił... . . .	140	Modlitwa moja cicha	
Pesymista	140	i bez słów... . . .	184
Ukochani przez bogów		Iungfrau.	186
umierają młodo... . .	141	Z cyklu „Nad przepaś-	
Obrazek ze starego miasta	142	ciamy“	187
El mole rachmin . . .	142	Święty Boże!... . .	191
Gawalewicz Marjan.		M-ski Adam.	
Milusińscy	146	Wieczorne sny.	193
Rondo scherzoso . . .	148	Nie módlcie się! . . .	197
Listopad.	149	Kosiakiewicz Wincenty	
Z „Królowej Niebios“ .	149	Comedia dell'arte . . .	199
Wierzbicki I. S.		Weyssenhoff Józef.	
O brzasku	155	Tanatos	202
Serce i fala	156	Rossowski Stanisław.	
Pieśń samotnika . . .	156	Róża jesieni	205
Modlitwa.	157	Gorzycza.	205
Z poematu „Hanka“ . .	158	Ten sam wciąż obraz	
Pilecki Antoni.		staje przede mną . .	206
Z dumań passymisty .	161	Szara rzesza	207
Memento.	162	Przesmycki Zenon (Miriam).	
Jankowski Cz. (Czesław).		Romanza	209
Paź królowej	165	Napis na grobie . . .	210
Nad Lemanem.	167	Twórcy	211
Na odlocie	167	Jeszcze rondo	212
Paź i rycerze	168	Święty ogień	212
Z „Arabesek“	169	Laskowski Kazimierz.	
Nitowski Jan.		Zrękowiny	215
Piosenka.	171	Wesele	219
Nad grobami	172	Śpiewka	224
Z chwil czarnych. . .	173	Oberek	225
Bogdanowicz Edm. (Bożydar).		Wyrwas	226
Cały romans	174	W Wielki Czwartek. .	227
Nastrój	177		

	Str.		Str.
Zielna.	229	Z „Liryk“	269
Na Gromniczną . . .	230	Rzeka podziemna. . .	271
Grusze	231	Nowy chodnik.	272
Zapachniało wiosną o je-		Jankowski Józef.	
sieni...	231	Z „Sonetów małych“ .	274
Tęsknota.	232	Ze „Zwrotek“	275
Baliński Ignacy (Aksel).		Blumental L. (Leo Belmont).	
Niech bieje płótno sza-		Na marginesie	277
rel...	234	Analiza	278
Z nocnych gwarów . .	236	Zły patriota-filister . .	279
Boguska H. J. (Hajota).		Romans bez romansu .	279
O gdybyś wiedział!... .	237	Tetmajer Kazimierz.	
Górski K. M.		Z „Preludjów“	281
Transkrypcje Horacego .	239	Eviva l'arte!	282
Z podróжной teki . . .	240	Na królewskim jeziorze	283
Kuczyński Józef.		Widziadło	284
Wiosna	245	Na morzu polarnem . .	286
Wiosniarki	246	Z księgi „Exodus“ . . .	287
Z „Melodij greckich“ .	247	Wędrowcy	289
Lange Antoni.		Orzeł	290
Rym	249	W kaplicy Sykstyńskiej	290
Samotność	253	Apollo	290
Pantum	254	Wszechmocny Bóg . . .	291
Z „ksiąg proroków“ . .	257	Chrystus i Magdalena .	292
Nowicki Franciszek.		Z „Zamyśleń“	292
Dunajec	261	Zacisza	293
Kosodrzew	262	Na Anioł Pański . . .	294
Orlica.	262	Gwiazdy.	297
Kozica	263	Oppman Artur (Or-Ot).	
Świerk	263	Kronika mieszczańska .	298
Niemojewski Andrzej		Demony	313
Orzeł	265	Trzy boginie	315
Genjusz burzy.	266	Fara	318
Na wózku	266	Berezyna.	319
Fragment	268	Hłasko Stanisław.	
Nurek	268	Z wizyj górskich . . .	323

IV

Str.	Str.
Wyspiański Stanisław.	Szumi nade mną zwięd-
Z poematu „Kazimierz	ły liść... . 376
Wielki“ 324	Pójdę... . 377
Z poematu „Bolesław	Czarne róże. 377
Śmiały“ 335	Powrót 378
Szukiewicz Maciej.	Bukowiński Władysław
Rankiem w Morskiem	(Selim).
Oku 344	Przychodzi czasem taki
Tenebrae lachrimantes . 345	dzień!... . 380
Odrodzenie 346	Szczepański Ludwik.
Pokłon 346	Rosa mistica 382
Endymion 347	Znużenie. 383
Fatum 348	Artysta do kobiety . . 384
Orkan Władysław.	O północy 384
Z tej smutnej ziemi... . 350	Dzierżkówna Natalja (Jerzy
Rydel Lucyan.	Orwicz).
Wieczera Pańska . . . 354	Parko, przecinasz nieć . 386
Chryste, o Chryste!... . 355	Żułowski Jerzy.
W noc miesięczną . . . 356	Nie warto 389
Przystań. 357	Kędyś kraju?... . 390
Centaur i kobieta. . . . 358	Urywek (Niema na-
Syreny 359	dziei)... . 390
Z cyklu „Żonie mojej“ . 359	Dumka 391
Wstań pieśni! 362	Przecz mnie ty, Panie,
Bruner Ludwik. (Jan Sten).	skazał... . 391
Morze. 364	W prosektoryum . . . 392
Kiedy się z tobą żegnam... 365	Pokusa 393
Powązki 366	Nie wierz! 395
Dębiński Zdzisław.	Życie 395
Z cyklu „Wizye“ 367	Pinchos ben Jahir . . . 396
Nad morzem 369	Sterling Władysław.
Ze „skarg“ 370	Jabłoń 397
Sceptycyzm. 371	Zachód słońca. 398
Nox vadit 372	Zalewski Władysław.
Przez mgły jesienne . . 374	Bóg wichru. 399
Bez Boga 375	Dwie trumny 400
Guarda e passa! 375	Ciche, majowe, rano. . 400

V

Str.	Str.
Staff Leopold.	Nurek 415
Kowal 402	Smutna godzina . . . 415
Śnieg 403	Wolska Maryla.
Puchar mojego serca . . 404	Majowe nabożeństwo. . 417
Mocarz 404	Śniło mi się 421
Słota 405	Perzyński Włodzimierz.
Citta dolente 406	Przebudzenie 422
Dzwony 407	Plein-air 423
Daniłowski Gustaw.	Wizje. 424
Topola 411	Zmierzch. 425
Z poematu „Na wyspie“	Ostrowska Bronisława
Statek 412	(Edma Mierz.).
Wódz mówi. 413	Z gościńców duszy . . 426
	Mniszka 430